www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 25 (1067)
15-21.06.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

ISSN 1509-3115 Indeks: 353299

Sędzia Krystian Markiewicz
Chcemy reform, ale nie takich

Prof. Janusz Reykowski
Jaki mamy system polityczny po Okrągłym Stole

Męczeństwo braci Szumowskich

Krystyna Janda
Jestem jak spadochroniarz

TYŁEM DO UCZNIÓW I NAUCZYCIELI

MINISTER WIDMO

Dariusz Piontkowski, minister edukacji narodowej

eprasa.pl 3467c7f583

MANIPULOWANIE PAMIĘCIĄ, MITY, **KŁAMSTWA** I KŁAMSTEWKA!

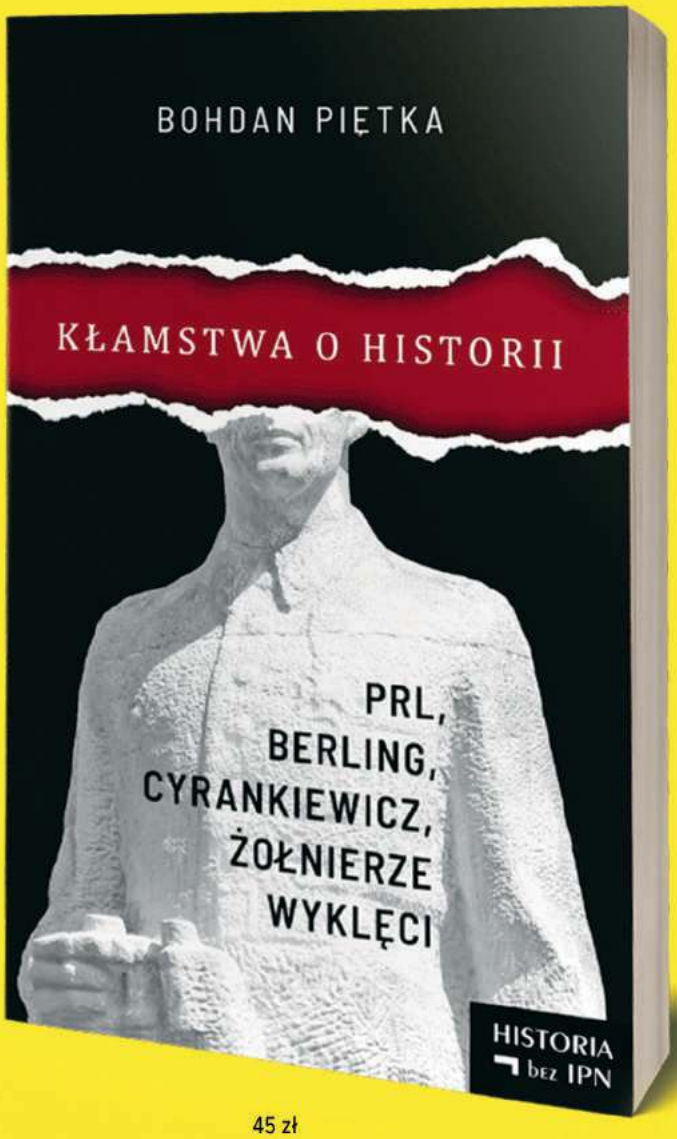

45 zł

PREMIERA!

Nieszczęściem Polski jest to, że jej historia jest zakłamana jak nigdzie w świecie.

Jerzy Giedroyc

Nad Polakami ciąży dziś najbardziej nie ta historia, która była, lecz ta, której nie było.

Bronisław Łagowski

E-BOOK 19,90 zł

Przegląd

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 3467c7f583

CYTATY

DR PAWEŁ GRZESIOWSKI, immunolog
Polska jest krajem o niepewnym statusie epidemicznym. Tak naprawdę nie wiadomo, co się w Polsce dzieje.
„Polska The Times"

EWA EWART, reporterka
Dopuszczanie do siebie strachu i obaw nie tylko obezwładnia, ale też uruchamia łańcuszek pechowych konsekwencji.
„Twój Styl"

DR ANDRZEJ KRUSZEWICZ, dyrektor warszawskiego zoo
To, co się dzieje w zwierzęcych głowach, w ogóle w świecie zwierząt, to jest to samo, co się dzieje w naszych.
„Duży Format"

ANEGDOTA ROSYJSKA
Nawet jeśli nie podoba wam się noszenie maseczki, to jej nie zdejmujcie. Respirator jeszcze bardziej wam się nie spodoba.
„Angora"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Ujadanie zamiast ustawy

Przestańcie tak bezczelnie kłamać. I bredzić, jak bardzo współczujecie lokatorom wyrzucanym z reprywatyzowanych domów. Kieruję te słowa do polityków PiS, bo rządzą już piąty rok, a w sprawie reprywatyzacji wszystko, co zrobili, to cyrk Patryka Jakiego, oszukańczo nazwany Komisją Weryfikacyjną ds. Reprywatyzacji.

Prezydent Duda, premier Morawiecki z całą machiną rządową, politycy Solidarnej Polski – Jaki, Kaleta i Ozdoba – ciągle grają na tę samą fałszywą nutę. Będą walczyli z dziką reprywatyzacją, patologiami, czyścicielami kamienic aż do ostatniego lokatora. Cała ich walka to tylko sprytne ujadanie, z którego poszkodowani nie mają żadnego pożytku. Bo politycy „zjednoczonej prawicy" podobnie jak Jacek Kurski są przekonani, że ciemny lud to kupi. I na razie się nie mylą.

Wiadomo, że ten korowód grabieży z jednej strony i cierpień z drugiej już dawno mógł być przerwany. Jest przecież na tę chorobę skuteczne lekarstwo – ustawa reprywatyzacyjna. Mogłaby zamknąć wszelkie zwroty majątku w naturze. Albo w wersji miękkiej mogłaby określić zwrot w obligacjach państwowych, do 10% realnej wartości. Proste. Ale niezrealizowane. Kolejna ekipa rządowa nie zrobiła nic.

Warto więc w kampanii prezydenckiej pytać kandydatów, co zrobią w tej sprawie. Czy wystąpią z inicjatywą ustawodawczą i co w niej będzie?

Zanim padną te pytania, sam pytam Klub Parlamentarny Lewicy: co z obiecanym przez was projektem ustawy reprywatyzacyjnej? Czy wy też, jak Jan Śpiewak, będziecie trafnie opisywać problem i tak jak on nie zrobicie niczego, by wymusić na parlamencie ustawę zamykającą roszczenia?

Posłankom i posłom lewicy po raz kolejny dedykuję słowa apelu wybitnego socjologa prof. Jacka Raciborskiego: „Żadnej reprywatyzacji, dla nikogo. Także dla Kościoła katolickiego i gmin żydowskich". Zacznijcie coś w tej sprawie robić. Na początek warto poznać choćby nasze teksty. Wiedza naprawdę nie boli. Chyba że lewica parlamentarna nie widzi nic zdrożnego w tym, co robią Duda, Morawiecki, Jaki i dziesiątki im podobnych autorów trików i oszustw.

Pamiętamy, że przy kręceniu spotu reklamowego Patryka Jakiego rozległego zawału doznała mieszkanka Warszawy, która straciła mieszkanie w wyniku reprywatyzacji. Kto mógł wymyślić taki spot? Firma Solvere. Ta sama, która za wielkie pieniądze obsługuje kancelarię Dudy i PiS. Ale o tym nie usłyszymy od Jana Śpiewaka, który nawet się nie zająknął na temat ustawy reprywatyzacyjnej.

A bez niej nic się nie zmieni. O taką ustawę bezskutecznie walczyła prezydent stolicy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która o Śpiewaku powiedziała, że zachowuje się jak „cyngiel PiS".

KONKURS!

Lato z książką
Wygraj e-book PRZEGLĄDU!

Zżera nas ciekawość, dlaczego dołączyliście do nas na Facebooku. Napiszcie o tym na adres: sklep@tygodnikprzeglad.pl. Spośród nadesłanych odpowiedzi wybierzemy 10 najciekawszych.

Czekamy do końca czerwca, ze zwycięzcami skontaktujemy się mejlowo.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl 3467c7f583

W NUMERZE

KRAJ

8 **Minister tyłem do uczniów i nauczycieli**
– rozmowa z Markiem Pleśniarem

12 **Duda, czyli Polska Kaczyńskiego**
Długa lista upokorzeń prezydenta

16 **To nie reforma, to katastrofa**
– rozmowa z sędzią Krystianem Markiewiczem

19 **Męczeństwo braci Szumowskich**
Tak się kręci lody nad Wisłą

22 **Na wieki wieków w IPN**
Przypadki Adama Rapickiego

26 **Będzie drożej, nie ma przebacz**
Borowanie i strzyżenie kieszeni

ZAGRANICA

30 **Amerykanie zbroją się na potęgę**
Korespondencja z USA

34 **Król chaosu**
Kim jest Dominic Cummings

36 **Nikaragua ignoruje pandemię**
Prezydent boi się protestów

52 **Stambuł staje się stolicą świata arabskiego**
Zawsze można uciec do Turcji

OPINIE

38 **Janusz Reykowski**
Od Okrągłego Stołu do autorytarnej „kontrrewolucji"

KULTURA

42 **Widzowie muszą od nas wyjść z „czymś"**
– rozmowa z Krystyną Jandą

44 **Qulturalia**

46 **Zagadka w głębi lasu**
– rozmowa z Bartoszem Konopką i Leszkiem Dawidem

66 **Żyć ze sztuką. Porcelana Rosenthal**

HISTORIA

48 **Z polskich dzieci produkowano Niemców**
– rozmowa z dr Joanną Lubecką

NAUKA

55 **Bardziej współpraca niż wyścig**
– rozmowa z Karolem Wójcickim

OBSERWACJE

56 **Owady. Wystawa Jerzego Kryszaka**

58 **Co pies mówi, kiedy szczeka**
Sekret grzecznego czworonoga

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Ujadanie zamiast ustawy

15 **Jan Widacki**
Dlaczego jest tak, jak jest?

25 **Andrzej Romanowski**
Pani Trzaskowska

29 **Roman Kurkiewicz**
Policja plakatówkowa

33 **Tomasz Jastrun**
Uczeń Spinozy

45 **Wojciech Kuczok**
Pisownia oryginalna

26
KRAJ

BĘDZIE DROŻEJ, NIE MA PRZEBACZ
Borowanie i strzyżenie kieszeni

46
KULTURA

ZAGADKA W GŁĘBI LASU
– rozmowa z Bartoszem Konopką i Leszkiem Dawidem

58
OBSERWACJE

CO PIES MÓWI, KIEDY SZCZEKA
Sekret grzecznego czworonoga

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl 3467c7f583

Prof. Tadeusz Klementewicz
Co dalej z Ameryką po protestach

HISTORIA
Gdyby nie Stalin, polska granica zachodnia byłaby inna

Prof. Włodzimierz Gut, wirusolog
Jesteśmy w „najgłupszej" fazie epidemii

Szacunek dla dr. Ciemięgi

Jestem 78-letnim emerytowanym nauczycielem. W PRZEGLĄDZIE przeczytałem artykuł „Zlinczuj lekarza, nie zaszczep dziecka" o potyczkach dr. Dawida Ciemięgi z antyszczepionkowcami. Chcę złożyć mu wyrazy szacunku i poparcia za walkę z ciemnotą i zacofaniem. Oglądałem potyczkę tego surfera, Wojciecha Brzozowskiego, z doktorem medycyny i krew mnie zalewała, że w ogóle można dopuścić do takich pojedynków w masowo oglądanej telewizji. Mam swoją definicję dotyczącą żyjących na świecie człekopodobnych – ludzi w pełnym tego słowa znaczeniu jest niewielki procent, reszta to humanoidy, tak samo oddychające, tak samo odżywiające się i tak samo wypróżniające. I na tym koniec podobieństw. Definicja straszna, ale czy daleko odbiegająca od stanu faktycznego? Dlatego kiedy trafiam – choćby tylko w artykule w gazecie – na wzmiankę o kimś takim jak dr Ciemięga, odsuwam od siebie nękającą mnie od pewnego czasu myśl, że pora umierać.

Zlinczuj lekarza, nie zaszczep dziecka

Ryszard Kiełczewski

Do czego potrzebne są nam media publiczne?

Prawdę mówiąc, kiedyś jeszcze wierzyłem, że media publiczne, zwłaszcza TV, bo radia w sumie za dużo i tak nie słucham, mogą realizować różne wartościowe programy, nie musząc ganiać za słupkami oglądalności – to po pierwsze. Po drugie, mogą przedstawiać różne strony sporu politycznego, dawać szansę pokazania się również mniejszym ugrupowaniom czy tworzyć wiadomości bez gonienia za tanią sensacją. Po trzecie, telewizja publiczna po prostu może być szeroko dostępna. Jednak gdy patrzę na to, co się dzieje teraz, już straciłem nadzieję. Nawet jeśli przyjdzie inna władza, media po prostu zmienią front, może obiorą trochę łagodniejszy kurs, ale nikt nie zrobi tam porządku, bo tuba propagandowa jest zawsze w cenie. A skoro nie mam wiary w to, by media mogły być publiczne i rzetelne, nie widzę sensu ich utrzymywania.

PYTANIE TYGODNIA Do czego potrzebne są nam media publiczne?

Grzegorz Toryński

Kazus Manowskiej

Kazus Manowskiej

Prawdę mówiąc, państwa określonego w konstytucji już nie ma. Nawet wybory prezydenta są nielegalne. Prawo respektowane jest jeszcze na najniższych szczeblach z przyzwyczajenia, a czasami ze zwykłej przyzwoitości. W zasadzie sytuacja jest analogiczna do tej przedrozbiorowej – rozpad państwowości. Na szczęście sąsiedzi już się nauczyli, że ten rój szerszeni trzeba wyizolować, i nic nam z zewnątrz (na razie) nie grozi. Takie są skutki 30 lat rządów neoliberalno-nacjonalistycznej prawicy. Z SLD włącznie.

Marek Głowinkowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Dobowa liczba zachorowań przewyższa tę z początku pandemii, pojawiają się nowe ogniska koronawirusa, mimo to odmrażane są kolejne sfery życia. Namiot przed Szpitalem im. Orłowskiego na warszawskim Powiślu.

FOT. KARINA KRYSTOSIAK

eprasa.pl 3467c7f583

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

Ponad 1,6 mln podpisów poparcia dla kandydatury Rafała Trzaskowskiego zebrano w ciągu zaledwie kilku dni.

Igor Tuleya, warszawski sędzia, **członek niezależnego Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, który uchylił decyzję prokuratury o umorzeniu śledztwa dotyczącego obrad Sejmu w Sali Kolumnowej w 2016 r. i zezwolił mediom na rejestrowanie ustnego uzasadnienia wyroku, miał mieć na wniosek prokuratury uchylony immunitet sędziowski. Wniosek został oddalony.** Wcześniej przeciwko prokuraturze i nieuznawanej przez sędziów Izbie Dyscyplinarnej masowo protestowali sędziowie.

Stowarzyszenie Amnesty International w Polsce obchodzi 30-lecie działalności. Zarejestrowane 6 czerwca 1990 r., „zajmuje się ochroną praw człowieka z punktu widzenia jednostki, która jest sama wobec wielkiego aparatu państwowego" (opinia prof. Ewy Łętowskiej).

Iwona Orzełowska, radna klubu PiS w Siedlcach, przeciwstawiła się przygotowanej przez Ordo Iuris karcie dyskryminującej osoby LGBT i uchwała ku niezadowoleniu bp. Kazimierza Gurdy nie uzyskała większości.

Gry z serii „Wiedźmin" sprzedano już w 50 mln egzemplarzy.

Wstrzymana budowa nowego bloku w elektrowni w Ostrołęce kosztowała podatników już ponad 1 mld zł. Przeprowadzone analizy wykazały całkowitą nieopłacalność tej inwestycji. Za zmarnowaną kwotę plus zobowiązania wobec General Electric odpowiada rząd Morawieckiego.

Bp Stanisław Napierała, ówczesny ordynariusz kaliski, i ks. Piotr Bałoniak tuszowali przestępstwa seksualne ks. Arkadiusza H., ujawnione w filmie braci Sekielskich „Zabawa w chowanego".

O 6,1% zdrożała żywność w maju. W kwietniu ceny żywności wzrosły o 7,4%.

Marcin Chludziński, prezes KGHM, zapisze się w historii kombinatu miedziowego jako notoryczny kłamca. **Po publikacjach „Gazety Wyborczej", która ujawniła jego kłamstwa w sprawie ściągniętych z Chin maseczek, powinien zostać odwołany.** Ale kto ma to zrobić? Premier Morawiecki czy wicepremier Sasin, którzy w tej sprawie również kłamali? **Za Chludzińskim stoją pisowskie media, które dostały od niego wiele milionów złotych na gale, imprezy sponsorowane i reklamy.**

Barbara Ćwioro została odwołana ze stanowiska ambasadora Polski w Czechach z powodu mobbingu i dyskryminowania pracowników.

PRZEBŁYSKI

Pisia Tuczna

Jest taka kraina, przez którą płynie urocza rzeczka Pisia Tuczna. Jej nazwa to nie żart ze Zjednoczonej Prawicy. Pisia Tuczna była Pisią Tuczną setki lat wcześniej, niż trafiła na jej brzegi dojna zmiana. Płynęła sobie ta rzeczka leniwie, gdy na okolicznych polach harowały rodziny chłopów pańszczyźnianych.
Ludzie zarabiali grosze. Tyle, żeby przeżyć. Nie mogli przewidzieć, że kiedyś będzie partia PiS. I że jej działacze, ich rodziny, kuzyni i pociotki zjadą nad Pisię Tuczną, by zarabiać wielką kasę. Ich pomysł to Centralny Port Komunikacyjny. I tam licznie się ulokowali. Choć budowa ma ruszyć dopiero za trzy lata, już przejedli ponad 300 mln zł. A zanim coś powstanie, trzeba będzie do rachunku dopisać dwa zera. Ale nazwa już jest. Port lotniczy im. Pisi Tucznej.

De facto wicepremier Emilewicz

Do nielicznych osiągnięć Jadwigi Emilewicz dochodzi nasze współczucie. Zaczynamy się martwić, i to na serio, o zdrowie pani wicepremier. Nie jest dobrze. Do kłopotów z liczeniem dochodzą problemy ze słuchem. Pamiętamy, jak niedawno pomyliła się o 850 tys. Żywych ludzi. Jej zdaniem z Polski miało wyjechać milion Ukraińców. Realnie wyjechało 150 tys. Ostatnio zaś bardzo się pogorszył słuch pani Jadwigi. Z odległości metra nie usłyszała tego, co wykrzykiwał Kaczyński. Cała Polska słyszała, a Emilewicz nic a nic.
Popisała się za to cudem werbalnym. Obiecany przez nią bon wakacyjny na 1000 zł dla każdego zamienił się w bon 500 zł dla dzieci. Bo jak mówi: „Jeśli rodzina ma dwoje dzieci, to te 1000 zł na rodzinę *de facto* będzie".

Lodem i piórem

Jakoś tak mamy, że na widok tego faceta idziemy do lodówki albo szukamy pióra. Do lodówki, bo Jarosław Pinkas, główny inspektor sanitarny, jeszcze w lutym głosił, że Polsce nie grozi żadna epidemia, a tym, którzy alarmowali, że brakuje wszystkiego, radził, by „włożyli sobie lód do majtek". My to Pinkasowi pamiętamy! Lód wrzucamy jednak do wody z cytryną.
Z piórem zaś jest tak, że go nie mamy. Ale Pinkas ma, i to niejedno. Nawet Visconti. W 2008 r. jako wicedyrektor Instytutu Kardiologii w Warszawie trafił do aresztu pod zarzutem brania łapówek. W 2015 r. został uniewinniony. Prokurator Krzysztof Chojnacki złożył apelację, bo chciał zmiany wyroku. Ale za rządów PiS w 2016 r. wycofał oskarżenie wobec Pinkasa. I szybko awansował.

Barbara Dziuk – plama na garsonce

My tu ciągle o liderach prawicy, a przecież jeszcze większe jaja dzieją się na zapleczu PiS. Mateusz Cieślak z „Nie" przyjrzał się Barbarze Dziuk, posłance PiS z okręgu gliwicko-tarnogórskiego. W Sejmie pełni ona skromną funkcję przewodniczącej zespołu ds. *nordic walking* (maszerowania z kijkami). Przed czterdziestką ukończyła w Tarnowskich Górach, gdzie mieszka, filię Wyższej Szkoły Zarządzania i Administracji w Opolu. Płaciła 1,7 tys. zł za semestr i jakoś poszło. Nie poszło za to z przekształceniem działki rolnej w budowlaną. Wójt Zbrosławic pogonił Dziuk. CBA, prokuratura i policja zajmowały się tą sprawą, ale ich entuzjazm spadł do zera. Do PiS Barbarę Dziuk przyjął Józef Burdziak, starosta Tarnowskich Gór. Pewnie żałuje, bo pani Basia wyrzuciła go potem z partii. Ale skoro zaproponowała, by na nowym banknocie 500-złotowym był Lech Kaczyński, wróżymy jej kolejne awanse.

FOT. YOUTUBE(2), RAFAŁ GUZ/KPRM

epraca.pl 3467c7f583

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Skąd bierze się popularność ruchów antyszczepionkowych?

DR DAWID CIEMIĘGA,
pediatra, popularyzator medycyny

Coraz popularniejsze stają się wszelkie ruchy antynaukowe, np. kwestionujące istnienie wirusów czy lądowania na Księżycu. Za istotny powód uważam fake newsy w internecie. Wiele osób jest na nie podatnych, bo łatwiej zajmować się teoriami spiskowymi niż wiedzą. Nie wymaga to czytania książek i artykułów naukowych, każdy z marszu staje się ekspertem od fizyki, chemii, astronomii czy medycyny, ale – co ważniejsze – od razu znajduje się w grupie, która go popiera. Dzięki temu może się poczuć wysłuchany i ważny, nie musi prezentować żadnej wiedzy. A że coraz więcej ludzi jest pozbawionych samokrytycyzmu, co pokazują celebryci, każdy uważa się za najmądrzejszego. Dotyczy to również osób wykształconych, które nie mają pojęcia, jak formułuje się dowody naukowe, więc dla nich anegdoty typu „kolega kolegi pracuje w szpitalu i tam nikt nie umarł na COVID-19" są dowodami najwyższej wagi. Uważam, że system edukacji jest nieadekwatny do obecnych czasów. Albo zaczniemy się skupiać na praktycznych rozwiązaniach, zamiast ciągle wszystko komplikować, albo będziemy tonąć w absurdach.

DR MARTA KAŁUŻNA-OLEKSY,
Uniwersytet Medyczny w Poznaniu

Ruchy, które podważają dotychczasowe metody postępowania leczniczego, biorą się przynajmniej po części z tego, że w mediach społecznościowych pojawia się masa różnych, nieraz sprzecznych informacji, w związku z czym ludziom często trudno odsiać te prawdziwe od nieprawdziwych czy niesprawdzonych. Dlatego tak ważna jest edukacja zdrowotna całego społeczeństwa. Obecnie w Polsce dzieci i młodzież nie są w wystarczającym stopniu uczone tego, co jest korzystne, a co szkodliwe dla zdrowia, więc w dorosłym życiu łatwiej utrwalają się błędne przekonania i niewłaściwe postawy.

PROF. DARIUSZ JEMIELNIAK,
teoretyk zarządzania,
Akademia Leona Koźmińskiego

Przyczyn jest sporo. Po pierwsze, jako gatunek jesteśmy istotami narracyjnymi, a nie statystycznymi – jedna łzawa historia o powikłaniach bardziej wpływa na zachowania niż suchy rachunek prawdopodobnych korzyści i potencjalnych skutków ubocznych. Po drugie, sieci społecznościowe umożliwiły na niespotykaną skalę komunikowanie się i zbieranie w grupy osób o podobnych poglądach. Po trzecie, model biznesowy tych sieci opiera się na reklamach – bardziej więc opłaca im się rozpowszechniać informacje mocno angażujące i kontrowersyjne, a nie prawdziwe. Po czwarte, internet pozwala na udzielanie porad przez każdego każdemu – a ponieważ chętnych do występowania w roli autorytetu medycznego jest więcej niż ekspertów medycyny, rośnie rynek pseudoporad. Co prowadzi do piątego – porady altermedyczne to olbrzymi biznes, znany polski hochsztapler i znachor promujący lewoskrętną witaminę C zarabia miliony złotych. Wreszcie po szóste, ruchy antyszczepionkowe są sponsorowane przez reżimy antydemokratyczne. Bardzo im się to opłaca, gdyż zmiana zachowań raptem 1-3% populacji może zagrozić całemu społeczeństwu.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 3467c7f583

Minister tyłem do uczniów i nauczycieli

Żadne środowisko tworzące polską szkołę nie zostało zaszczycone uwagą Piontkowskiego

Rozmawia Beata Igielska

W trudnych czasach potrzebny jest wyrazisty przywódca. Tymczasem minister Dariusz Piontkowski jest, a jakby go nie było. Często mówi, że coś mu się wydaje. Na tej przesłance oparł rozporządzenie o otwarciu żłobków i przedszkoli.

– Ale gdyby minister nagle zapragnął przeistoczyć się w charyzmatycznego i wyrazistego przywódcę, nikt by w to nie uwierzył, dopiero byłaby katastrofa. Ewidentnie resort nie ma ani pomysłu na edukację, ani inicjatywy, ani swobody działania. Raz dowiadujemy się czegoś od premiera, raz od ministra zdrowia, a generalnie wszystkiego z telewizji.

Zamykanie szkół było cedzone, jakby zerkano w kierunku Nowogrodzkiej, jakie instrukcje stamtąd popłyną.

– Na pewno zerkano w stronę premiera. Pewnie działał jakiś sztab antykryzysowy, który miał łączyć różne wątki w państwie, owszem, potrzebny, ale jego decyzji nie szanowano, bo nasze środowisko nie uznało ich za przychodzące z właściwej strony. Minister podkreślał, że dyrektorzy mają autonomię – to dobrze brzmiało, jestem za. Tylko że za tym powinno pójść danie narzędzi ludziom, tak samo jak do odmrażania gospodarki. To bardzo drogie zadanie.

W tarczy 4.0 część środków otrzyma nie edukacja, lecz „biedny" Kościół.

– Takie właśnie policzki nam wymierzają. Można uruchamiać ciągle nowe środki, na ciągle nowe zadania. Przywództwo z każdej strony jest nie do zrobienia już w tej chwili, bo nie wzbudzi wiary ani wrażenia autentyczności. Minister od początku kadencji odcinał się od środowiska, nie przeprowadza żadnych konsultacji, siedzi w wieży z kości słoniowej, bez twórców oświaty.

MAREK PLEŚNIAR

– dyrektor biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty (OSKKO) skupiającego ponad 6 tys. dyrektorów i wicedyrektorów szkół i placówek oświatowych oraz urzędników oświatowych. OSKKO organizuje Kongres Zarządzania Oświatą i konsultuje zmiany w prawie oświatowym.

Szkoły mierzyły się też z problemem ocen, które generalnie są wyższe, niż były. Od początku Nauczyciele Roku i Superbelfrzy apelowali, żeby się uspokoić z realizowaniem podstawy programowej, bo teraz najważniejsze są dzieci.

– Przy jej realizacji uparł się rząd. I nauczyciele służbiści, mało kreatywni. A to nierealne. W tej sprawie najbardziej znów brakuje przywództwa. Uczniowie są ofiarą braku wizji ze strony państwa. A dziś jest świetna okazja do całkowitego przewrotu w podstawie programowej. Przewróćmy stolik, zróbmy rewolucję w szkole, tę na którą wszyscy czekali! Ale to nie takie proste, bo nie można zadekretować, że będzie dobrze. Przewrotu dokonują ludzie twórczy, którzy do tego się nadają. Centralizacja zaś nie może uruchomić kreatywności i aktywności, bo tłumi nauczycielską wolność tworzenia. Było to już widać przy podstawach programowych po likwidacji gimnazjów. Nikt nawet nie chciał się przyznać do ich autorstwa. Zrobiła się afera.

Przewrót jest konieczny również dlatego, że dzieci nie zostały nauczone samodzielnej pracy. W szkole dominują formy podawcze.

– To ma drugą stronę. Wysłuchałem dyskusji pedagoga dr. hab. Piotra Plichty z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz prof. Jacka Pyżalskiego z UAM. Wcale nie mamy do czynienia z pokoleniem cyfrowych tubylców, raczej cyfrowych turystów.

Badanie PISA 2012 pokazało, że młodzi są wręcz analfabetami cyfrowymi. Potrafią tylko pisać skrótowcami w komunikatorach.

– Prof. Pyżalski mówił, że gdy poproszono zespoły uczniów o znalezienie sposobów nauki języków obcych, nie potrafiły wiele znaleźć, podawały

eprasa.pl 3467c7f583

banalne przykłady typu oglądanie filmików na YouTubie. Wszyscy jesteśmy temu winni. Mogliśmy już dawno być lepsi, szkoła mogła tym się zająć. Jednak ma przestarzałe podstawy programowe i w sprawie edukacji cyfrowej leżymy. Dzieci nie tylko nie umieją korzystać z internetu od strony technicznej, ale też nie potrafią oddzielić informacji ważnych od nieważnych, fałszywych od prawdziwych. Tego nie uczymy. Dorośli zresztą także nie potrafią oddzielić internetowego ziarna od plew. Teraz dodatkowo jesteśmy już zmęczeni lękiem przed epidemią, utratą pracy. Wkrótce wszyscy, nie tylko dzieci, będziemy potrzebować psychiatrów. Słaby psychicznie i materialnie uczy słabego. Dzieci nie są ani samodzielne, ani silne, ani odważne, a szkoła ma mało narzędzi i są one marne. Resort oświaty nie popisuje się od lat, przygotowując platformy cyfrowe.

Edukacja zdalna nie udała się chyba nigdzie, prowizorką nazwał jej efekty jeden z duńskich publicystów rządowych. Stany Zjednoczone okazały się kolosem na glinianych nogach. Za 25 MB internetu trzeba zapłacić 55 dol., tam e-learning nie mógł się udać. To oczywiście nie usprawiedliwia braku działania MEN.

– W USA widać konsekwencje rządów wolnego rynku w zadaniach publicznych. W Europie ceny internetu są lepiej uregulowane. Cokolwiek by mówić, w Polsce służba zdrowia czy edukacja są biedne i bez wsparcia, ale dostępne dla wszystkich. Jak zwykle u nas, służby staną na głowie, obciążą własną kadrę i wyczołgają się z tego wszystkiego.

Rząd zagubił też dzieci niepełnosprawne.

– Tak, w epidemii jeszcze trudniej do nich dotrzeć. Dzieciaki niepełnosprawne mają trudności ze skorzystaniem z tego samego, z czego mogą korzystać dzieci zdrowe. Środki dla nich powinny być bogatsze. Potrzeba więcej zaangażowania i sił, żeby całkowicie się nie zamknęły ani fizycznie, ani psychicznie. Nie przyjdą przecież na konsultacje.

Wszystko, co nasze stowarzyszenie ogłasza w tej chwili, dociera do rządzących przez media. W MEN mają przecież świetną prasówkę. Rząd się chwali: otwieramy, robimy, zrobiliśmy. Tymczasem wszystko działo się bez jego pomocy, tylko wytyczne przychodziły. Dlatego ostatnio ulubionym dowcipem dyrektorów jest ten stary o koniu: „Węgiel przywieźliśmy", mówi woźnica. Koń się odwraca: „My przywieźliśmy?". To zresztą spływa też na stosunki szkoła-dom. Nauczyciele mówią: uczymy, a rodzice: no akurat, wy uczycie. Rozsypaliśmy puzzle i grzebiemy się w kompletnym bezładzie. Ludzie ratują, co mogą, sami. To trudne.

Resort nie ma ani pomysłu na edukację, ani inicjatywy, ani swobody działania.

Nauczyciele są zmęczeni, większość ciężko pracuje, zarywając noce, co nie przekłada się na finanse.

– Nie przekłada się, gdyż niedoszacowane transfery środków z państwa do samorządów skutkują cięciami w szkołach – do kości. Oszczędza się na wszystkim, w tym na godzinach ponadwymiarowych, czyli *de facto* na wsparciu ucznia poza lekcjami. Powszechne są przymiarki nauczycieli z uprawnieniami do emerytury do ucieczki ze szkoły. Po nich, co roku, będą odchodzili następni. A młodzi nie garną się do tego zawodu. Opinię o pracy nauczycieli nadszarpnęła początkowa klapa lekcji telewizyjnych. Można się znęcać nad tymi, którzy je prowadzili. Ale tam również zabrakło kreatywnego przywództwa i przygotowania. Nawet gdy zauważono, że trzeba ściągnąć osoby lepiej przygotowane, wesprzeć je, nie każdy nauczyciel na to poszedł.

Uczniowie są ofiarą braku wizji ze strony państwa.

Nauczyciele Roku powiedzieli: nie. Skoro pan minister poniewiera nimi, ironizując w TVP: umiecie strajkować, teraz pokażcie, co potraficie, podziękowali za udział w lekcjach.

– Na tym też polega nieumiejętne przywództwo. Obecnie te lekcje są lepsze. Widziałem lekcję, w której wystąpił doradca metodyczny, prowadził ją jednak na takim poziomie, jakby uczył nauczycieli. To samo znakomicie grający muzyk – dał popis gry na instrumentach. Zbyt często są to wykłady, a nie lekcje. Te polegają na tym, że to uczeń coś wykonuje. Prowadzić lekcje powinni świadomi tego nauczyciele, a nie wykładowcy akademiccy. Mówię to z całą życzliwością dla coraz lepszych audycji.

Edukacja online okazała się nagłą decentralizacją, rząd umył ręce i zrzucił odpowiedzialność na dyrektorów i samorządy. Jak to wygląda od strony dyrektorów, z którymi ma pan kontakt? Z czym oni zgłaszali się do stowarzyszenia?

– Dyrektorzy potrzebują dziś wsparcia prawnego. Powstawała i powstaje gigantyczna góra papieru, instrukcji do podpisania, które trzeba wytworzyć.

Co do papierologii stosowanej, czy dyrektorzy naprawdę muszą wszystko raportować? W rozporządzeniu wcale tego nie ma, to raczej działania asekuracyjne.

– Pewne papiery są niezbędne, ale mamy jeszcze raporty, ankiety, to wszystko, co kuratoria oświaty narzucają dyrektorom. Zażądały wyjaśnień, ilu uczniów jaką opieką jest objętych itp. To było bardzo irytujące, w dwóch trzecich zbędne. Wyglądało groteskowo, jakby urzędnicy starali się udowodnić, że są potrzebni. Tymczasem dyrektorzy mieli co innego na głowie, zostali sami z problemem edukacji zdalnej, wszystkiego dowiadywali się z mediów.

Ciekawe, czy nagła autonomia jest dana szkołom na zawsze, czy na chwilę.

– Obawiam się, że sposób raportowania, jakiego zażądały kuratoria, może świadczyć o tym, że wkrótce zaczną odzyskiwać oddaną władzę. Ale wracając do pytania, nie lekceważyłbym wszystkich dokumentów. Mamy do czynienia z lękiem przed epidemią, ale też z walką ze wszystkimi obostrzeniami. Straszenie obywateli trochę państwu ułatwia sprawę, bo na razie rodzice nie protestują. Ale należy się spodziewać licznych pretensji. A dyrektorzy muszą udowodnić rodzicowi, że na pewne działania się zgodził, wiedząc, że jest epidemia. Czeka nas przelewanie na papier całego procesu zdalnego nauczania i oceniania.

eprasa.pl 3467c7f583

Co na to stowarzyszenie?

– Jako stowarzyszenie odradzamy nadprodukcję tej dokumentacji. Choć oczywiście wszystko jest dobrze, dopóki nie zaczną się sprawy sądowe związane z niezadowoleniem z ocen, gdy rodzic spodziewał innych. Po otwarciu żłobków, przedszkoli i klas I-III szkół podstawowych dyrektorzy musieli stworzyć dokumentację zgodnie z zaleceniami Głównego Inspektora Sanitarnego. Mieli obowiązek stworzenia procedur higienicznych w szkole: jak dzieci i rodzice wchodzą do szkoły, jak się przebywa w bibliotece, jak spożywa posiłki, jak będzie się je podawać, kto i kiedy wchodzi do sal. Gdy w razie zakażenia sanepid spyta dyrektora, kto kontaktował się z zarażonym dzieckiem, skończą się żarty i lekceważenie tych wszystkich dokumentów. Jestem po kilku naszych webinariach, za każdym razem uczestniczyły w nich setki, a nawet tysiące osób. Staramy się podsuwać dyrektorom pomysły, jak dokumentować, jak organizować te wszystkie procedury w szkole. Minister edukacji, nie wypuszczając rozporządzenia, obwieszcza poprzez media, że dzieci wrócą do szkół i… róbta, co chceta. W Polsce jest 37 tys. dyrektorów szkół i placówek oświatowych, przygotowanie sensownych procedur wymaga około pięciu dni. Trzeba więc wypracować 200 tys. „dyrektorodni". Do tego dorzućmy czas nauczycieli, którzy spotykają się online, by uczyć się, na co mają być gotowi. Decyzja o powrocie dzieci z klas I-III była bez sensu. Poprzychodziło po kilkoro.

Tu z panem się nie zgadzam. Do szkoły mojego syna przyszło 30% dzieci. Dziecko przyjaciółki poszło na prośbę psychiatry, który powiedział, że jeśli jeszcze posiedzi w domu, dopiero zaczną się problemy. Już jest na lekach. Trzeba tworzyć ostre procedury odnośnie do powrotu do szkół. Ale dyrektorzy przesadzają, dając do podpisania pracownikom oświadczenia, że w razie zarażenia koronawirusem nie będą składać skarg do sądu. Bez podpisania oświadczenia pracowników w Skarżysku-Kamiennej nie wpuszczono do szkoły.

– Zapewniam, że dyrektorzy, których szkolimy, nie robią takich głupstw. Niestety, jeden przypadek wpływa negatywnie na obraz środowiska. Takie oświadczenia są nieskuteczne prawnie. To dyrektor odpowiada za BHP. Częściowo do tych działań zobowiązały ich samorządy, np. rodzic oświadcza, że przyprowadza zdrowe dziecko. Dobrze byłoby całkowicie wyeliminować tego rodzaju oświadczenia.

Pan minister ani razu nie zwrócił się do dzieci. Raz obsztorcował maturzystów, że nie będą mu terminu matury narzucać. Natomiast Finlandia, Nowa Zelandia, Norwegia zorganizowały konferencje, podczas których pytania zadawały dzieci.

– Oglądaliśmy, zwłaszcza relację z Finlandii. W Polsce żadne środowisko tworzące szkołę nie zostało zaszczycone uwagą ministra. Przez to władza pozbawia się informacji zwrotnej. Słucha tylko pochwał albo niczego. To trwa od dawna. Mamy doświadczenie ze strajków w ubiegłym roku. Ze strony pracodawcy samotnie wspieraliśmy kadrę, ba, współpracowaliśmy ze związkami i poparliśmy postulaty nauczycieli. I w czasie strajku, i teraz nauczyciele i dyrektorzy wiedzą, że ich rozumiemy, jesteśmy z nimi, dzielimy ich troski. Czemu nie robi tego minister? Nie wiem, ale mógłby się pouczyć od społeczników. Brak informacji zwrotnej powoduje, że nie działa automatyka rządzenia. Bo nic się nie wie, nie rozumie i nie chce się wiedzieć.

Szkołę tworzą nauczyciele, uczniowie i rodzice. Te trzy grupy nie usłyszały nic oprócz komunikatów, zaleceń i zarządzeń. Procedury tworzymy na dole, środki pozyskujemy na dole, brak środków również od razu widać na dole. Przez chaos w zarządzaniu jesteśmy narażeni na niepotrzebne wydatki. Przeciętne przedszkole wydało ok. 6 tys. zł na przygotowanie placówki na przyjęcie kilkorga dzieci. Obiecane w marcu płyny do dezynfekcji dopiero dziś zaczynają docierać do wielu szkół.

To ogromny problem, zwłaszcza w przypadku szkół szpitalnych.

– A społeczeństwo pewnie jest przekonane, że te środki dostarczono. Przemyślałem to, co pani powiedziała o powrocie dzieci do placówek. Rzeczywiście, są słabe, wystraszone i potrzebowały kontaktu z rówieśnikami. Ale uważam, że było za wcześnie na powrót w tamtym momencie epidemii. Coraz starsze nauczycielki przedszkoli naprawdę bały się o swoje zdrowie. Wspierały się przez komunikatory, media społecznościowe, co przećwiczyły już w trakcie strajku. Tamta lekcja spowodowała, że nauczyciele przez całą karierę zawodową nigdy nie rozmawiali ze sobą tak szczerze jak wtedy. Teraz nie mają ani wsparcia, ani zrozumienia ze strony rządu. Szkoda. Bo potrzebna jest wielka rozmowa o edukacji. Teraz nadarza się okazja. Warta przemyślenia jest edukacja seksualna i rozmowa o analfabetyzmie cyfrowym młodych. Więcej by nam dała wielka lekcja korzystania z internetu niż wkuwanie wiedzy o przydawkach.

Kolejna sprawa to pieniądze na zaopatrzenie w sprzęt dzieci i nauczycieli. Trzeba ich wesprzeć w kształceniu i samokształceniu w kwestii korzystania z internetu. No i wesprzeć psychicznie, żeby kontakt z uczniami stał się bardziej personalny, bardziej osobisty. Żeby nie odpalali wspaniałej e-lekcji z telewizji albo z YouTube'a. Dla ucznia cenniejsze jest, gdy mu coś powie jego pani. Na szczęście dla edukacji pojawiło się paru naukowców, którzy wiedzą, o co chodzi, wzajemnie uczymy się od siebie.

Od początku zdalnej nauki pogłębia się przepaść edukacyjna. Jedne szkoły odpaliły Zoom, drugie zbudowały platformę edukacyjną, a pozostałe pracują tylko przez e-dzienniki. Nawet w miastach są miejsca bez internetu, już nie mówię o wsiach. To prowadzi do rozwarstwienia, które dobije edukację.

– Zapewniam, że szkoły dotarły do większości uczniów. Przepytywałem na ten temat dyrektorów z ośrodków zarówno małych, jak i wielkich i byłem zdziwiony. Kompletne odklejenie się od systemu jest niewielkie. Tylko na początku sporo dzieci „zniknęło". Potem dyrektorzy rozdali sprzęt za pokwitowaniem. W pracowniach nie ma laptopów, wszystkie są u dzieci. Nauczyciele też mieli kłopoty ze sprzętem, ale szybko sami je rozwiązali. Docierało się z kartami pracy

Wcale nie mamy do czynienia z pokoleniem cyfrowych tubylców, raczej cyfrowych turystów.

eprasa.pl 3467c7f583

Matura w XI Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Reja w Warszawie.

do uczniów, którzy nie mieli innej możliwości nauki. Ujawnił się jednak inny problem. W wielu szkołach nauczyciele, pedagodzy i dyrektorzy na zmianę dzwonili z prywatnych telefonów, ponieważ rodzice nie odbierali, gdy widzieli numer szkoły.

Mówiąc o rozwarstwieniu, myślę bardziej o tym, że nie wszyscy rodzice są w stanie pomóc dziecku. W wielu przypadkach trzeba będzie powtarzać semestr.

– Nie przeceniałbym roli trzech miesięcy tego roku szkolnego. Zdrowie jest ważniejsze. Nie uczy się przez jeden rok, lecz w kilkuletnich etapach. Wszystko jest do nadrobienia. Naprawdę, tylko pechowy nauczyciel sobie z czymś takim nie poradzi. Dopiero co krytykowaliśmy przeładowaną podstawę programową. Pandemia spowodowała, że uczymy tylko rzeczy ważnych.

Ale nie wszyscy rodzice przed południem mogą siedzieć z dzieckiem nad lekcjami, a po południu wspólnie rozwiązywać krzyżówki.

– Nie demonizowałbym. Skala problemu nie jest tak wielka. Owszem, mniej jesteśmy w stanie nauczyć w ciągu 20-30 minut niż w ciągu 45 minut. Mimo wszystko stoimy przed gigantyczną szansą, uczy się bez błogosławieństwa MEN, rzeczy podstawowych, pilnych. Sam regularnie organizuję rozmaite webinaria. Na półtoragodzinnym szkoleniu robimy taką pigułę, że potem trener jest przez cały dzień wykończony. Ten kanał informacyjny jest strasznie wymagający, ale dostarcza wiadomości, wszyscy są bardziej skupieni. Niemniej jednak rodzice zgłaszają, że są zmęczeni, uczniowie też mówią, że to bardzo obciąża. Przechodzimy wielki eksperyment.

Jakie powinny być dalsze kroki?

– Największym zadaniem jest teraz przygotowanie się na wrzesień. Z tego, co teraz robimy, musimy wyciągnąć wnioski. Tu, na dole, bo resort edukacji wciąż nie rozmawia o strategii, uprawia ledwie taktykę, na bieżąco rozwiązuje problemy. Gdyby był prawdziwy lider polskiej edukacji, powiedziałby: drodzy rodzice, uczniowie, nauczyciele, przechodzimy ogromny eksperyment. Uczmy się, jak pracować efektywnie, rozmawiajmy, wspierajmy się.

Dziś jest świetna okazja do całkowitego przewrotu w podstawie programowej.

Nie zapominajmy, że w epidemię weszliśmy z wielkim kryzysem psychologicznym młodych, dyskutowaliśmy o samobójstwach. Nagle przestało się o tym mówić. Jedyny dobry pomysł na wsparcie dzieci to konsultacje zamiast dalszego udawania edukacji. Choć pewnie ministerstwu wcale nie chodziło o takie wsparcie. Najprawdopodobniej musimy się przygotować na dalszą edukację zdalną. Nadal jednak nie widać zaopatrzenia dzieci w lepsze laptopy, z wykupionym internetem i modemem.

Wy, zaawansowani praktycy, umiecie tworzyć piguły, natomiast wielu nauczycielom to nie wychodzi. Siódmoklasiści siedzą nad lekcjami od świtu do nocy. Jeśli zazwyczaj na matematyce robili trzy zadania, online dostawali osiem.

– To prawda, ale całkowity chaos się nie pojawił. Słabą stroną nie jest brak umiejętności ze strony nauczycieli. Oni umieją bardzo różne rzeczy, tylko to nie jest uporządkowane. Uratowała nas przyroda, bo epidemia przyszła wiosną, a nie w grudniu, i technologia, bo internet w Polsce jest od niedawna szybki. W związku z tym w ogóle nauka zdalna była możliwa.

Ale przecież na początku posypały się systemy Vulcan i Librus.

– To była wina systemów, nie jakości internetu. Zresztą usterki szybko usunięto. Niedoskonałości występujące na początku nauki zdalnej musimy sobie wszyscy wybaczyć. Teraz jest naprawdę nieźle, technologia wytrzymała, tylko my nie jesteśmy przygotowani, ale nie było planu na wypadek pandemii, która zmusi nas z dnia na dzień do edukacji cyfrowej. Rzeczywiście, nauczyciele są przygotowani do niej bardzo różnie.

Pandemia obnażyła niedoskonałości systemu edukacji.

– Mamy po niej kilka zadań do odrobienia. Można już też wystawić oceny. Szkołom dałbym mocną czwórkę: w tych warunkach, bez wsparcia państwa, wyszło i tak nieźle. Praca domowa? Latem musimy przygotować kadry do nowego otwarcia po wakacjach. Rząd – trójka, z litości. MEN powinno urealnić finansowanie samorządom godzin pracy dodatkowej nauczycieli i zakupów sprzętu, oprogramowania, usług internetowych. I wreszcie przestać obrażać nauczycieli, a zacząć ich słuchać.

Samorządy? Tu nie da się wystawić jednolitej oceny, bo każdy działa inaczej. Organy prowadzące powinny wesprzeć uczniów, tj. nie oszczędzać na pracy nauczycieli, na godzinach ponadwymiarowych, bo uczniowie teraz potrzebują wsparcia szczególnie. Zdalna edukacja wymaga więcej godzin pracy, ludzie są zmęczeni, w takiej sytuacji nie można kazać nauczycielom pracować ponad normę za darmo.

Beata Igielska

FOT. PIOTR KOWALSKI, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 3467c7f583

Duda, czyli Polska Kaczyńskiego

Obecny prezydent jest dla prezesa PiS najwygodniejszy, bo wystarczająco mierny, by nie stwarzać zagrożenia

Robert Walenciak

Ta kampania ma dwóch liderów. Pierwszym jest Rafał Trzaskowski, lider z zaskoczenia – on sam pewnie się nie spodziewał, że może mieć tak udany start. 1,6 mln podpisów zebranych w kilka dni robi wrażenie. Okazało się, że nie trzeba było nikogo mobilizować, bo ludzie zmobilizowali się sami. Stali w długich kolejkach, by złożyć swój podpis pod jego kandydaturą.

Anty-PiS ma więc swojego lidera, ma także nadzieję na wygraną. Czyli coś, czego nie miało od przynajmniej pięciu lat. A PiS?

PiS też ma lidera. Nie jest nim oczywiście Andrzej Duda. Owszem, on walczy o drugą kadencję, ale przecież każdy wie, że w tej walce jest figurantem. Narzędziem w rękach Jarosława Kaczyńskiego.

A jeżeli nawet ktoś o tej oczywistej oczywistości zapomniał, to w ostatnich dniach przynajmniej dwa wydarzenia mu o niej przypomniały. Pierwsze to list prezesa do członków PiS. Kaczyński pokazał w nim wroga – czyli Trzaskowskiego, którego nazwał „przedstawicielem skrajnej lewicy" oraz „zagorzałym zwolennikiem ideologii LGBT marzącym o tym, by jako pierwszy udzielić ślubu parze homoseksualnej". No i pokazał tego, na którego wybór ludzie PiS powinni pracować – czyli Andrzeja Dudę. „Obecny Prezydent jest współtwórcą dobrej zmiany, czyli reform w sferze polityki gospodarczej, polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, w dziedzinie oświaty i kultury oraz polityki historycznej", napisał.

Oddziały PiS, działacze w terenie, ministrowie, szefowie spółek, szefowie mediów publicznych – wszystkim im Kaczyński ogłosił stan alertu. On, wielki wódz „dobrej zmiany" w wojnie przeciwko siłom starego porządku. Wojnie bez mała religijnej, między siłami dobra i zła. Wiemy już zatem, kto w tej kampanii będzie nadawał ton po prawej stronie.

Jest w tym liście pomieszanie ról – przywódcy religijnego i partyjnego wodza, takiego w stylu leninowskim. Przywódcy religijnego – bo prezes opisuje świat jako walkę dobra ze złem i na opisie tego zła (wiadomo, PO) się koncentruje. Zapowiadając przy tym, że droga do zwycięstwa będzie długa. A to dlatego, że ci inni (których wyklucza ze wspólnoty) nie przejrzeli jeszcze na oczy. Jeszcze nie wiedzą, otumanieni przez wrogie „dobrej zmianie" media, że służą złu. Innymi słowy, są innej wiary, więc albo się nawrócą, albo trzeba będzie się ich pozbyć. Za to partia, czyli PiS, ma plany „wielu dalszych, służących zarówno jednostkom, jak i całemu Narodowi, zmian". Czerpiąc zaś z frazy o walce klasowej zaostrzającej się wraz z rozwojem socjalizmu, Kaczyński dodaje, że walka trwa i że wróg jest coraz silniejszy.

Czyli im „dobra zmiana" ma więcej władzy, tym bardziej jest oblężona. A w takim oblężeniu, w państwie stanu wyjątkowego, rola przywódcy musi być jeszcze mocniejsza.

Drugie wydarzenie miało miejsce w Sejmie, podczas debaty nad wotum nieufności dla ministra Szumowskiego. To był okrzyk prezesa pod adresem opozycji: „chamska hołota". Kolejny – po kanaliach, mordach zdradzieckich, elementach animalnych, pseudoelitach… Wyliczać można długo.

Ten występ, a zwłaszcza reakcja polityków PiS, którzy zaczęli go… wychwalać, też uzmysłowił nam wszystkim, kto tu rządzi naprawdę i jak wygląda obecne państwo. Że Kaczyński jest ponad oficjalną władzą, ponad premierem i prezydentem, a jego władza jest zupełnie niekontrolowana. Ba! On sam ma kłopot z kontrolowaniem swoich wybuchów.

Awantura w Sejmie rozgorzała podczas debaty nad wotum nieufności wobec ministra Szumowskiego. Gdy przemawiała przedstawicielka PO Barbara Nowacka, Kaczyński ostentacyjnie rozmawiał w ławach rządowych, odwrócony do niej tyłem. Trudno o bardziej dobitny gest – pogardy dla kobiety, dla debaty, dla Sejmu, dla demokracji. Demonstracja pychy – że ja mogę, że jestem ponad tym wszystkim.

Owszem, ten okrzyk świadczył o tym, że Kaczyński nie panuje nad emocjami. Że przyzwyczaił się do besztania kogo chce, gdzie chce i jak chce. Ale – co równie ważne – pokazał też, jak wygląda system władzy wewnątrz PiS. Bo jaka była reakcja podwładnych prezesa? Poza grupką gowinowców, którzy „nic nie słyszeli" (cóż za laryngologiczna przypadłość), reszta prześcigała się w wymyślaniu dla niego usprawiedliwień.

Kaczyński ogłosił stan alertu. On, wielki wódz „dobrej zmiany", w wojnie przeciwko siłom starego porządku. Wojnie między siłami dobra i zła.

Został sprowokowany, miał prawo tak powiedzieć, potraktować złych ludzi męskim słowem. To ostatnie wymyślił premier Mateusz Morawiecki. Tak oto knajacki gest awansował do rangi symbolu męskości.

Po raz kolejny więc zobaczyliśmy, jak bardzo Kaczyński nad swoim otoczeniem dominuje. I jak bardzo chory jest to związek. Bo z jednej strony jest on, który uważa, że wszystko mu wolno, a z drugiej oni – zgięci w ukłonie dworzanie. W sumie wykonawcy woli prezesa. Postacie bez większego znaczenia.

Kto bowiem ma znaczenie w PiS? Z czyim zdaniem prezes się liczy? Kto jest tam samodzielny? Rydzyk, Gowin, może Ziobro… I kto jeszcze? Na pewno samodzielny nie

eprasa.pl 3467c7f583

Jadwiga Emilewicz okrzyku Kaczyńskiego o hołocie w Sejmie nie słyszała. Jarosław Gliński też nie zareagował.

jest Andrzej Duda, lokator Pałacu Prezydenckiego.

•

Pisząc konstytucję, jej twórcy bardzo precyzyjnie wpisali w nią rolę prezydenta. Odebrali mu, w porównaniu z poprzednią ustawą zasadniczą, sporo uprawnień, m.in. osławione resorty prezydenckie. Ale to nie znaczy, że sprowadzili go do ozdobnika. Nic z tych rzeczy! Prezydent został dzięki temu wyłączony z bieżącej polityki, z zarządzania ministerstwami, co dało mu nową pozycję – strażnika prawa i równowagi politycznej.

Prezydent w tym modelu był jak najdalszy od angażowania się w bieżącą politykę, ale prawo weta pozwalało mu korygować błędy rządzących. Poza tym był raczej odpowiedzialny za strategię państwa, wyznaczanie dróg na przyszłość. Miał więc być oazą stabilności w niestabilnym świecie polityki. Arbitrem. Hamulcowym – jeśli chodzi o groźne dla Polski zamiary rządu. A przede wszystkim – reprezentantem wszystkich Polaków.

Ten model w wyniku wojny PO z PiS, wojny Tusk-Kaczyński, został zakwestionowany. I dla Tuska, i dla Kaczyńskiego okazał się niewygodny i nie do zaakceptowania. Owszem, prezydent to prestiż, uosobienie majestatu Rzeczypospolitej – co było dla nich atrakcyjne. Ale brak przełożenia na działania ministrów, wyłączenie z bieżącej polityki – to ich do prezydentury zniechęcało. Rola prezydenta wszystkich Polaków – chyba jeszcze bardziej. Ich sposób prowadzenia polityki polegał przecież na wykluczaniu, wskazywaniu tych złych, gorszych. Do tego modelu prezydentura nakreślona w konstytucji nie pasowała.

Tusk nazwał więc prezydenta „strażnikiem żyrandola", ogłaszając, że to stanowisko go nie interesuje. Jarosław Kaczyński miał łatwiej – wysunął na nie brata. A ten po wygraniu wyborów w roku 2005 rzekł: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania".

Nie miejmy złudzeń, od roku 2005 pozycja prezydenta w systemie politycznym Polski jest konsekwentnie deprecjonowana.

Rolą Lecha Kaczyńskiego było wspieranie władzy PiS i zwalczanie władzy PO. Polityka zagraniczna, którą starał się realizować, była już tylko namiastką działań, które prowadził jego poprzednik Aleksander Kwaśniewski.

Rola Bronisława Komorowskiego była jeszcze mniejsza. Prezydentem został z pozycji marszałka Sejmu, a więc ważnej i eksponowanej. Ale przecież jako prezydent szczególnego piętna na polskiej polityce nie odcisnął. To premier Tusk odgrywał w tamtych latach pierwszoplanową rolę.

Na tym tle Andrzej Duda jawi się jako żart lub pomyłka. Do wyścigu o prezydenturę startował z trzeciego, a nawet czwartego rzędu. Jako mało znany urzędnik Lecha Kaczyńskiego. Jako ten, którego wybrał Jarosław Kaczyński. Duda wygrał pięć lat temu dość niespodziewanie (choć chyba lepiej nazwać to porażką Komorowskiego) i od tego czasu skutecznie deprecjonuje urząd prezydenta. W czym jest samodzielny? W wyjazdach na powiatowe festyny – w tym na pewno, w tym się sprawdza. Ale w jakiej roli jeszcze?

Przez pięć lat prezydentury nie wyszedł z roli posłusznego urzędnika PiS. Najprościej jest określić niezależność prezydenta, wyliczając, ile razy zawetował ustawy rządzącej większości. Jak policzył portal OKO.press, do połowy lutego 2020 r. Duda podpisał 1037 ustaw, zawetował dziewięć. Ale cztery były ustawami jeszcze z czasów rządów koalicji PO-PSL. Innymi słowy, tak naprawdę zawetował pięć ustaw. Przy czym ważną rolę polityczną odegrały dwa weta – dotyczące tzw. ustaw sądowych, z lipca 2017 r. Przypomnijmy, był to czas wielkich manifestacji w obronie niezależności sądów i weto Dudy pozwoliło uspokoić sytuację. Nastroje opadły, a dwie ustawy sądowe, które zawetował w lipcu, weszły w życie w nieco innej formie w grudniu 2017 r.

Owszem, były momenty, kiedy Duda próbował być samodzielny, próbował prowadzić politykę, wykorzystując ten potężny instrument, jakim jest prezydentura. Ale szybko się okazywało, że ten instrument go przerasta. I z pokorą wracał do szeregu.

•

Lista upokorzeń Andrzeja Dudy jest długa i daje do myślenia. Przypomnijmy niektóre jej punkty.

• Gdy Jarosław Kaczyński pod koniec 2017 r. dokonał rekonstrukcji rządu, wymieniając Beatę Szydło na Mateusza Morawieckiego, Duda naciskał, żeby w nowym rządzie nie było Macierewicza, Szyszki i Waszczykowskiego. Nic z tych rzeczy. Cała trójka znalazła się w rządzie. Wypadli dopiero na innych zakrętach historii.

• W roku 2018 Duda zaangażował się w organizację referendum konstytucyjnego, chciał zmieniać konstytucję itd. Ale jego inicjatywa została, głosami senatorów PiS, odrzucona.

• Parę miesięcy wcześniej przeżył upokorzenie przy uchwalaniu nowelizacji ustawy o IPN, znanej jako ustawa Jakiego. Kancelaria Prezydenta została odsunięta od prac nad ustawą, wszystko skończyło się

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 3467c7f583

gigantycznym skandalem międzynarodowym. Ostatecznie, po negocjacjach w siedzibie wywiadu Izraela, Polska z ustawy się wycofała.

• Parokrotnie próbował Duda zdobyć wpływy w TVP. W związku z tym dwa razy zażądał odwołania Jacka Kurskiego z funkcji jej prezesa. W marcu tego roku, podczas podpisywania ustawy o 2 mld zł dla TVP, i teraz – w maju. W obydwu przypadkach został przez Kaczyńskiego ograny jak dziecko. Kurski odchodził na chwilę, by powrócić do zarządu.

• Na pewno upokorzeniem było dla Dudy majowe „porozumienie Jarosławów", Gowina i Kaczyńskiego, w sprawie przełożenia wyborów prezydenckich. Gdy oni szlifowali ostateczny kształt porozumienia, Duda występował w telewizji w debacie prezydenckiej. Najważniejsze sprawy rozegrały się więc bez niego. I chyba nawet obu Jarosławom do głowy nie przyszło, by go do rozmów zapraszać.

• Do upokorzeń Dudy możemy zaliczyć też różne filmiki z uroczystości partyjnych i państwowych, pokazujące, jak goni Kaczyńskiego, jak próbuje go zagadnąć i odchodzi odtrącony. On, prezydent RP, odtrącony przez szeregowego posła.

Taki bowiem mamy w Polsce system władzy – w którym prezydent jest tylko notariuszem rządzącej większości, a nie politykiem samodzielnym. Ba! Nie jest nawet politykiem zdolnym, bo nie potrafił przez pięć lat zbudować wokół swojej kancelarii jakiegoś znaczącego środowiska. A stanowisko prezydenta zostało zdegradowane, straciło znaczenie. Tak na dobrą sprawę prezydentem mogliby dziś być pani Witek, pan Kuchciński, pan Morawiecki, pan Brudziński, praktycznie każdy, kto miałby siłę jeździć po festynach i wypowiadać się przed kamerami, no i podpisywać uchwalone przez parlament ustawy.

•

Nie ma co się rozwodzić – taki stan Kaczyński sobie zaprojektował i go zrealizował. W tym sensie Andrzej Duda jest dla niego prezydentem najwygodniejszym, bo posłusznym i wystarczająco miernym, by nie stwarzał zagrożenia. Kaczyński parokrotnie zresztą go postraszył, otwarcie sugerując dwa-trzy lata temu, że PiS może wystawić w wyborach prezydenckich innego kandydata. Ostatecznie – nie wystawiło. Bo po co?

Stosunek Kaczyńskiego do Dudy nie jest jakimś wyjątkiem. Prezes PiS podobnie traktuje innych. Jak pionki na planszy. Przypomnijmy sobie, jak potraktował Beatę Szydło, gdy wymieniał ją na Mateusza Morawieckiego. Najpierw kazał jej przygotować rekonstrukcję rządu, a potem rządu nie zmienił, ale zmienił premiera. Gdy Szydło w sejmowej debacie krzyczała, że dodatkowe pieniądze jej ministrom „po prostu się należały", chwalił ją, że „pokazała pazurki". Ale czy to była rzeczywiście pochwała?

O byłym rzeczniku PiS Adamie Hofmanie mówił, że jak otwiera rano drzwi, to Hofman już jest na jego wycieraczce. I takich „komplementów" zdążył wygłosić więcej. Nie dziwmy się zatem, że ludzie z jego otoczenia zwracają się do niego uniżenie. A jemu najwyraźniej to się podoba.

•

W tym sensie obecne wybory prezydenckie mają znaczenie ustrojowe. Wybór jest taki – czy chcemy systemu, w którym prezydentem jest Andrzej Duda, czyli marionetka Kaczyńskiego, czy też systemu, w którym prezydent jest realnym podmiotem? Czy chcemy prezydenta malowanego, czy rzeczywistego?

Knajacki gest awansował do rangi symbolu męskości.

Narracja PiS wmawia Polakom, że lepszy jest malowany, bo nie będzie przeszkadzał rządowi. Ale to narracja Kaczyńskiego – bo chodzi o to, żeby jemu nie przeszkadzał. Żeby nikt nie patrzył władzy na ręce. A poza tym, żeby zachować obecną sytuację, w której to prezes PiS decyduje, kto jest prawdziwym Polakiem, a kogo wyklucza się ze wspólnoty.

W tym sensie Rafał Trzaskowski, mający najwięcej poparcia po stronie opozycji, może śmiało mówić, że jego celem jest odbudowa prezydentury. Że chce odebrać Belweder Kaczyńskiemu i oddać go Polakom. Że nie zamierza być prezydentem według scenariusza Kaczyńskiego, lecz prezydentem z Konstytucji RP. I że jego rywalem jest nie Andrzej Duda, zaledwie notariusz, ale Jarosław Kaczyński i państwo PiS. I gromada pisowców tym państwem się żywiąca. Jak określił ich Kosiniak-Kamysz: silni – w gębie, zwarci – przy żłobie, gotowi – do ucieczki przed problemami Polaków.

Jest to więc spór, jakiej chcemy Polski. Spór również pokoleniowy. Bo naprzeciw zmagającego się z wiekiem Kaczyńskiego staje przedstawiciel nowej generacji. Zresztą inni kandydaci opozycji też do tej generacji się zaliczają: Hołownia, Biedroń, Kosiniak-Kamysz…

Tak wygląda bój z Polską smoleńską, nacjonalistyczną, dzielącą Polaków po uważaniu prezesa.

Robert Walenciak

Odszedł

Leopold Dzikowski

Tworzył z nami „Sztandar Młodych" i bliski Mu „Przegląd".
Wielki artysta fotografii prasowej,
laureat najważniejszych nagród dziennikarskich,
w tym World Press Photo i INTERPRESS FOTO.
Miał niepowtarzalny styl i wielką klasę.
Konsekwentny w obronie wspólnych nam wartości.
Wierny w przyjaźni, wspierający i życzliwy.

Żonie Elżbiecie i Synowi Maćkowi bardzo współczujemy

Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Dorota Markowska-Burbelka, Rafał Pyznar, Ewa Smolińska-Borecka, Robert Walenciak, Joanna Wielgat, Krzysztof Żuczkowski

eprasa.pl 3467c7f583

Z Galicji

Jan Widacki

Dlaczego jest tak, jak jest?

Jechałem niedawno ponad 300 km w jedną stronę na posiedzenie sądu, na którym miała być rozstrzygnięta kwestia dalszego stosowania wobec podejrzanego aresztu tymczasowego. Przed sądem tłumek: adwokaci z togami przewieszonymi przez ramię albo przez rękę. Jacyś ludzie, zapewne strony lub świadkowie. Niektórzy mają maski, większość nie. O żadnych odstępach mowy nie ma. Wszyscy stoją stłoczeni, rozmawiają. Okazuje się, że do sądu wpuszczają dopiero 10 minut przed rozprawą lub posiedzeniem.

Czekam na swoje 10 minut, stoję wśród innych oczekujących. Wreszcie! Mogę wejść. Ochroniarz każe mi dezynfekować ręce. Jestem już przed drzwiami sali rozpraw. Na wokandzie prawie same sprawy aresztowe (orzeczenia o areszcie tymczasowym, przedłużenia aresztu). Na każdą sąd przeznacza 10 minut. Na naszą, ponieważ oprócz mnie jest jeszcze drugi adwokat, mamy 20 minut. Tyle wystarcza sądowi, by orzec, czy ktoś ma siedzieć w areszcie kolejne trzy miesiące, czy może wyjść za kaucją na wolność. W ciągu tych 10-20 minut będą się decydować losy ludzi. Na starych recydywistach trzy miesiące aresztu być może nie robią wrażenia, ale dla kogoś, kto dotąd nie miał kryminalnych doświadczeń, to nieraz całkowita ruina kariery, dorobku życia. O jego losie sąd zadecyduje w ciągu 10 minut.

Wchodzimy. My w maskach, sąd za osłoną z pleksi. Wywodzę ja, wywodzi drugi adwokat. Tłumaczymy, że skoro już akt oskarżenia wpłynął do sądu, to znaczy, że wszystkie dowody są zebrane, więc oskarżony mataczyć już nie ma szans. Nie ma też obawy, że się ukryje lub ucieknie za zamknięte przecież granice, że to zupełnie nieprawdopodobne. Sąd (w składzie jednego sędziego) słucha naszych wywodów wyraźnie znudzony. „Proszę poczekać na korytarzu, sąd uda się na naradę". Wychodzimy, sędzia naradza się z własnym sumieniem. Zajmuje mu to pięć minut. Widać, z sumieniem jest już od dawna pogodzony. Oczywiście przedłuża areszt. Odczytuje postanowienie wraz z uzasadnieniem – schematycznym, bełkotliwym, ale zajmującym dwie strony druku. Na sali sądowej nie ma drukarki. Bez wątpienia wczoraj napisał. To nic nowego. Z reguły tak jest we wszystkich sądach. A przecież Kodeks postępowania karnego mówi inaczej: przed wydaniem postanowienia należy wysłuchać stron. Kodeks łamany jest tu rutynowo. Sędziowie, którzy go łamią, nie widzą w tym nic złego. Przeciwnie, jawi im się to jako coś normalnego i racjonalnego. Nawet chyba tego się nie wstydzą.

Pokazałem tu maleńki wycinek funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Na opisanie patologii trzeba by nie felietonu, ale kilku tomów. Ludzie to widzą, potrzebę zasadniczej reformy widzą wszyscy, którzy z sądami stykają się na co dzień. PiS to cynicznie wykorzystało. Nie po to, żeby naprawić wymiar sprawiedliwości, ale żeby go zawłaszczyć. Podporządkować rządowi i rządzącej partii.

Co na to wszystko opozycja? Czy poza narzekaniami na PiS i straszeniem go Trybunałem Stanu przez tych pięć lat zaproponowała jakiś program naprawy? Dziś Radek Sikorski rozmarzył się w Onecie, że Giertych byłby świetnym prokuratorem generalnym w czasach, kiedy będzie się rozliczać PiS. Po pierwsze, nawet gdyby opozycja wygrała następne wybory (co wcale nie jest pewne), to wygra je minimalnie. Aby kogoś postawić przed Trybunałem Stanu, trzeba by wygrać z miażdżącą przewagą. Po drugie, Giertych jako prokurator generalny? Świetny pomysł. Jeśli 50% z tego, co niedawno napisał „Super Express", jest prawdą, stosunek Giertycha do klienta jest instrumentalny, a do tajemnicy adwokackiej dość luźny. Po lekturze tego tekstu politycy, którzy przy różnych okazjach korzystali z usług mec. Giertycha, nie mogą spać spokojnie. Z Sikorskim włącznie. Ale to ich problem.

Smutne to. PiS demoluje wymiar sprawiedliwości, a jedyny jak dotąd pomysł opozycji to rojenia o postawieniu kogokolwiek przed Trybunałem Stanu i mianowanie Giertycha prokuratorem generalnym. Pogratulować. Zarówno optymizmu, jak i dobrych pomysłów.

Inny drobny epizod, już nie sądowy. Aby w Krakowie dostać kartę mieszkańca, upoważniającą do parkowania samochodu pod własnym domem (albo w jego pobliżu), trzeba udowodnić, że płaci się w Krakowie podatki. Prywatna firma, która w mieście obsługuje strefę płatnego parkowania, żąda okazania ostatniego PIT. Dlaczego prywatna, choć niewątpliwie ważna dla miasta firma ma wiedzieć, ile, gdzie i z jakiego tytułu zarobił ubiegający się o prawo parkowania pod własnym domem, nie wiem. Nie da się inaczej ustalić, czy ktoś płaci w Krakowie podatki? Ale to nie wszystko. Jeśli samochód jest własnością firmy (jak w moim przypadku mojej kancelarii), pani w okienku żąda… umowy o pracę. Pech chce, że nikt nie ma umowy o pracę z własną kancelarią, mało tego, adwokata poza uczelnią nie można zatrudniać na umowie o pracę. Pani przyjmuje to do wiadomości, ale z trudem, i wpada na nowy pomysł. Ponieważ kancelaria jest spółką partnerską, spółka powinna przyjąć uchwałę, że jestem współwłaścicielem auta w 20%, i mam z tym iść do wydziału komunikacji, żeby mi to wpisali do dowodu rejestracyjnego. To, że skoro auto należy do spółki trzech wspólników, jestem automatycznie jego właścicielem w jednej trzeciej, do pani w okienku nie przemawia… Dobrze, że fakt mojego urodzenia nie wymaga dowodu i nie muszę przynosić odpisu aktu urodzenia z urzędu stanu cywilnego ani zaświadczenia z zarządu cmentarzy, że mnie jeszcze nie pochowali.

Można pokomplikować rzeczy proste? Można. Robimy to na każdym kroku.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3467c7f583

To nie reforma, to katastrofa

Zwykłym ludziom rządy ministra Ziobry nie przyniosły absolutnie żadnych korzyści

Rozmawia Andrzej Dryszel

SĘDZIA KRYSTIAN MARKIEWICZ

– prezes Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, sędzia Sądu Okręgowego w Katowicach

Czy w Polsce mamy niezależne sądownictwo?

– Mamy wciąż niezależnych, odważnych sędziów, ale patrząc systemowo, niezależność sądownictwa stoi pod wielkim znakiem zapytania. Sędziowie nie mogą w sposób należyty, zgodnie ze standardami europejskimi, wykonywać obowiązków procesowych, gdyż grozi im za to wyrzucenie z zawodu na podstawie ustawy kagańcowej. Nie wolno im korzystać ze swoich kompetencji, takich jak możliwość zadania pytania prawnego do Sądu Najwyższego czy Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, bo są im wtedy stawiane zarzuty popełnienia przestępstwa, zawiesza się ich w czynnościach sędziowskich i odbiera wynagrodzenie. Trudno więc mówić, że mamy w pełni niezależne sądownictwo. A sądownictwo albo jest w pełni niezależne, albo jest zależne.

Czy ustawa kagańcowa, częściowo odbierająca sędziom prawo do publicznych wypowiedzi, faktycznie ogranicza także ich kompetencje na sali rozpraw?

– Jak najbardziej. Sędzia jest obowiązany do badania, czy w składzie orzekającym zasiadają osoby uprawnione – to jedna z podstawowych zasad postępowania sądowego funkcjonująca już od XIX w. Fundamentalny obowiązek: sprawdzić, czy sprawa została osądzona przez osobę uprawnioną, w tym – wybraną prawidłowo. Tymczasem w Polsce za chęć sprawdzenia tego warunku sędzia może być usunięty z zawodu, bo tak stanowi ustawa kagańcowa. Tu chodzi już nie tylko o karanie za publiczne wypowiedzi, np. podczas protestów pod sądami czy dla mediów, lecz także o uniemożliwianie wykonywania podstawowych obowiązków związanych z wymierzaniem sprawiedliwości. Czy naprawdę ludzie pragną tego, aby sędziowie wydawali takie wyroki, jakich chce władza polityczna? Czy obywatele zdają sobie sprawę z tego, że władza może się zmienić, a system zależności pozostanie?

Czy to sprawdzanie prawidłowości wyboru sędziów rzeczywiście jest konieczne do wydania sprawiedliwego orzeczenia? Mam wątpliwości, czy sędzia Paweł Juszczyszyn, rozpatrując apelację od wyroku w sprawie o zapłatę, musiał badać listy poparcia dla członków Krajowej Rady Sądownictwa, rekomendującej kandydaturę sędziego, który orzekał w tej sprawie w pierwszej instancji.

– Wszystko można tak trywializować: nie przejmować się, czy osoba stająca przed sądem miała zdolność sądową, czy nie miała, albo czy w pierwszej instancji sprawę rozpatrzył sąd, czy niesąd (za taki uważam grupę ludzi, których rekomendowała Krajowa Rada Sądownictwa wybrana przez polityków). Jeśli uznamy, że to nie ma większego znaczenia, konsekwentnie powiedzmy, że każdy ma prawo nie do sądu, ale do tego, by jego sprawę rozpatrywał jakiś organ, ten czy inny urząd. Zmieńmy więc artykuły konstytucji mówiące o sądach (art. 45, 173-177), zmieńmy Europejską konwencję praw człowieka i wiele innych przepisów unijnych, przyjmijmy, że sądzeniem będą się zajmować urzędnicy politycy – no i pożegnajmy się z trójpodziałem władzy, demokratycznym państwem prawa i Unią Europejską. Niestety, część społeczeństwa nie dostrzega jeszcze problemu. To trochę jak z chorobą – idziemy do lekarza, kiedy już naprawdę boli, ale wtedy bywa za późno.

Trudno uznać, że to, iż sędziego rekomendowała upolityczniona KRS, mogło mieć wpływ na wyrok, jaki wydał w pierwszej instancji w sprawie o zapłatę.

– Jeszcze trudniej zrozumieć, że sędziemu Juszczyszynowi stawia się zasadniczy zarzut i odsuwa go od wykonywania zawodu za to, że chciał sprawdzić skuteczność powołania sędziego orzekającego w pierwszej instancji – do czego miał absolutnie prawo. Przecież sprawa rozstrzygana w drugiej instancji przez

eprasa.pl 3467c7f583

przykładowego sędziego Juszczyszyna może dotyczyć nie tylko zapłaty kilkuset złotych, ale np. kilkuset milionów złotych, których jakieś firmy domagają się od skarbu państwa za wykonane prace. Albo tego, czy ktoś pójdzie do więzienia na kilka lat za popełnione przestępstwo polityczne lub gospodarcze. Ciekawe, czy dla zainteresowanych, a zwłaszcza stron, będzie wtedy bez znaczenia, czy sędziego orzekającego w takiej sprawie w pierwszej instancji rekomendowała właściwie czy niewłaściwie wybrana KRS – i czy miało to wpływ na wydany przez niego wyrok. Zastanawiam się, jak będzie się czuła osoba, którą oskarża o przestępstwo prokurator podległy Ziobrze i sądzi sędzia wybrany pośrednio przez Ziobrę.

Obóz władzy raczej nie interesuje się sprawami tzw. zwykłych ludzi. Chce mieć wpływ na wyroki dotyczące własnych interesów, siebie samych oraz swoich przeciwników (choć oczywiście każdy może być uznany za przeciwnika władzy).

– Władza stworzyła system sobie podporządkowany, który ma działać na jej zamówienie, gdy to dla niej ważne. Czy to kwestia umorzenia w ekspresowym tempie sprawy związanej z wyborami 10 maja, czy też sprawa studentów, którzy wyrazili sprzeciw wobec propagandy niezgodnej z wiedzą naukową (są teraz przesłuchiwani w Katowicach przez policję i prawników Ordo Iuris). Niezbyt trudno sobie wyobrazić, że pod płaszczykiem walki z COVID-19 politycy wprowadzają różne masowe ograniczenia praw, np. własności czy wolności. Mogę wymieniać dalej. Kogoś, kto staje przed sądem, średnio interesuje to, czy tysiąc innych spraw zostało rozstrzygniętych w sposób zależny bądź niezależny od polityków. Jemu zależy na własnej sprawie.

Posłowie często próbują interweniować w sądach, bo ludzie przychodzą do ich biur, prosząc o pomoc. Politycy występują w mediach, komentując wyroki, co nierzadko powoduje fale hejtu pod adresem sędziów i może na nich wpływać. A samym sędziom stawiane są absurdalne zarzuty, czego przykładem jest Igor Tuleya, któremu grozi sprawa karna z art. 231 Kodeksu karnego, bo zezwolił dziennikarzom na rejestrację ustnego uzasadnienia postanowienia sądu. Lub Aleksandra Janas i Irena Piotrowska, które spytały Sąd Najwyższy, czy skład z udziałem sędziego rekomendowanego przez neo-KRS jest niezależny – i zaraz potem rzecznicy dyscyplinarni też postawili im zarzut z art. 231 kk.

Niezależność sądownictwa w Polsce stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Przytoczmy ten przepis: „Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3".

– Właśnie. Bez żadnych akt, jedynie na podstawie wiadomości medialnych, obie panie sędzie dostały zarzut popełnienia przestępstwa, za które mogą wylecieć z zawodu i iść do więzienia. Tylko dlatego, że skierowały pytanie do Sądu Najwyższego! Tu chodzi nie o sędziów, którzy podpadli obecnej władzy i są na cenzurowanym, lecz po prostu o sędziów rzetelnie pracujących przez kilkadziesiąt lat i prawidłowo wykonujących swoje obowiązki. Jak można więc mówić o niezależności sądownictwa w Polsce? Jeżeli parę lat temu toczyliśmy akademicką dyskusję na temat efektu mrożącego, to dziś doświadczamy tego efektu na co dzień. Czy chcemy sędziów, którzy w obawie przed konsekwencjami zaczną się bać wydawać sprawiedliwe wyroki?

Okazało się, że polskie sądy są jeszcze gorzej przygotowane na stan nadzwyczajny niż szpitale.

Nie uważa pan, że na sali rozpraw sędzia jest w pełni niezawisły, bo tylko od niego zależy, jaki wyda wyrok – a jeśli czegoś się boi, to może nie powinien zostawać sędzią?

– Znam ten absurdalny pogląd. Fajnie się mówi takie rzeczy, trudniej pokazać coś takiego w praktyce. Odpowiem tak: mamy przykład sędziego Juszczyszyna. Jego było stać na tę niezawisłość – i do tej pory jest zawieszony, nie może pracować. Może więc się okazać, że potwierdzenie tej niezawisłości będzie jednorazowe, bo potem taka osoba zostanie usunięta z zawodu. Pytanie, ile osób zaryzykuje wszystko w imię obrony wartości. Pamiętajmy, że sędziowie to też ludzie. Nie wszyscy chcą tłumaczyć się ciągle rzecznikom dyscyplinarnym, odpisywać na jakieś ich pisma czy znosić hejt w internecie ze strony mediów sprzyjających władzy. Kiedyś sędziowie pracowali we względnej ciszy. Teraz pewnie części z nich przemyka przez głowę myśl: „Czy się komuś nie narażę?". Tak nie powinno być. I o to walczymy – o wolność dla polskich sędziów. Wolność w zakresie wydawania orzeczeń i wolność wypowiedzi. Sądy powinny być strefą wolną od polityki.

Myślę, że nie tak wielu będzie w stanie zaryzykować w imię wartości.

– To kwestia bardziej złożona, nie wszyscy wytrzymują błysk fleszy. Ale zdecydowana większość sędziów, jak wynika z naszych badań, popiera walkę o praworządność i podziwia tych, którzy są „na linii ognia". Polscy sędziowie w ciągu ostatnich lat pokazali, że zawsze znajdzie się ktoś, kto zadaje pytanie prejudycjalne albo prawne – i coś robi, niezależnie od konsekwencji, z których doskonale zdaje sobie sprawę. Sędziemu, który – co jest oczywiście godne podziwu – wykaże wielką odwagę, grozi po prostu usunięcie z zawodu. Najpierw czeka to zapewne tych sędziów, którym w ostatnich latach rzecznicy dyscyplinarni z nadania PiS postawili po kilkadziesiąt zarzutów. Zastąpią ich ci, co będą już dobrze rozumieć, jakie są oczekiwania władzy. To oczywiście negatywny scenariusz, bo ławka tych, którzy świadczą władzy usługi polityczne, nie jest długa. Nawet studenci pierwszego roku potrafią zauważyć, ile razy w naszym kraju złamano konstytucję.

Czy barierą dla zapędów obecnej ekipy nie jest postanowienie Trybunału Sprawiedliwości UE, które zawiesza stosowanie nowych przepisów dotyczących Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego – co oznacza, że nie może ona orzekać w sprawach dyscyplinarnych sędziów?

– Toteż orzeka ona nie w sprawach dyscyplinarnych, lecz w sprawach o uchylenie immunitetu

eprasa.pl 3467c7f583

Trzej sędziowie niewygodni dla władzy – Paweł Juszczyszyn, Igor Tuleya i Waldemar Żurek – w czasie obrad Izby Dyscyplinarnej SN. Na posiedzeniu 9 czerwca Izba nie uchyliła immunitetu sędziego Tulei.

sędziowskiego. Może społeczeństwu trudno zrozumieć sztuczki prawne, które wykonuje władza, ale krótko wytłumaczę. Jako Iustitia chcielibyśmy, aby takie informacje docierały do niego szeroko, dlatego jesteśmy aktywni w mediach społecznościowych, gdzie staramy się podawać bezpośrednio szczegółowe fakty. Otóż władza zareagowała na decyzję TSUE w swoisty sposób i rozszerzyła kompetencje Izby Dyscyplinarnej SN. Teraz sędziom nie stawia się już samych zarzutów dyscyplinarnych – bo Izba Dyscyplinarna nie mogłaby ich rozpatrywać od razu – lecz w pakiecie stawia się zarzuty karne, o popełnienie przestępstwa! Jednocześnie Izba Dyscyplinarna sama sobie uznała, że w sprawach o uchylenie immunitetu jak najbardziej może orzekać, bo przecież nie są to sprawy dyscyplinarne. I tym samym, bez zmrużenia oka, będzie robić wszystko, by niszczyć konkretne, wytypowane osoby. Po otwarciu postępowania karnego zajmą się nimi posłuszna władzy upolityczniona prokuratura oraz sądy obsadzone swoimi ludźmi – i wszystko będzie „w najlepszym porządku". Rząd zaś już się pochwalił, że wykonał postanowienie TSUE. Przykładem sprawa Igora Tulei, który był wezwany na 9 czerwca przed IDSN właśnie w sprawie uchylenia immunitetu.

Władza wiele mówi o reformie sądownictwa. Co zmieniło się na lepsze w sądach za czasów rządów PiS?

– Ja tej reformy nie widzę nigdzie. Systematycznie badamy, jak zmiany wprowadzane przez PiS wpływają na szybkość i taniość postępowania. Opłaty sądowe poszły w górę, nic nie jest tańsze. Jeśli chodzi o szybkość załatwiania spraw, to mamy katastrofę i zapaść. Chcę podkreślić – my chcemy reform, ale nie takich. Tymczasem liczba miesięcy oczekiwania na rozstrzygnięcie w sądzie znacząco się zwiększyła. Czas rozpoznawania spraw w ciągu minionych czterech lat wydłużył się średnio, łącznie dla wszystkich kategorii, o kilkadziesiąt procent. W niektórych kategoriach spraw nawet dwukrotnie. Na przykład na pierwsze terminy przed sądami gospodarczymi czeka się dwa lata. Lament społeczny na wielką skalę zacznie się, gdy ludzie zobaczą, że żadna reforma nie miała miejsca, a chodziło tylko i wyłącznie o zabezpieczenie interesów partii rządzącej. Zwykłym ludziom kadencja ministra Ziobry nie przyniosła absolutnie żadnych korzyści. Być może z tego powodu minister coraz rzadziej wypowiada się publicznie. Tarcza antykryzysowa bezterminowo zwolniła prezesów sądów apelacyjnych z obowiązku publikowania danych na temat załatwianych spraw. Władza wykorzystała więc pandemię do przykrycia własnej nieudolności oraz zapaści sądownictwa. Zamiast pracować nad tym, by ludzie mieli zapewniony dostęp do sądu i zarazem bezpieczeństwo, dba o siebie. To jest cyniczne!

Jeśli chodzi o szybkość załatwiania spraw, to mamy katastrofę i zapaść.

Czym przede wszystkim jest spowodowana ta zapaść?

– Najpierw przez prawie dwa lata minister Ziobro nie ogłaszał konkursów na wolne stanowiska sędziowskie, a sędziów wysyłano w stan spoczynku albo traktowano tak, że sami odchodzili – więc nie miał kto orzekać. Do tego doszła wymiana kilkuset prezesów i wiceprezesów sądów. Bardzo często zostawali nimi ludzie o niezbyt wysokich kompetencjach. W sądach panował chaos. Do tego dochodziły nieprzemyślane zmiany ustaw procesowych oraz zatrzymanie informatyzacji sądów. Nic nie wskazuje na to, że sytuacja się polepszy. Przeciwnie, będzie gorzej, bo w czasie pandemii te problemy jeszcze się uwypukliły. Okazało się, że polskie sądy są przygotowane na stan nadzwyczajny jeszcze gorzej niż szpitale. W związku z ostatnimi działaniami ministerstwa widzimy kolejną falę odejść z sądów. Obawiam się, że niedługo będziemy mogli mówić o upadłości sądownictwa w Polsce. To będzie miara sukcesu „dobrej zmiany" w wymiarze sprawiedliwości!

Opłaty sądowe poszły w górę, nic nie jest tańsze.

Jakość sądownictwa mierzy się też odsetkiem sprawiedliwych orzeczeń, czyli takich, których nie trzeba zmieniać w wyższych instancjach. Jak pod tym względem wypadają nasze sądy?

– Nie wiem. Iustitia próbowała uzyskać różne informacje z ministerstwa, ale mamy z tym spore trudności. Tłumaczyli, że nie zbierają, nie mają zestawień itp. Z pewnością bardzo ciekawe byłoby zbadanie, jak wygląda stabilność orzeczeń wydanych w ciągu ostatnich pięciu lat przez sądy pierwszej instancji. Ostatnie dane, z połowy 2017 r., pokazywały, że ta stabilność się pogarsza i coraz więcej wyroków jest uchylanych. Ministerstwo Sprawiedliwości skupiło się na tym, żeby niszczyć sędziów, wszczynać przeciw nim kampanię nienawiści, wywoływać afery hejterskie. Zapomniało niestety o ludziach.

Andrzej Dryszel

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 3467c7f583

Męczeństwo braci Szumowskich

Tylko głupi by się nie schylił po środki unijne

Marek Czarkowski

W ostatnich tygodniach bracia Łukasz (minister zdrowia) i Marcin (prezes spółki OncoArendi Therapeutics) Szumowscy nie mają dobrej prasy. Człowiek, którego podkrążone oczy stały się symbolem walki z epidemią koronawirusa w Polsce, jest oskarżany o umożliwienie zrobienia interesu życia na trefnych maseczkach znajomemu instruktorowi narciarskiemu z Zakopanego. A także o znajomość z podejrzanym suwalskim biznesmenem Danielem O., który okazał się przebywającym w areszcie twórcą piramidy finansowej. I o budowę wraz z żoną i bratem rodzinnego imperium biznesowego dzięki pozyskaniu przez założone przez nich spółki nawet 300 mln zł różnych dotacji, głównie z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Media i politycy opozycji sugerują, że było to możliwe, bo Szumowski wykorzystał swoją pozycję najpierw wiceministra nauki, a następnie ministra zdrowia w rządzie Mateusza Morawieckiego. I zapowiadają, że w przyszłości zostanie doprowadzony – z żoną i bratem – przed surowe oblicze prokuratora, tudzież rozszarpany przez sejmową komisję śledczą.

Na razie wniosek Platformy Obywatelskiej o wotum nieufności wobec ministra został odrzucony przez sejmową większość. Przy okazji wystąpienie w czasie posiedzenia sejmowej Komisji Zdrowia posła Prawa i Sprawiedliwości Czesława Hoca – „Panie ministrze, nasz bohaterze, ikono skutecznej walki z koronawirusem" – wyznaczyło na Wiejskiej nowe granice wazeliniarstwa. Prawda jest taka, że spółki należące do brata i żony ministra tylko korzystały ze sposobności. I nie był to najbardziej bulwersujący przypadek.

Minister Łukasz Szumowski – ikona skutecznej walki z koronawirusem.

Jak się kręci lody nad Wisłą

11 stycznia 2016 r. na łamach „Gazety Wyborczej" ukazał się artykuł Ireneusza Sudaka „OncoArendi Therapeutics szuka leczniczej cząsteczki" opisujący w wielce pochwalnym tonie historię spółki. Jej założycielami byli dwaj chemicy, Adam Gołębiowski i Stanisław Pikul, którzy zdobyte w Stanach Zjednoczonych doświadczenie postanowili przenieść na grunt polski. Prof. Jakub Gołąb z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego zachęcił do współpracy z nimi Marcina Szumowskiego, który wspólnie z Markiem Dziubińskim w 2005 r. założył Medicalgorithmics SA, zajmującą się tworzeniem urządzeń telemedycznych. Media pisały, że opracowano w niej najnowocześniejszy na świecie system zdalnego monitorowania zaburzeń pracy serca. Od roku 2012 spółka notowana jest na Warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Ze zmiennym szczęściem. W marcu 2017 r. jej kurs oscylował wokół 340 zł za akcję, a dziś sonduje granicę 20 zł, co dowodzi, jak ryzykowne są inwestycje w firmy z branży biomedycznej i biotechnologicznej.

Tu dochodzimy do sedna sprawy – osoby kierujące podobnymi spółkami muszą stale zdobywać niemałe pieniądze, by prowadzić działalność. I to w sytuacji, gdy latami nie będzie żadnych przychodów. Najlepszym sposobem ich pozyskania – poza giełdą – są dotacje. Najlepiej unijne. Dlatego nie powinno nikogo dziwić, że spółka ubiegała się o nie tak często, jak to było możliwe. Brat minister na pewno nie przeszkadzał.

Choć obawiam się, że dziś w OncoArendi Therapeutics SA nie dzieje się najlepiej. Po pierwsze, to nie bracia Szumowscy są jej największymi akcjonariuszami. W 2015 r. poprzez fundusz Ipopema 112 FIZ AN 12 mln zł zainwestował w spółkę jeden z najbogatszych Polaków, Michał Sołowow, i to on dysponuje obecnie pakietem ponad 30% akcji OncoArendi. Marcin Szumowski ma jedynie 8%. Z kolei jeden z założycieli i dyrektorów spółki, Stanisław Pikul, w 2019 r. sprzedał część swoich walorów i przeszedł do założonej w lutym tego roku nowej firmy Pikralida, której prezesem jest była pracownica OncoArendi, dr Joanna Lipner. Łatwo się domyślić, że i w tej spółce pojawiła się dotacja unijna, a profil naukowo-badawczy pozostał ten sam.

eprasa.pl 3467c7f583

Dlatego nie uspokajają mnie sygnały płynące ze strony Marcina Szumowskiego, że np. do końca bieżącego roku ma zamiar podpisać z partnerem strategicznym umowę, której wartość szacowana jest na 200-400 mln euro. Prezes nie ujawnił, kim ma być ów partner. Byłoby lepiej, gdyby spółka zakończyła sukcesem pełny cykl badań klinicznych cząstki, a najlepiej cząstek, nad którymi pracowała. Myślę, że wszyscy jej tego życzą. Zwłaszcza gdy, jak zapowiadają politycy Platformy Obywatelskiej, sprawa dotacji dla OncoArendi Therapeutics zostanie dokładnie zbadana przez kompetentne organy. Innymi słowy, braci Szumowskich i powiązane z nimi spółki czeka męczeński zgon.

Marcin Szumowski ma w OncoArendi Therapeutics SA jedynie 8% akcji.

Kasa, misiu, kasa unijna!

By ułatwić zrozumienie, na czym polega biznes uprawiany przez innowacyjne firmy biotechnologiczne – i nie tylko – przedstawię schemat, jaki wykształcił się nad Wisłą po roku 2008.

Etap pierwszy: pod egzotycznie brzmiącą nazwą zakładamy spółkę, która ma rewolucyjny pomysł, i natychmiast występujemy o dotację z funduszy unijnych.

Etap drugi: jeśli potrzebny jest wkład własny, szukamy bogatego partnera (tzw. anioła biznesu), który wyłoży niezbędną kwotę, a gdy otrzymamy środki, przeksięgowujemy je na rachunek spółki bogacza, by nie czuł się pokrzywdzony.

Etap trzeci: rozpoczynamy prace badawcze i szeroko reklamujemy je w mediach.

Etap czwarty: wchodzimy na GPW albo odsprzedajemy udziały funduszom inwestycyjnym. Można też wyemitować obligacje lub zaciągnąć kredyty, choć to trudniejsze, bo banki dobrze wiedzą, czym się skończy.

Etap piąty: spadek notowań na giełdzie, kłopoty z akcjonariuszami i wierzycielami, a w końcu upadłość. Cóż, tłumaczymy, że przedsięwzięcie było obarczone bardzo wysokim ryzykiem… I zakładamy następną spółkę.

To nie tylko polska specjalność. Najbardziej znanym przykładem takiego dojenia frajerów jest historia Elizabeth Holmes, założycielki spółki Theranos, która w wieku 30 lat została obwołana przez magazyn „Forbes" najmłodszą miliarderką na świecie. Jej firma z Doliny Krzemowej miała zrewolucjonizować rynek medyczny w USA, oferując, dzięki wynalazkowi młodej damy, bardzo tanie testy krwi. Udało się jej pozyskać od inwestorów ponad 700 mln dol., gdy okazało się, że nic nie działa. Elizabeth Holmes, którą porównywano do założyciela Apple'a Steve'a Jobsa, grozi teraz 20 lat więzienia. A inwestorzy liczą straty.

Nad Wisłą 31 marca 2020 r. zarząd notowanej na GPW rodzimej spółki Braster złożył w sądzie wnioski o otwarcie przyśpieszonego postępowania układowego oraz o ogłoszenie upadłości. Produkowane przez nią innowacyjne urządzenie miało służyć do diagnozowania raka piersi i zastąpić mammografię. Tak od lat przedstawiano je w mediach. Oczywiście nie obeszło się bez ponad 5 mln zł dotacji w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka. Dziś mało kto ma złudzenia co do przyszłości Brastera. Po prostu urządzenie się nie sprzedaje.

Największa wpadka w dziejach dotacji unijnych przeznaczonych na innowacyjność w naszym kraju to przypadek Wrocławskiego Centrum Badań EIT+ Sp. z o.o. Z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka spółka otrzymała ponad 700 mln zł, a mimo to pod koniec 2015 r. znalazła się na skraju upadłości. Trzeba mieć wielki talent, by w ciągu kilku lat wydać prawie miliard złotych i niemal zbankrutować. Sytuację uratował minister nauki Jarosław Gowin, włączając EIT+ do Sieci Badawczej Łukasiewicz pod nazwą PORT Polski Ośrodek Rozwoju Technologii. Pierwszym prezesem został młody działacz Porozumienia Piotr Dytko.

Generalnie Wrocław nie ma szczęścia do dużych projektów wspieranych unijnymi dotacjami. W roku 2005 powstał Wrocławski

Z inicjatywy Szumowskiego Sejm powołał Agencję Badań Medycznych. Obowiązki prezesa pełni w niej Radosław Sierpiński – doradca ministra Szumowskiego.

eprasa.pl 3467c7f583

Medyczny Park Naukowo-Technologiczny Sp. z o.o., który otrzymał ponad 50 mln zł dotacji unijnych. W 2013 r. większościowy pakiet udziałów należący do Uniwersytetu Medycznego w niejasnych okolicznościach trafił w ręce prywatnego przedsiębiorcy. Zmieniła się też nazwa – na Data Techno Park. Jeśli wierzyć prasie, finał był opłakany. Prokuratura zarzuciła rektorowi UM, że przekroczył uprawnienia i nie dopełnił obowiązków, a w ubiegłym roku Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Fabrycznej oddalił złożone przez trzech wierzycieli wnioski o ogłoszenie upadłości głównego udziałowca Data Techno Parku – spółki Cube.ITG. Jako powód sędzia wskazał art. 13 prawa upadłościowego. Spółka nie ma nawet majątku na pokrycie kosztów postępowania upadłościowego.

Prawdziwym dostarczycielem zajęcia dla prokuratorów przez lata był Park Technologiczny MMC Brainville wybudowany w Nowym Sączu przez spółkę Miasteczko Multimedialne. Trzy dotacje w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka, w sumie ponad 100 mln zł. Od kilku lat z masą upadłościową „sądeckiej Doliny Krzemowej" zmaga się syndyk Witold Kadłuczka, który chętnie by się pozbył uciążliwego obiektu, gdyż samo utrzymanie go w jakim takim stanie i opłacenie ochroniarzy, by nie rozkradziono resztek, kosztuje miliony rocznie. Sześć prób licytacji niczego nie dało. Ktoś zaoferował 18 mln zł, co było kwotą nikczemną. I domagał się, by przypadkiem PARP nie zażądała zwrotu dotacji! Jedna z lokalnych gazet zasugerowała, by w parku technologicznym urządzić… pieczarkarnię.

Ponad 10 mln zł dotacji na dwa projekty: „Innowacyjna technologia tkaniny lnianej do opatrunków wspomagających leczenie przewlekłych ran" oraz „Wytworzenie lnu nowej generacji i opracowanie innowacyjnych preparatów na jego bazie", otrzymała spółka Len Pharma z Malborka. Swego czasu było o tym głośno w mediach. Szkoda, że w KRS znalazłem informację, iż firma znajduje się w stanie upadłości likwidacyjnej.

Podobnych przykładów są setki. Dotacje unijne adresowane do naukowców, przedsiębiorców i tzw. innowatorów lata temu ujawniły ponury stan nauki polskiej, a także rodzimego przemysłu, który wbrew zapewnieniom polityków oparty jest nie na nowoczesnych technologiach, lecz na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych.

Wystąpienie posła PiS Czesława Hoca – „Panie ministrze, nasz bohaterze, ikono skutecznej walki z koronawirusem" – wyznaczyło na Wiejskiej nowe granice wazeliniarstwa.

Są jednak przykłady, że można wiele osiągnąć – mimo działań prokuratury i nasyłanych kontroli. Oto spółka SciencePharma otrzymała unijną dotację w wysokości 11 mln zł i opracowała oraz zarejestrowała lek o nazwie Neoparin. To odpowiednik produkowanego przez koncern Sanofi-Aventis leku Clexane. Rok przed zakończeniem projektu spółką zajęła się kontrola z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, choć środki zostały przyznane przez PARP. Dotację wstrzymano, potem wkroczyły prokuratura i ABW. W prasie pojawiły się publikacje o jednoznacznym wydźwięku. Gdyby nie determinacja właściciela, który wyprzedał część majątku, by dokończyć badania i proces rejestracji, byłoby źle. W listopadzie 2016 r. Neoparin został wpisany na listę refundacyjną. Oszczędności Narodowego Funduszu Zdrowia z tego tytułu sięgają 130 mln zł rocznie. Dotychczas prawie 400 mln zł. Ale to wyjątek, nie reguła.

Wrocławskie Centrum Badań EIT+ otrzymało ponad 700 mln zł, mimo to pod koniec 2015 r. znalazło się na skraju upadłości.

Wyprzedziliśmy Rumunów i Bułgarów!

Każdego roku Komisja Europejska publikuje raport o innowacyjności unijnych gospodarek European Innovation Scoreboard. W najnowszym, z 2019 r., Polska mimo wpompowania w latach 2007-2018 miliardów euro tylko w rozwój nauki i innowacyjności rywalizuje o trzecie-czwarte miejsce od końca. Ścigamy się z Rumunami, Bułgarami i Chorwatami. Wyprzedzają nas Litwa, Łotwa, Estonia, Malta i Cypr. Nasi profesorowie i doktorzy, a także aniołowie biznesu, inwestorzy oraz urzędnicy mający wpływ na decyzje o przyznaniu – bądź nie – unijnych środków nie łudzą się – niezależnie od tego, ile przyzna się pieniędzy, i tak większość zostanie zmarnowana, rozkradziona, sprzeniewierzona i rozpuszczona.

Co zaś najważniejsze, można uprawiać ten proceder bezkarnie. Komisja Europejska nie zareaguje, nie zażąda rozliczenia ani nie zapyta, co się wyrabia nad Wisłą. Tajemnic dzielenia środków unijnych strzegą sędziowie Naczelnego Sądu Administracyjnego, którzy w uzasadnieniu do prawomocnych już wyroków dowodzili, że instytucje zajmujące się ich przyznawaniem nie mają obowiązku ujawniania – obywatelom, dziennikarzom, zainteresowanym fundacjom itp. – dokumentów związanych z tym procesem, gdyż nie jest to informacja publiczna. Proszę sprawdzić te wyroki: sygn. akt I OSK 2487/11 – wyrok NSA z 22 marca 2012 r., sygn. akt I OSK 431/11 – wyrok NSA z 9 czerwca 2011 r. czy też sygn. akt II SAB/Wa 284/10 – wyrok WSA w Warszawie z 3 grudnia 2010 r.

Wierzę ministrowi zdrowia, że nie rozmawiał z pracownikami NCBR o wnioskach składanych przez spółki powiązane z jego bratem i żoną. Nie musiał, urzędnicy wiedzieli, jakie decyzje mają podjąć. Minister Szumowski poszedł dalej. Z jego inicjatywy w ubiegłym roku Sejm przyjął ustawę powołującą do życia Agencję Badań Medycznych. Obowiązki prezesa pełni w niej dr n. med. Radosław Sierpiński – były doradca ministra Szumowskiego w jego gabinecie politycznym. Chciałem się czegoś dowiedzieć na temat planu finansowego agencji na rok 2020, lecz na odpowiedniej podstronie internetowej znalazłem informację, że jest „w trakcie przygotowania". Do dzielenia pieniędzy.

Marek Czarkowski

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, DAREK GOLIK/FORUM

eprasa.pl 3467c7f583

Leszek Konarski

Adam Rapicki, krakowski śledczy, który – jak sam obliczył – przyczynił się do ujęcia 63 zabójców.

NA WIEKI WIEKÓW w IPN

Adam Rapicki, krakowski oficer śledczy, pies na zabójców, żąda od prezesa IPN zadośćuczynienia za nierespektowanie wyroków sądowych

Przez ostatnią dekadę Adam Rapicki, lubiany przez dziennikarzy z Krakowa rzecznik prasowy tamtejszej milicji z lat 1982-1985, grzecznie prosił Instytut Pamięci Narodowej o wykreślenie jego nazwiska z internetowego spisu funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, bo esbekiem nigdy nie był. Ale gdy poddał się autolustracji i sądy w dwóch instancjach stwierdziły, że nie był w bezpiece, a on nadal otrzymywał pisma, że nie da się wpisu usunąć, bo nie przewiduje tego ustawa o IPN, wystąpił z pozwem przeciwko Jarosławowi Szarkowi, prezesowi tej instytucji. Zażądał sądowego nakazu skreślenia go z listy funkcjonariuszy SB, zapłaty zadośćuczynienia i nawiązki na rzecz Fundacji Pomocy Wdowom i Sierotom po Poległych Policjantach oraz zamieszczenia przeprosin za utrzymywanie jego nazwiska przez 10 lat na stronie IPN. Sprawę będzie rozpatrywał Sąd Okręgowy w Warszawie, data nie została jeszcze wyznaczona.

W podobnej sytuacji znajduje się w tej chwili ponad 40 byłych policjantów, którzy wygrali procesy autolustracyjne, dysponują prawomocnymi wyrokami, ale nadal figurują w katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. A skoro tam są, Zakład Emerytalno-Rentowy MSWiA na podstawie ustawy dezubekizacyjnej, która weszła w życie 1 stycznia 2017 r., obniżył im drastycznie świadczenia. Informację o przebiegu służby każdego funkcjonariusza organ rentowy otrzymuje z IPN. Żadne sądy nie mają nic do gadania. Skoro Rapicki figuruje w wykazie pracowników aparatu bezpieczeństwa, to z pewnością służył totalitarnemu państwu. Gdy w 2017 r. obniżono mu świadczenia emerytalne, Adam Rapicki zwrócił wszystkie przyznane mu odznaczenia państwowe i medale.

Pies potępiony

Gdy proces z IPN nabierze rozgłosu, z problemów Adama Rapickiego zapewne najbardziej ucieszy się wielu morderców odsiadujących jeszcze długie wyroki. Jako oficer pionu kryminalnego specjalizujący się w zabójstwach Rapicki był bowiem kierowany do najtrudniejszych spraw i doprowadził do wykrycia, jak sam obliczył, 63 zabójców. Rzecznikiem prasowym komendanta wojewódzkiego MO w Krakowie został z przypadku, bo uległ poważnej kontuzji kręgosłupa i musiał być skierowany do lżejszej pracy za biurkiem.

Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim, będąc jednym z wyróżniających się uczniów znanego kryminalistyka prof. Tadeusza Hanauska, podjął pracę w sekcji zabójstw krakowskiej milicji. Pracował głównie przy sprawach trudnych do wykrycia i miał sporo sukcesów. Przyczynił się m.in. do aresztowania sprawcy uprowadzenia i zamordowania krakowskiego biznesmena. Podejrzanego namierzał kilkanaście lat, aż udowodnił mu winę i doprowadził do skazania.

Jako rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego był zawsze dostępny dla dziennikarzy i dokładny w przekazywaniu informacji. Udzielał się też społecznie, był radnym Dzielnicowej Rady Narodowej Kraków-Krowodrza. Ta jego popularność w mediach nie spodobała się zwierzchnikom, którzy zarzucili mu, że jest zbyt samodzielny i przekazuje fakty nie zawsze odpowiadające linii partii rządzącej. Trzeba go było koniecznie zdyscyplinować. W grudniu 1985 r. otrzymał wiadomość, że z Wydziału Ogólnego, gdzie miał dużo swobody, zostaje przeniesiony do Wydziału Polityczno-Wychowawczego WUSW, podlegającego zdaniem IPN pod pion SB, czego nie potwierdzają wyroki sądowe. Odmówił przejścia do nowego wydziału i 20 stycznia 1986 r. został odwołany ze stanowiska rzecznika prasowego. Do czasu odejścia z milicji, czyli do 15 maja 1986 r., przygotowywał swojego następcę – ppor. Andrzeja Czopa.

Po czterech latach, wiosną 1990 r., krótko po przekształceniu milicji w policję, Adamowi Rapickiemu zaproponowano powrót do służby w sekcji zabójstw, na co chętnie się zgodził. Znowu pracował przy wielu głośnych sprawach, miał sporo sukcesów, wysłano go na staż w brytyjskiej policji, został szefem doradców gen. Marka Papały i ekspertem sejmowym. Po śmierci gen. Papały i powrocie do Krakowa organizował nowy wydział w policji. Został odznaczony srebrnym i złotym Krzyżem Zasługi, otrzymał nagrodę państwową. Na emeryturę przeszedł w końcu 1999 r. z przekonaniem, że dobrze służył krajowi – 10 lat później dowiedział się, że jest na liście osób służących ustrojowi totalitarnemu, bo przez pięć i pół miesiąca był w pionie SB, choć pracy nie podjął.

Głową w mur

W listopadzie 2009 r. Rapicki otrzymał list z decyzją dyrektora Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA

eprasa.pl 3467c7f583

o ponownym przeliczeniu emerytury policyjnej i przeczytał w nim o zaliczeniu mu do okresu wysługi służby w organach bezpieczeństwa państwa w okresie od 1 grudnia 1985 r. do 15 maja 1986 r. Zdziwiony tym stwierdzeniem postanowił wszystko sprawdzić i rzeczywiście znalazł w internetowym katalogu funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej swoje nazwisko, datę i miejsce urodzenia, imię ojca oraz informację: „Będąc na stanowisku starszego inspektora Wydziału Polityczno-Wychowawczego pełnił funkcję rzecznika prasowego szefa WUSW w Krakowie. W okresie 1.02.1973-1.12.1985 służba w MO".

Od tego czasu Rapicki zaczął korespondować z IPN, udowadniając w każdym piśmie, że nigdy nie był funkcjonariuszem SB. W grudniu 1985 r. został karnie przeniesiony do Wydziału Polityczno-Wychowawczego WUSW w Krakowie, ale nie wyraził zgody na bycie rzecznikiem prasowym podległym temu wydziałowi i postanowił odejść z milicji. Przez kilka miesięcy, do odejścia ze służby, korzystał z długiego zwolnienia chorobowego, a potem szkolił swojego następcę na stanowisku rzecznika. Przedstawił wycinki prasowe z tego okresu, udowadniając, że dziennikarze otrzymywali informacje o krakowskiej milicji wyłącznie od jego następcy, ppor. Andrzeja Czopa.

Te argumenty nie przekonały jednak kierownictwa IPN. W takiej sytuacji Adam Rapicki postanowił sądownie udowodnić, że nie pełnił funkcji rzecznika prasowego od grudnia 1985 r. do połowy maja 1986 r. Przed sądem okręgowym wytoczył proces autolustracyjny, uznając umieszczenie jego nazwiska w internetowym katalogu IPN za pomówienie publiczne. Sąd przesłuchał świadków, ekspertów, nawet zeznający prokurator IPN przyznał rację Rapickiemu: nigdy nie był on funkcjonariuszem SB.

Przesłany do IPN wyrok niczego jednak nie zmienił, bo był nieprawomocny. Sprawa trafiła do Sądu Apelacyjnego w Krakowie i sąd drugiej instancji zgodził się z orzeczeniem sądu okręgowego. Rapicki nie był funkcjonariuszem SB, nie wyraził zgody na służbę w wydziale polityczno-wychowawczym, nie podjął w tym wydziale żadnych czynności, nie spotykał się z dziennikarzami i postanowił odejść ze służby w milicji. Sąd apelacyjny stwierdził, że umieszczenie jego nazwiska w katalogu funkcjonariuszy SB jest rażącą niesprawiedliwością naruszającą godność człowieka i oficera.

Jednak po otrzymaniu prawomocnego wyroku IPN wpisu również nie zlikwidował, dodał tylko informację: „Sąd Okręgowy w Krakowie, Wydział VI Karny, w dniu 31 października 2018 r., sygn. akt sądowych VI K 114/17, wydał orzeczenie, że lustrowany Adam Rapicki złożył zgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne. Orzeczenie jest prawomocne". Ani słowa o tym, czego oświadczenie dotyczyło.

Od wpisu w katalogu IPN nie przysługują żadne środki odwoławcze, nie można zostać z niego wykreślonym.

Prezes Jarosław Szarek twierdzi, że IPN nie musi respektować wyroków lustracyjnych, bo nie są to wyroki skazujące wydane przez sąd karny.

Ale Adam Rapicki, prawnik, uczeń prof. Hanauska, nie dał za wygraną i zaczął prywatne dochodzenie w celu ustalenia, dlaczego IPN jest instytucją nieomylną i gdy pomyłkowo umieści kogoś w wykazie internetowym esbeków, nie można takiego wpisu usunąć. 27 września 2019 r. otrzymał pismo z odpowiedzią na to pytanie od Artura Napióry, zastępcy dyrektora Biura Lustracyjnego, który tak tłumaczył brak możliwości anulowania wpisu w katalogu IPN: „Przepisy ustawy o IPN, ani też ustawy lustracyjnej, nie przewidują trybu wykreślenia danych umieszczonych w tworzonych już katalogach, w tym w katalogu pracowników, funkcjonariuszy i żołnierzy organów bezpieczeństwa państwa. Uzyskanie przez stronę pozytywnego dla niej wyniku postępowania lustracyjnego nie uzasadnia wykreślenia z katalogu, ponieważ na podstawie art. 52b ust.1 pkt 8 ustawy o IPN w katalogu zamieszcza się informację o wyniku postępowania lustracyjnego".

Taką odpowiedź, że według ustawy nie ma możliwości poprawienia błędu w internetowym spisie funkcjonariuszy, Rapicki uznał za kuriozalną. Instytut może popełniać błędy, ale naprawić ich nie może, bo prawo na to nie pozwala? Dlatego wysłał przedsądowe pismo z żądaniem usunięcia jego nazwiska z wykazu. W odpowiedzi IPN poinformował go, że jego sprawę przekazano do dyrektora Biura Badań Historycznych z prośbą o opinię. Ale po co badania historyczne, skoro są dwa wyroki sądowe stwierdzające, że nie był esbekiem? W kolejnym piśmie zapytał więc prezesa IPN, dlaczego kierowana przez niego państwowa instytucja nie honoruje wyroków sądowych. Prezes Jarosław

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 3467c7f583

Szarek odpowiedział mu w piśmie z 8 kwietnia 2020 r.: „Tylko prawomocny skazujący wyrok karny wiąże organ przy wydawaniu decyzji administracyjnej. Przytoczone przez Wnioskodawcę w piśmie z dnia 22 marca 2020 r. wyroki nie są wyrokami skazującymi, a tym samym nie wiążą organu przy podejmowaniu decyzji w trybie art. 4 ustawy o działaczach opozycji. A zatem organ słusznie wystąpił do Dyrektora Biura Badań Historycznych IPN o opinię, na którą powołano się w postanowieniu Prezesa IPN nr 65/20 z dnia 12 marca 2020".

To znaczy, że IPN nie musi respektować wyroków lustracyjnych, bo nie są wyrokami skazującymi wydanymi przez sąd karny. Stwierdzenia obu sądów nie mają żadnego znaczenia, bo nie są to wyroki skazujące.

W takiej sytuacji Rapickiemu nie pozostało nic innego jak skierować do sądu sprawę przeciwko prezesowi IPN o nakazanie tej instytucji usunięcia jego danych z internetowego spisu funkcjonariuszy bezpieki i zapłatę 100 tys. zł zadośćuczynienia, plus 10 tys. zł nawiązki, za 10-letnie „niezgodne z prawem i niezgodne z prawdą publikowanie jego nazwiska w internetowym katalogu funkcjonariuszy byłych służb ochrony państwa i naruszenie w ten sposób jego dóbr osobistych".

Prawo Brochwicza

Gdy Adam Rapicki po raz pierwszy znalazł swoje nazwisko w internetowym katalogu IPN, poprosił tę instytucję o podanie podstawy prawnej, na jakiej został tam umieszczony. Otrzymał odpowiedź, że stało się to zgodnie z instrukcją ministra Krzysztofa Kozłowskiego z 25 czerwca 1990 r. Odszukał ten dokument w internecie i wyczuł, że coś się nie zgadza. Poprosił więc o przysłanie mu uwierzytelnionej fotokopii oryginału instrukcji, nigdzie niepublikowanej w rządowych dokumentach, i natychmiast stwierdził, że wersja internetowa różni się od oryginału. „Instrukcja weryfikacyjna Kozłowskiego" została rozesłana w formie kserokopii do komisji weryfikacyjnych we wszystkich województwach. Pomiędzy 25 czerwca a 2 lipca 1990 r. sekretarz komisji ds. kadr centralnych MSW Wojciech Brochwicz samowolnie, bez wiedzy i zgody Krzysztofa Kozłowskiego, zmodyfikował treść instrukcji, dopisując do niej wiele stanowisk, w tym pracę w pionie polityczno-wychowawczym. Ta poprawiona wersja została skserowana, poświadczona pieczątką „za zgodność" i czymś, co przypominało podpis ministra Kozłowskiego. W takiej wersji została rozesłana do wojewódzkich komisji weryfikacyjnych.

Te machinacje, polegające na tym, że IPN powołuje się na instrukcję ministra Kozłowskiego, a stosuje wersję spreparowaną przez Brochwicza, wyszły na jaw dopiero w 2013 r., w trakcie procesów odwoławczych i lustracyjnych. Najpierw Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wszystkiemu zaprzeczało. Pracownicy IPN, szkoląc przez długie lata sędziów, przedstawiali zasady kwalifikacji funkcjonariuszy zaliczanych do służb ochrony państwa, opierając się wyłącznie na sfabrykowanej przez Brochwicza wersji instrukcji, traktowanej jako jedyna i prawomocna. Mimo to sądy wypracowały jednolite zasady orzecznictwa na podstawie ustawy lustracyjnej. W tym stanie rzeczy wersja IPN, przypisywana ministrowi Kozłowskiemu, a poprawiona przez Brochwicza, została całkowicie skompromitowana i uznana za próbę wpływania na orzecznictwo.

– Wpis dotyczący mojej osoby jest absolutnie sprzeczny z ustawą lustracyjną, nadto zawiera ewidentne kłamstwo dotyczące stanowiska, które zajmował zupełnie inny funkcjonariusz, co wynika zarówno z akt IPN, jak i z analizy archiwalnej prasy krakowskiej – mówi Adam Rapicki. – Dysponuję dwoma wyrokami sądowymi stwierdzającymi, że nie powinienem być w tym katalogu, że doszło do rażącego naruszenia prawa. Od 10 lat ponoszę dotkliwe szkody w sferze dóbr osobistych, cierpi moja rodzina. Każdy, kto ma w domu komputer, może stwierdzić, że jestem byłym esbekiem.

Zapowiada się więc bardzo ciekawy proces wytrawnego śledczego, zaprawionego w ściganiu zabójców, który nigdy się nie spodziewał, że po latach państwowa instytucja będzie chciała go zamordować moralnie i psychicznie. Nie przypuszczał, że w praworządnym państwie decyzja o umieszczeniu kogoś w katalogu osób napiętnowanych nie jest poddawana jakimkolwiek procedurom prawnym ani administracyjnym. Osoba umieszczana na liście nie jest powiadamiana o rozpoczęciu jakiejkolwiek procedury i nie może w niej uczestniczyć. Wyrok zapada kapturowo i inkwizycyjnie, od wpisu nie przysługują żadne środki odwoławcze. Wykreślonym zaś nie można zostać, bo nie przewiduje tego ustawa. Katalog jest dostępny dla milionów osób. To nie tylko dożywocie, to skazanie na wieki wieków.

Leszek Konarski

eprasa.pl 3467c7f583

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Pani Trzaskowska

Trzaskowski zwyżkuje w sondażach, co więc na niego wymyślą? „Dziadek z Wehrmachtu" chyba się nie uda – Trzaskowski ma „patriotyzm genetyczny". Może przy weryfikacji podpisów będą wątpliwości? W odwodzie jest w każdym razie pandemia. Już teraz się mówi, że głosowanie w miastach będzie tylko korespondencyjne. Ale na wsiach po bożemu – po mszach wybory tradycyjne. Wprawdzie o tym wszystkim ma decydować nie MON i nie MOM (Minister od Maseczek), lecz Państwowa Komisja Wyborcza, no ale komisja to przecież także PiS (przynajmniej w większości). A MOM będzie i tak rekomendował. Statystyki zaś można zawsze udramatyzować. Możliwości jest zatem sporo. Co wobec tego wymyślą?

Trzaskowski idzie jak burza, a ja patrzę zdumiony. Nie przeszkadza mi, że jest z Platformy. W tej partii stało się ostatnio coś dobrego. Małgorzata Kidawa-Błońska zdobyła u wielu uznanie odważnym oświadczeniem, że bojkotuje Sasinowe wybory. Rafał Trzaskowski deklaracjami o gotowości współpracy spowodował zbieranie podpisów także przez członków konkurencyjnych sztabów. Oboje – Kidawa i Trzaskowski – wykazują lojalność i prostolinijność, chcą przywracać praworządność, zasypywać podziały, odbudowywać wspólnotę. Czy to rezultat wywodzenia się ze starych, polskich rodzin?

Mówi się, że głosowanie w miastach będzie tylko korespondencyjne. Ale na wsiach – po mszach wybory tradycyjne.

Znałem przedstawicieli tych rodzin. Ojciec Kidawy, nieżyjący już prof. Maciej Grabski, wnuk premiera Władysława Grabskiego i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, był prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, gdy w 2003 r. udałem się do niego z prośbą o pomoc „Polskiemu Słownikowi Biograficznemu". Rozmowa była krótka, lecz treściwa, profesor nauk technicznych wykazał zrozumienie dla humanisty. Pomógł. Było to moje jedyne z nim spotkanie – wspominam je z wdzięcznością. Natomiast wielokrotnie spotykałem babcię Rafała Trzaskowskiego. On sam znać jej nie mógł – zmarła prawie 12 lat przed jego urodzeniem – ja mogłem; oto przywilej starości.

Nie jestem pewien, jak miała na imię – chyba Maria – bo w domu mówiło się zawsze z rewerencją: pani Trzaskowska. Widzimy ją do dziś – moja siostra i ja – postawną, starszą kobietę na tle amfilady pokojów naszego krakowskiego mieszkania. Moja rodzina pochodziła z rzeszowskiej prowincji, miała korzenie kolejarsko-nauczycielskie, w części chłopskie, toteż pani Trzaskowska przynosiła ze sobą powiew wielkiego świata, wielopokoleniowej galicyjskiej inteligencji ze szlacheckim rodowodem. Ale dystansu nie było żadnego. Dla mnie zaś i dla siostry najważniejsze było jedno – że lubiła dzieci. Mam na to dowód w postaci dzienniczka, który prowadziłem jako sześciolatek. Po opisie jakiejś dramatycznej dziecięcej przygody znajduję tam szczęśliwy finał: „Dostałem od pani Trzaskowskiej czekoladkę w sreberku". Rzeczywiście, w czasach gdy z cukierków jedliśmy tylko landrynki, kukułki i krówki, czekoladka, w dodatku w sreberku, to było coś!

Pani Trzaskowska była w moim dzieciństwie pierwszą poznaną osobą spoza rodziny. Skąd się wzięła? Odgrzebuję w pamięci dawne opowieści i wychodzi mi, że przed wojną babcia z dwojgiem dzieci – moją późniejszą mamą i mym wujem – spędzała z panią Trzaskowską wakacje w Makowie Podhalańskim, u rodziny Wolczków. A pani Trzaskowska też miała dzieci: Andrzeja i Marysię. Czy to z sentymentu dla tych wspólnych wakacji mama ochrzciła mnie jako Andrzeja, a moją siostrę jako Marię? Nie sądzę natomiast, by w 1978 r. babcia mogła wiedzieć, że Andrzej Trzaskowski ma sześcioletniego syna – po śmierci pani Trzaskowskiej nie było już kontaktu między rodzinami. Tymczasem to właśnie babcia namówiła mnie, bym syna nazwał nigdy w naszej rodzinie niewystępującym imieniem Rafał. Dziwne – ale nie ma już kogo o to pytać. Na pewno jednak pod wpływem Andrzeja Trzaskowskiego moja mama stała się pasjonatką jazzu. Choć może działała tu też magia zakazanego owocu – jazz w czasach stalinowskich był wyklęty. Przypuszczam w każdym razie, że moja rodzina była zapatrzona w panią Trzaskowską. A może i pani Trzaskowska była zapatrzona w moją rodzinę, skoro tak często nas odwiedzała?

Dziś jestem zapatrzony w jej wnuka. I może choć na chwilę przestaję być pesymistą. Gdy zaś widzę gromadzące się na ulicach tłumy jego zwolenników, zdarza mi się nawet powtarzać za Gospodarzem z „Wesela": „Jeszcze duża takich Polaków ostało, co są piękni". A gdyby ktoś spytał, czemu na łamach lewicowego PRZEGLĄDU wygłaszam pean na cześć kandydata innej opcji, miałbym odpowiedź oczywistą: bo to on daje dziś największą szansę na usunięcie naszego PN – Prezydenta Niegodnego. Ale mógłbym też mieć odpowiedź osobistą. Bo przecież w pierwszych latach mojego świadomego istnienia, gdy za oknami kipiał daleki PRL, na trzecim piętrze mieszkania przy ul. Dietla toczyło się zwyczajne życie rodzinne. A w pokoju „gościnnym", przy stole nakrytym serwetą w czerwone kwiaty i zastawionym przedwojennym, porcelanowym serwisem, piła z nami herbatę pani Trzaskowska.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3467c7f583

Będzie drożej, nie ma przebacz

Z kontroli UOKiK wynika, że ponad 30% gabinetów dentystycznych i lekarskich pobierało dodatkowe opłaty za środki ochrony

Ewa Smolińska-Borecka

Sobota, 6 czerwca. Czwarty etap odmrażania gospodarki. Można już nawet zrobić wesele na 150 osób. W centrum warszawskiego miasteczka Wilanów otworzyły się od dawna zamknięte usługi. O godz. 9.00 pojawili się pierwsi chętni do ćwiczenia w Total Fitness. Do tej pory ćwiczyli w domu, korzystając z lekcji nagrywanych przez ulubionych trenerów. Teraz w końcu na żywo. O godz. 9.30 zaczęły się zajęcia Super Sylwetka Body Pump, a o 10.45 – Fitness Start. Ze względu na wymagane odległości między ćwiczącymi na każdych zajęciach może być 18 osób, a w całym klubie nie więcej niż 117.

Po południu w sali głównej ćwiczy zaledwie kilka osób. Mimo ograniczeń liczby uczestników i wymogu dezynfekowania wszystkich urządzeń po każdym ćwiczącym ceny w klubie się nie zmieniły. Recepcjonistka twierdzi, że sytuacja finansowa firmy nie jest zadowalająca, bo po pierwsze, była przerwa w funkcjonowaniu, a po drugie, niektóre opłaty, np. wywóz śmieci, poszły w górę. Mimo to postanowiono, że do września podwyżek cen nie będzie. Ale potem, jeśli sytuacja z obostrzeniami się nie zmieni, ceny trzeba będzie podnieść. To jakby konieczność odroczona. Na razie karnet Smart kosztuje 119 zł za miesiąc przy umowie na 12 miesięcy.

Kąpiel w piłeczkach

W sali zabaw dla dzieci Fikołki też obostrzenia wynikające z koronawirusa. Dzieci muszą dezynfekować ręce, trzeba dezynfekować urządzenia do zabawy, czyli różne wymyślne konstrukcje z plastiku czy basen wypełniony piłeczkami. Tu ceny również bez zmiany. Za pół godziny zabawy w weekend trzeba zapłacić 18 zł, a w dzień powszedni 15 zł. Recepcjonistka twierdzi, że od godz. 9 było zaledwie kilkoro dzieci. W tej chwili tylko jedna dziewczynka pod okiem animatorki porusza się po zawieszonej na sznurach kładce.

Także o godz. 9 został otwarty po długiej przerwie salon masażu Dotyk Orientu. Amatorzy masaży wykonywanych przez specjalistki z Bali od dłuższego czasu dopytywali, kiedy salon będzie czynny. W dniu otwarcia, czyli 6 czerwca, od rana było już kilku klientów. Ceny nie wzrosły, nie pobiera się też żadnej dodatkowej opłaty wynikającej z konieczności dezynfekcji pomieszczeń. Ale ceny usług i tak nie są niskie, bo za 60-minutowy masaż klasyczny lub tradycyjny masaż balijski trzeba zapłacić 190 zł. Można więc powiedzieć, że przy takim poziomie cen usługodawca jest w stanie udźwignąć dodatkowe obostrzenia sanitarne. Na takim samym poziomie jak przed epidemią są także ceny usług w innych okolicznych salonach, które otwarto w ramach trzeciego etapu odmrażania, czyli 18 maja: w Eco-Cocospa, gdzie jest fryzjer i usługi kosmetyczne, podwyżka o 10 zł była w lutym, teraz nie zmieniono cen. Salon odnowy biologicznej Innova otwarto w lutym i jeszcze nie zdążył zdobyć klientów, a już musiał zostać zamknięty. Tak więc, żeby nie odstraszyć klientów, teraz są w nim ceny lutowe i np. za zabieg w komorze hiperbarycznej trzeba zapłacić 220 zł, a za trzyminutową kriosaunę 145 zł. Tylko w jednym z salonów fryzjerskiej sieci Franck Provost ceny niektórych usług fryzjerskich wzrosły o 5 zł. Strzyżenie z myciem i czesaniem pań kosztuje 107 zł, panów – 79 zł.

Droższe borowanie

Opłatę dodatkową za ochronę przed koronawirusem może sobie doliczyć każdy usługodawca. W Bydgoszczy w galerii Zielone Arkady cena wykonania zdjęć do dokumentów wzrosła z powodu pandemii. Za zdjęcia do dokumentów trzeba teraz zapłacić 45,99 zł, choć wcześniej 39,99 zł. A za odbitki w wymiarze 10x15 cm cena zwiększyła się o 20 gr, do 1,69 zł za zdjęcie.

Najwięcej kontrowersji w związku z podwyżkami cen i z opłatami covidowymi wzbudziły gabinety dentystyczne. Wynikało to z tego, że te gabinety nie zostały zamknięte z urzędu, a ci, którzy mimo zagrożenia decydowali się pracować, musieli perfekcyjnie zabezpieczyć zarówno pacjentów, jak i personel. W przypadku tych usług kontakt między pacjentem a lekarzem jest bardzo bliski, więc o zakażenie łatwiej. Jak kształtują się ceny i opłaty w losowo wybranych gabinetach?

W Centrum Stomatologii Estetycznej i Implantologii „Galeria Uśmiechu" mieszczącym się w Krakowie przy ul. F. Nullo, które działało przez cały czas trwania epidemii, przerwy między pacjentami wynosiły 30 minut, aby zdezynfekować gabinet. W rezultacie liczba przyjmowanych pacjentów znacznie się zmniejszyła. Środki ochrony osobistej i do dezynfekcji były wówczas trudno dostępne i drogie. Dlatego do wizyty doliczano 100 zł opłaty covidowej. Pacjenci byli o tym informowani. Obecnie opłaty covidowej już nie ma. Teraz ceny środków dezynfekcji już się unormowały, pacjent nie musi mieć na sobie fartucha jednorazowego, wobec tego można było zdecydować o rezygnacji ze 100-złotowej opłaty. Jednak konieczna była podwyżka cen usług. O ile np. małe wypełnienie światłoutwardzalne kosztowało przed pandemią 220 zł, o tyle teraz 260 zł.

W Centrum Stomatologii 24H Sobieskiego przy ul. Sobieskiego w Warszawie za pakiet sanitarny, który kosztuje 50 zł, trzeba zapłacić

Dodatkowe opłaty wahały się w granicach od 10 zł do 350 zł.

eprasa.pl 3467c7f583

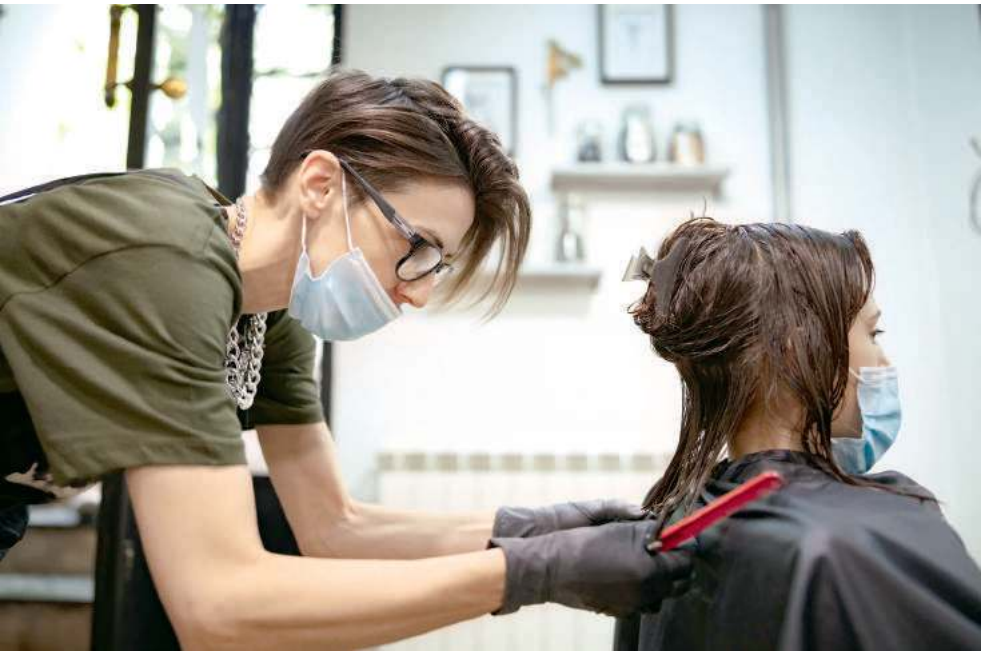

Formalnie usługodawcy mogą podnieść ceny ze względu na konieczność zachowania szczególnych wymagań sanitarnych.

przed wizytą. Ale od trzeciej wizyty jest on bezpłatny. W przychodni An-Am w Warszawie przy ul. Dzikiej nie pobiera się dodatkowej opłaty za środki dezynfekujące. W przychodni Enel-Med, należącej do sieci 20 przychodni stomatologicznych działających w różnych miastach, mieszczącej się w Centrum Handlowym Arkadia w Warszawie, ceny są takie same jak przed pandemią. Nie pobiera się opłaty za środki do dezynfekcji. W Gabinecie Stomatologiczno-Protetycznym „Protetyk" w Łodzi przy ul. Piłsudskiego koszty cennikowe usług są na bardzo przyzwoitym poziomie i – jak twierdzą w gabinecie – nie zostały podwyższone. Na przykład wypełnienie zęba stałego kosztuje od 120 do 200 zł. Nie płaci się też za pakiet covidovy. Również w innej łódzkiej przychodni – NZOZ Przychodnia Stomatologiczna „Dentico" – wypełnienie światłoutwardzalne kosztuje od 120 do 180 zł i nie są pobierane opłaty za środki dezynfekujące.

W jednym z malborskich gabinetów stomatologicznych ceny mimo koronawirusa nie zmieniły się, a wypełnienie nadal kosztuje 150 zł. Opłat za dezynfekcję się nie dolicza. W centrum stomatologicznym na gdańskim Przymorzu ani w jednej z klinik w Gdyni także opłat za dezynfekcję się nie pobiera.

W DentalClinik „Candeo" w Poznaniu przy ul. Bednarskiej nie zmienił się cennik usług i nie jest pobierana opłata covidowa. Jednakże wypełnienie kompozytowe małe zaczyna się od kwoty 250 zł, a więc jest dwukrotnie droższe niż w Łodzi. W przychodni Medicus-Dent w Opolu podniesiono ceny. Koszt wypełnienia światłoutwardzalnego przed pandemią zaczynał się od 150 zł, a teraz od 200 zł. Ale żadnych dodatkowych opłat nie ma.

Fryzjerzy

Wszystkie usługi, w których kontakt między pracownikiem a klientem jest bardzo bliski, wymagają szczególnie drastycznych środków bezpieczeństwa, a więc i większa jest pokusa, by koszt tych środków, ale też dodatkowych obowiązków załogi, przenieść na koszty usług lub pobierać opłatę covidową. Pod ostrzałem jest branża fryzjerska. Z jednej strony, klienci niecierpliwie czekali na otwarcie salonów, z drugiej – zaczęły się narzekania, że jest drożej. A jak jest w losowo wybranych salonach fryzjerskich?

W salonie sieci Jean Louis David, mieszczącym się w Złotych Tarasach w Warszawie, ceny usług się nie zmieniły. Być może dlatego, że już przed pandemią nie były niskie. Strzyżenie i czesanie damskie kosztuje tam 109 zł, a położenie koloru ze strzyżeniem, myciem i czesaniem – co najmniej 278 zł. Mycie i strzyżenie męskie – 89 zł. Przy dość wysokiej cenie męskiego strzyżenia łatwiej przełknąć koszt środków dezynfekcyjnych, jednorazowych ręczników i okryć dla klientów niż tam, gdzie kosztuje ono tylko 30 zł. W Klinice Urody Dąbrowscy na warszawskim Bemowie usługi kosmetyczne (manicure, pedicure) nie podrożały. Zmieniły się ceny niektórych usług fryzjerskich. I tak koloryzacja włosów długich kosztowała od 200 do 220 zł, a teraz od 210 do 230 zł. W salonie argumentują, że podwyżki wynikają ze wzrostu cen produktów. Opłaty covidowej nie pobierają. Jeden z punktów fryzjerskich na bydgoskim Górzyskowie podniósł ceny usług o 10 zł. Cena męskiego strzyżenia z 30 zł w połowie marca wzrosła do 40 zł. Za to u jednego z fryzjerów w Malborku za strzyżenie i kolor trzeba zapłacić 140 zł, tyle samo, ile przed epidemią.

W Studiu Modnej Fryzury funkcjonującym w Lublinie w Centrum Bigmar cennik się nie zmienił. Mycie, strzyżenie i modelowanie długich włosów damskich kosztuje 109 zł. Nie ma opłaty dodatkowej. W Hairmate Garnizon w Gdańsku przy ul. Leśmiana, jednym z salonów sieci obejmującej siedem salonów w trzech miastach (także w Warszawie i Krakowie), ceny też nie wzrosły. Nie ma również dodatkowej opłaty. Strzyżenie damskie kosztuje tam od 100 do 150 zł, koloryzacja ze strzyżeniem od 280 do 600 zł, a strzyżenie męskie od 70 do 90 zł. Teraz salon

KONSUMENCIE, NIE JESTEŚ SAM

W kwietniu ub.r. Stowarzyszenie Aquila z fundacją Krajowy Instytut Gospodarki Senioralnej stworzyły konsorcjum organizacji, które uruchomiło w Polsce 10 regionalnych ośrodków konsumenckich. Przyświeca im hasło: „Konsumencie, nie jesteś sam". Chodzi o to, żeby osoba, która została poszkodowana przez handlowca lub usługodawcę, mogła nieodpłatnie otrzymać pomoc prawną. Obecnie, ze względu na pandemię, osobiste wizyty w ośrodkach zostały wstrzymane. Ale można zadzwonić pod numer telefonu: 22 299 60 90.

eprasa.pl 3467c7f583

gdański zabiega o nowych klientów, licząc na to, że przejmie niezadowolonych z podwyżek w innych punktach. Dlatego na pierwszą wizytę jest 20% rabatu.

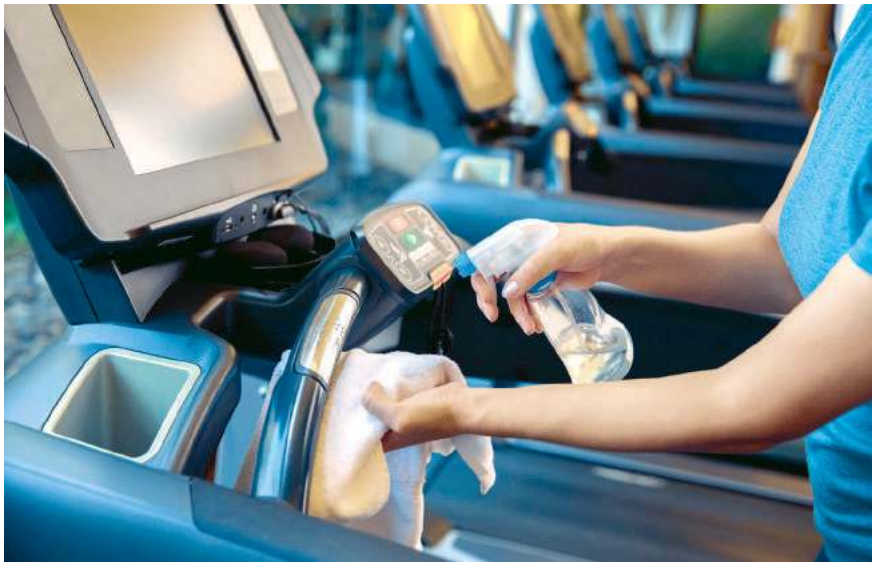

UOKiK niewiele może

O interesy konsumentów dbają miejscy i powiatowi rzecznicy konsumentów oraz inspektoraty Inspekcji Handlowej, które funkcjonują we wszystkich województwach, a w niektórych mają także delegatury w mniejszych miastach. W województwie mazowieckim konsumenci zgłosili jedynie kilka skarg dotyczących podwyżki cen usług z powodu koronawirusa. Dwie z nich dotyczyły gabinetów dentystycznych. Pacjenci skarżyli się, że dopiero po zabiegu poinformowano ich, że muszą dodatkowo zapłacić 50 zł za dezynfekcję i środki ochrony osobistej. Przeprowadzono kontrolę, a właściciela gabinetu poinformowano, że pacjent musi wiedzieć o dodatkowej opłacie przed wykonaniem usługi. Przy powtórnej skardze inspektor Inspekcji Handlowej mógłby nałożyć karę w wysokości do 20 tys. zł. Jednak samo nałożenie na pacjenta opłaty covidowej jest dozwolone.

Ani inspekcja handlowa, ani prezes UOKiK nie może zabronić pobierania opłaty wynikającej z pandemii.

Na gabinet dentystyczny wpłynęła też skarga do Kujawsko-Pomorskiego Inspektoratu Inspekcji Handlowej. Tu pacjent również nie został wcześniej poinformowany o opłacie za środki dezynfekcyjne i ochrony osobistej. Konsumenci z południa województwa śląskiego zgłosili sprawę szewca i fryzjera, którzy bez wcześniejszego uprzedzenia pobierali opłatę za środki dezynfekujące. Ale działo się to w okresie, kiedy te środki były trudno dostępne i drogie.

W poszczególnych inspektoratach przekonują, że konsument nie jest pozostawiony bez pomocy. Ale sprawa wygląda tak, że nawet gdyby były skargi dotyczące wysokości opłaty covidowej lub podwyżek cen usług, Inspekcja Handlowa nie ma podstaw, by reagować, bo ceny są wolne. Jak uważa jeden z naczelników wydziału prawnego, jeśli usługodawca postanowił się odkuć, bo miał straty wynikające np. z zamknięcia gabinetu czy salonu albo z powodu braku klientów, którzy nie mogli opuszczać domów, ma prawo podnieść ceny. Inspektorzy monitorują rynek i sprawdzają, czy takie podwyżki nie wystąpiły, a jeśli tak, czy klient został o nich poinformowany. Z mediów znają przypadki, że w jakichś sklepach przy kasach pobierano dodatkową opłatę za rękawiczki, o czym klient nie wiedział. UOKiK zlecił wojewódzkim inspektoratom, żeby do 1 lipca zbierały informacje o nieprawidłowościach. Pracownicy inspektoratów słyszeli, że niektórzy za usługę biorą np. 35 zł, a dodatkowo aż 10 zł za płyn dezynfekujący.

Do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów wpłynęło do tej pory kilkadziesiąt skarg na usługodawców pobierających dodatkowe opłaty związane z koronawirusem. Najczęściej dotyczyły one gabinetów dentystycznych i lekarskich, ale kilka także salonów fryzjerskich i kosmetycznych. Po przeprowadzonej kontroli okazało się, że ponad 30% gabinetów stosowało takie opłaty i że wahały się one od 10 zł do 350 zł. Problem w tym, że prezes UOKiK nie może zabronić pobierania opłaty wynikającej z pandemii, rygorystyczne wymogi sanitarne są bowiem faktem, jak i faktem są w związku z tym podwyższone koszty świadczenia usług. Jedyne, co mógł zrobić, to zaapelować do usługodawców, by rzetelnie informowali o kosztach przed realizacją usługi, a do klientów, by porównywali ceny w różnych placówkach. Prezes UOKiK może reagować tylko wtedy, kiedy cena usługi została sztucznie zawyżona lub kiedy nastąpiła zmowa cenowa.

Na razie nikt nie robi analiz, jak będą się przedstawiały ceny, kiedy euforia z powodu jakiegokolwiek dostępu do usług minie. A wtedy zacznie się chłodna kalkulacja. Czy stać mnie na to, żeby pójść do fryzjera czy do kosmetyczki, oddać ubranie do pralni, zrobić odbitki zdjęć, wyjechać na wakacje?

Ewa Smolińska-Borecka

Oczko mu się przylepiło, temu prezydentu… Duda jak z „Misia" **w najnowszym numerze tygodnika „NIE".**

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl 3467c7f583

Lewomyślniej Roman Kurkiewicz

Policja plakatówkowa

Pomyśl tylko, na ministrach ciążą zarzuty korupcyjne, przy okazji pandemii w niejasnych okolicznościach ich znajomi i najbliższa rodzina natłukli miliony na zakupie nic niewartych maseczek, przepłacali za zakup respiratorów, promowali swoich. Równocześnie mamy stałe najwyższe wskaźniki zachorowań na koronawirusa. I sami przegłosowali prawo, że za przekręty w imię koronawirusa pozostaną bezkarni. Spróbuj o tym opowiedzieć. Spróbuj wywiesić plakat, który to nagłaśnia, ujawnia, wyraża niezgodę. E tam, dużo mniej – bądź podejrzana, że to ty wywiesiłaś, policja najdzie cię nocą, w sile pięciu funkcjonariuszy wejdzie do mieszkania bez nakazu (a gdyby ci przyszło do głowy wzywać do przemocy domowej, nielegalnej eksmisji, usłyszysz: nic nie możemy, nigdzie nie wejdziemy, bo mir domowy, nie mamy prawa, nic nie zdziałamy), zrobi rewizję, którą potem klepnie posłuszny prokurator, bo już zostali tylko posłuszni. Wszystko na oczach dziecka, rodziców. Bo prywatna firma wyrosła z Agory, wydawcy „Gazety Wyborczej", z zarobionych na solidarnościowym micie pieniędzy, skarży się policji, że ktoś, podmieniając plakaty reklamowe (pieniążki, ach pieniążki) na polityczne (choć dokładnie o tym sama „Wyborcza" tłucze bez opamiętania dzień w dzień), naraził ją na stratę 30 zł na gablocie. A podobno w 15 gablotach podmieniono plakacik na ten z napisem: „Szumo-winny". Kalkulatorek idzie w ruch, 15 razy 30 równa się 450 – co za przeogromna strata, co za fortuna uległa zawłaszczeniu, jakiż ubytek w bilansie zysków, co za marnacja nakładów inwestycyjnych, jakiż uszczerbek dla wizerunku apolitycznej firmy outdoorowej, co za rozpowszechnianie „mowy nienawiści". I jak to brzmi po prawniczemu: „Osoba podejrzana o to, że w dniach 29-30 maja na terenie Warszawy, działając wspólnie i w porozumieniu z innymi dotychczas nieustalonymi osobami, dokonała kradzieży z włamaniem do 15 gablot reklamowych umieszczonych w wiatach przystankowych, a następnie dokonała zaboru w celu przywłaszczenia mienia w postaci plakatów o łącznej wartości 450 zł, czym działała na szkodę spółki AMS Spółka Akcyjna. To czyn z art. 279 par. 1 Kodeksu karnego, czyli tzw. kradzież z włamaniem – zachodzi obawa zatarcia śladów".

Być może kiedyś jakiś sąd dowiedzie, że akurat ta jedna dzielna kobieta odpowiada za tę akcję, i określi jej winę i karę. Być może. Kiedyś. Działania naruszające takie święte reguły własności mogą niestety mieć takie konsekwencje. Poczekamy, zobaczymy. Ale tematem jest coś zupełnie innego. Środki, które podjęła policja. Nawet wydała szybko oświadczenie (pełne przekłamań i manipulacji – dlaczego to już nie dziwi?). W pełnym trumpowskiej buty policyjnym tweecie czytamy: „Podejrzenie popełnienia przestępstwa wiąże się z zatrzymaniem. Zatrzymanie z założeniem kajdanek. W tym przypadku nic się nie zmieniło od lat. Zatrzymanie nie wynika z »bycia aktywistką«. Dotyczy ono sprawy włamań do wiat spółki AMS, a włamanie to przestępstwo z art. 279 kk.". Otóż podejrzenie nie wiąże się z koniecznością zatrzymania. Może się wiązać, w bardzo szczególnych wypadkach. A samo zatrzymanie nie musi się wiązać z kajdankami. Może, w bardzo szczególnych sytuacjach.

Policja nie może być folwarkiem polityków.

Oglądamy więc spektakularny, bezprawny w wielu punktach popis policyjnej służalczości politycznej. Zaangażowanie sił, naruszanie procedur w imię politycznego, rządowego nakazu. Policja będzie się mozolnie dźwigać z takich uwikłań. A co może bardziej istotne – i przynoszące straty wizerunkowe – policja brawurowo się ośmiesza. Jej działania, choć bardzo dyskomfortowe dla zatrzymanej i jej rodziny – należą do spektaklu groteski i robienia z siebie pośmiewiska. Nie moją sprawą jest wizerunek policji. Mam nadzieję, że kiedyś przyjdzie odpowiedzieć tym funkcjonariuszom i ich rozkazodawcom za partyjną usłużność.

Policja nie może być folwarkiem polityków, a nic innego niż taka podległość nie tłumaczy podjętych działań. Podobnie było z zatrzymaniem, rewizją i oskarżaniem Elżbiety Podleśnej o rozwieszanie plakatów z tęczową Maryjką. Kiedyś Polska słynęła z polskiej szkoły plakatu, dzisiaj ostała się polska szkoła ścigania rozwieszonych plakatów, w miejsce twórców wkroczyli funkcjonariusze. No ale pamiętajmy – Polska to taki cudny kraj, gdzie prawdziwych przestępstw już nie ma. Kradzieży, pobić, przemocy domowej, przekrętów finansowych ludzi władzy, przemocy seksualnej wobec dzieci, której sprawcami są księża. Tam policja nie wkracza, nie kajdankuje, nie zatrzymuje na 48 godzin, nie rewiduje bez nakazu. Wszystkie zwierzęta są równe, ale pisowskie równiejsze.

Bierzmy te plakaty i wieszajmy wszędzie. Wszystkich nas nie zakują. (www.dropbox.com/sh/dfjx664bcxk75zl/AAAwgBO4STcH2gC9OAFxE-6ga?dl=0&fbclid=IwAR1qDf8lrnZFpDbOUBcak4hvrSbJ1BbCWNfAu_uupJsoWFtm0JEj-Jqollrs)

eprasa.pl 3467c7f583

Amerykanie zbroją się na potęgę

Rosną domowe arsenały. W ciągu zaledwie trzech miesięcy Amerykanie kupili ponad 5 mln sztuk broni

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Nie pozwól, by kryzys się zmarnował – jako pierwszy tej błyskotliwej maksymy użył w 1976 r. ekonomista medyczny M.F. Weiner, opisując relacje między lekarzem a pacjentem. Teraz amerykańscy nacjonaliści nadają jej nowe znaczenie. Podczas gdy Ameryka płonie w ogniu protestów po śmierci George'a Floyda, oni usiłują wzniecić jeszcze większy pożar – regularną wojnę domową.

Ostatni tydzień maja 2020 r. zapisze się w amerykańskiej historii jako wyjątkowo bolesny. Pandemia koronawirusa właśnie zabrała 100-tysięczną ofiarę, a biały policjant z Minnesoty udusił bezbronnego czarnoskórego mężczyznę, czym wywołał protesty i zamieszki na tle rasowym na skalę nieoglądaną od czasów zabójstwa Martina Luthera Kinga w 1968 r.

W Denver w Kolorado pokojowe z początku manifestacje już pierwszego dnia przerodziły się w zamieszki. I jak wszędzie szwadrony uzbrojonej po zęby, bezlitosnej i beznamiętnej policji stanęły naprzeciw obywateli, którzy domagali się społecznej sprawiedliwości, sprzymierzeni z ruchem Black Lives Matter. W weekend rozruchy eskalowały. Gubernator Jared Polis, idąc śladem władz innych stanów, ogłosił w Denver godzinę policyjną, pierwszą w historii miasta.

Kto się bawi w Boogaloo

Czytałam te doniesienia ze smutkiem, ale moją uwagę przykuło coś innego. Oto nie wszyscy cywilni uczestnicy starć w Denver byli tacy bezbronni. Policja została zaalarmowana, że grupa młodych mężczyzn kręcąca się koło półciężarówki być może planuje atak na dużą skalę. Funkcjonariusze skonfiskowali broń, w tym półautomatyczną, wypełniającą bagażnik po brzegi, do tego amunicję i inny sprzęt wojskowy. Właścicielem auta okazał się mieszkaniec mojego własnego miasta, Fort Collins, 20-letni Chevy McGee. McGee utrzymuje, że w Denver był przejazdem, chciał tylko popatrzeć, co się dzieje, a to, że miał w bagażniku taki arsenał, wynika z faktu, że jest zagorzałym myśliwym. Na strzelanki zawsze zabiera znajomych, stąd tyle sztuk broni i amunicji.

Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie kilka szczegółów z życiorysu Chevy'ego McGee. Młodzieniec już kilka miesięcy temu znalazł się na radarze sekcji FBI tropiącej w sieci aktywność ekstremistów i terrorystów. Jest lokalnym przywódcą organizacji Boogaloo Bois, której członkowie nie ograniczają się do spotkań na łonie natury w celu postrzelania sobie do dzików i saren. To paramilitarny związek identyfikujący się z ideami białych supremacystów i jawnie nawołujący do wojny domowej, nazywanej boogaloo. W maju McGee puścił w sieci live stream z aresztowania Bradleya Bunna, mężczyzny, który szykował się do ataku bombowego na budynek stanowego Kapitolu w Denver. Do ataku miało dojść 1 maja podczas demonstracji pod hasłem Reopen Colorado organizowanej przez przeciwników ograniczeń wprowadzonych w związku z pandemią. FBI aresztowało Bunna tuż przed protestem. Komentując akcję policji, McGee jednoznacznie dał do zrozumienia, że obawia się tego samego. Wreszcie wyszło na jaw, że zanim przyjechał z kolegami do Denver, zdążył odwiedzić kilka innych miejsc objętych protestami, w tym Salt Lake City w Utah. Trudno w takich okolicznościach wierzyć, że parkując w Denver półciężarówkę pełną broni, nie miał żadnych innych zamiarów niż bierna obserwacja manifestantów z puszką coli w dłoni.

W marcu liczba nabytej przez Amerykanów broni wzrosła w porównaniu z marcem 2019 r. o prawie 85%.

Kto się boi pandemii

Gdy w ubiegłym roku pisałam o licealistach z Florydy, którzy po tragicznej strzelaninie w ich szkole rozpoczęli heroiczną krucjatę przeciwko kulturze broni w USA, wierzyłam, że może w końcu Ameryka znalazła się na dobrej drodze. Że sprzedaż broni, która jest smutnym probierzem stanu amerykańskich umysłów, wreszcie zacznie spadać. I że takie organizacje jak Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie (NRA), które zamydliły społeczeństwu oczy, wpierając mu, że druga poprawka do konstytucji to najważniejszy wyznacznik osobistej wolności – choć w istocie od początku chodziło wyłącznie o pieniądze! – zakończą swoją obrzydliwą działalność. Być może wszystko to było do zrobienia, ale dzisiaj nie jestem już tego taka pewna.

Pierwsza rzecz, która odwróciła trendy, to oczywiście pandemia. Amerykanie znów zbroją się na potęgę jak kraj długi i szeroki, i to w atmosferze paniki, jakiej dawno tu nie widzieliśmy. W marcu, jak podaje organizacja Small Arms Analytics & Forecasting, liczba nabytej przez Amerykanów broni wzrosła w porównaniu z marcem 2019 r. o prawie 85%. W kwietniu skok był mniejszy, bo tylko o 70%, ale w maju znów o 81%. To ponad 5 mln nowych sztuk broni, które zasiliły domowe arsenały w ciągu zaledwie trzech miesięcy. Ameryka ma 200 mln obywateli powyżej 18. roku życia. Czy 5 mln to faktycznie tak dużo? Nie, ale nie zapominajmy, że to jedynie dodatek do 300 mln sztuk, które Amerykanie już oficjalnie posiadają. W rzeczywistości zaś broni jest dużo więcej, bo czarny rynek działa bardzo sprawnie.

Dlaczego w ogóle Amerykanie się zbroją? – Zbroją się, bo mogą, bo

eprasa.pl 3467c7f583

Na konwencjach Narodowego Związku Strzelców (NRA) można obejrzeć i kupić wiele rodzajów broni.

broń jest obecna w ich życiu od zawsze, a w zbiorowym wyobrażeniu kojarzy się z najprostszą metodą samoobrony – wyjaśnia Timothy Lytton, prawnik i ekspert ds. przemocy z użyciem broni z Georgia State University. – W czasie pandemii zbroją się ze strachu, że przytłoczone nadmiarem obowiązków służby porządkowe nie dotrą do nich w porę, mądrze więc jest móc się obronić samemu.

Politolog Joseph Uscinski z University of Miami przeprowadził pod koniec kwietnia badania, z których wynika, że zbroją się i z innych przyczyn. Jakich? Strachu przed scenariuszami będącymi w obiegu głównie w mediach społecznościowych, a znanymi jako teorie spiskowe. Wedle raportu Uscinskiego wierzy w nie aż 30% społeczeństwa. Najpowszechniej występuje w tej grupie przekonanie, że będą potrzebować broni, by nie dać się zaszczepić – by przeciwdziałać planowi, nad którym rządy światowe pracują wespół z największym wrogiem ludzkości Billem Gatesem i/lub głodnymi jeszcze większej kasy międzynarodowymi koncernami farmaceutycznymi. Niedaleko w tyle pozostaje przeświadczenie, że wirus Wu-Flu (prześmiewcza nazwa COVID-19) to tylko wymówka, by zacząć ludzkość masowo czipować (czipy będą przemycane w szczepionkach) w celu inwigilacji i kontroli. Niemały odsetek zbrojących się obywateli wierzy, że koronawirus to narzędzie planowej depopulacji planety, by pozbyć się zwłaszcza kosztownych emerytów, na których żadne państwo nie ma dziś wystarczająco dużo pieniędzy. Dalej mamy tych, którzy nie poddadzą się bez oporu ani budowniczym wież transmisyjnych dla sieci 5G, ani legii Grety Thunberg zmuszającej nas do zmiany nawyków w imię powstrzymania zmian klimatycznych, ani zbrojnej inwazji obcych państw, zwłaszcza Chin i Rosji, która nastąpi, gdy wirus już nas odpowiednio przetrzebi i osłabi. Wreszcie, i tu wracamy do Chevy'ego McGee i jego drużyny, zbroją się, bo spowodowany pandemią kryzys ekonomiczny, pogłębiony ostatnio kryzysem społecznym po śmierci Floyda, wydaje im się wymarzoną okazją do wywołania prawdziwej wojny domowej.

200 mln dorosłych obywateli USA ma oficjalnie ponad 300 mln sztuk broni.

Kto nie słucha Trumpa?

Długo by się rozwodzić, skąd w amerykańskiej wyobraźni tyle parcia na przemoc i zdumiewającej, niepojętej dla reszty cywilizowanego świata, fascynacji wszelkimi przejawami tej przemocy, w tym bronią. Pewnie każda z odpowiedzi będzie w jakiejś części prawdziwa. To, że Amerykanie nigdy nie doświadczyli na swojej ziemi buta okupanta i życia w atmosferze narzuconego terroru. Wyssana z mlekiem matki, mająca korzenie w protestantyzmie idea, że obowiązkiem człowieka jest ewangelizacja, czyli szerzenie wartości, w które się wierzy – siłą, jeśli trzeba. Mit kowboja, który zbawia świat za pomocą spluwy, ulubiony przez twórców amerykańskiej kultury masowej. Od lat ważną częścią tej kultury jest sfera rozrywki wirtualnej, gdzie przemoc często jest i esencją, i celem samym w sobie. Nieprzypadkowo przytłaczająca większość sprawców masowych strzelanin w USA to osoby nałogowo grające w brutalne gry komputerowe, wręcz od nich uzależnione.

Można te wszystkie zjawiska bagatelizować. Można upierać się, że paramilitarne organizacje o zabarwieniu jawnie rasistowskim i nacjonalistycznym to przecież margines. W kraju wolności, za jaki uważa się Ameryka, każdemu wolno wierzyć w takiego boga, jakiego sobie wybierze. Nawet mowa nienawiści stanowi problem, bo czy jej prawne zakazywanie nie kłóci się z konstytucją? Gdyby dla wszystkich było to oczywiste, nie mielibyśmy do czynienia z nieprzerwaną serią rozpraw sądowych mających rozstrzygnąć tę właśnie kwestię.

A jednak trudno się opędzić od myśli, że przekroczyliśmy kolejny próg. Od lat eksperci biją na alarm, że eskalująca w Ameryce przemoc z użyciem broni, w tym masowe strzelaniny, jest bezpośrednim efektem obowiązujących tu nieodpowiedzialnych przepisów, tego, że jest jej coraz więcej w rękach cywilów. Równolegle od jakiegoś czasu rośnie obawa o trendy w innych sferach życia społecznego: o napięcia międzyrasowe i międzyklasowe spowodowane pogłębiającymi się nierównościami ekonomicznymi. Mimo poprawności politycznej i parytetów rasowych w przestrzeni publicznej nasila się nienawiść jednych społeczności do drugich. Winna jest systemowa dyskryminacja mniejszości, w tym ze strony służb porządkowych, ale wielkim winnym jest również prezydent Trump, który jawnie sympatyzuje z radykałami

FOT. FORUM

eprasa.pl 3467c7f583

i ekstremistami, a po zamieszkach wywołanych przez białych suprematystów w 2017 r. w Charlottesville potrafił orzec, że „racja leżała po obu stronach". Teraz doszły do tego pandemia i poczucie opresji, nieważne, że czynnikiem opresyjnym jest *de facto* sama natura. Arsenały broni, do których mają dostęp niebezpieczni ludzie, to tykająca bomba.

Kto się zaraził tym buntem

2 czerwca ośrodek badawczy Network Contagion Research Institute (NCRI) zajmujący się tropieniem w sieci przejawów nienawiści opublikował raport, który zatrważa. Nosi on tytuł „COVID-19. Conspiracy and Contagious Sedition" (COVID-19. Konspiracja i zarażanie buntem) i zasypuje dowodami, że, jak to ujął dyrektor NCRI Joel Finkelstein, mamy obecnie „nie tylko wystarczająco wielu aktorów wyrywających się, by odegrać swoje brutalne, krwawe role, ale i widownię, która tylko czeka, by ich działania wymknęły się spod kontroli".

Przede wszystkim w ostatnich miesiącach znacznie wzrosła liczba członków organizacji, które zupełnie jawnie posługują się językiem przemocy i wojny oraz znakami militarnymi, w tym – jak każdy szanujący się amerykański rasista – flagami i symbolami konfederackimi. Finkelstein nazywa je wschodzącą konstelacją Militia Sphere – na znak, że są to uzbrojone grupy pozujące na obrońców wolności obywatelskich, bezpieczeństwa i... zbrojnych starć z szeroko pojętym systemem. Prócz wspomnianej już organizacji Boogaloo Bois do otwartej wojny nawołuje np. Qanon – grupa zawiązana w 2017 r. przez zwolenników teorii spiskowej, że lewicowy tajny rząd planuje obalenie administracji Trumpa, Three Percenters Militia – „patriotyczny" ruch militarny inspirowany poczynaniami kolonistów, którzy wypowiedzieli wojnę Brytyjczykom, czy Proud Boys – ugrupowanie neofaszystowskie i rasistowskie stawiające sobie za cel obronę zachodnich wartości. Pandemia stworzyła im okazję do wspólnego działania, gdy Amerykę zalała fala pandemicznych dysydentów domagających się otwierania kraju i końca ograniczeń. Dostrzec ich i zidentyfikować też jest łatwiej niż kiedykolwiek, ubierają się bowiem w koszule w hawajskie wzory. Jeśli nie zwrócili państwo na to uwagi – zachęcam do ponownego przyjrzenia się zdjęciom z amerykańskich protestów z ostatnich tygodni. I policzenia hawajskich koszul.

Nie mam pojęcia, co przyniosą Ameryce najbliższe dni i tygodnie. Mam nadzieję, że gdy będą państwo czytać te słowa, po zamieszkach trzeba już będzie tylko sprzątać, a uwaga i energia Amerykanów znów zwrócą się ku walce z koronawirusem. Sytuacja jest daleka od idealnej, a zarzucenie podczas protestów środków bezpieczeństwa na pewno zaowocuje kolejnym skokiem zarażeń. Jeśli jednak okaże się inaczej, jeśli rozruchy nie ustaną, a przeciwnie – będą eskalować, możemy zobaczyć, że amerykańscy miłośnicy broni nie zmarnowali kryzysu i w końcu zorganizowali sobie zabawę, o jakiej od dawna marzyli. Apoteoza przemocy i zbyt łatwy dostęp do broni może zniszczyć nawet tak silne i pragmatyczne społeczeństwo, jakim są Amerykanie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 3467c7f583

Oko w oko Tomasz Jastrun

Uczeń Spinozy

Ukazała się moja książka, najgrubsza z dotychczasowych, zatytułowana „Mimo wszystko" – 800 stron. Mam żal do takich książek, patrzę na nie jak na ładne kobiety, które się zaniedbały i roztyły. Tu patrzę tak jakby na siebie. To zbiór felietonów drukowanych w tygodniku „Newsweek" w latach 2007-2012. Zdałem się na redaktorkę i do nich nie zajrzałem, gdy książka była szykowana do druku. Czułem coś w rodzaju niechęci do tych tekstów, lęk, że przez ten czas się zepsuły. Teraz z obawą zaglądam do środka. I niespodziewanie wciąga mnie lektura. Dziwię się, jakby to ktoś we mnie za mnie to pisał, czasami ode mnie zdolniejszy. Od wielu lat, od początku lat 80., tworzyłem właściwie ten sam tekst, trochę dziennik, trochę felieton. Szedłem uparcie, notując świat od stanu wojennego i podziemnego „Wezwania", potem była paryska „Kultura", szedłem przez „Rzeczpospolitą", „Newsweek", „Wprost" do „Przeglądu", gdzie teraz z wami jestem. Pisałem miesiąc w miesiąc, tydzień w tydzień, nie opuściłem nigdy felietonu. Nawet gdy tonąłem, a głowę miałem już pod powierzchnią, wystawiałem rękę, by kliknąć wyślij. W „Mimo wszystko" opisuję zdarzenia sprzed mniej więcej 10 lat. A tylu rzeczy już nie pamiętam; gdy czytam, czasami coś mi się przypomina, czasami nie – często nie. Nasza przeszłość zdaje się rozerwana na strzępy przez wielki wybuch. Odłamki porozrzucane po naszej pamięci bez ładu i składu, są maleńkie kawałki, czasami większe fragmenty, ale często bywa już tylko pył.

•

Czytam dwa ostatnie tomy dzienników Sándora Máraia. Wybitny węgierski prozaik. W sumie Czytelnik wydał pięć tomów. Najciekawszy pierwszy, gdzie opisuje Węgry pod hitlerowską okupacją, oni mieli przy okazji też swój faszyźmik. Márai po wojnie emigruje, mieszka przez wiele lat w Stanach, których nie znosi, zaskoczony, jak są wypatroszone duchowo. Po 15 latach przenosi się do Włoch, by na starość wrócić do Stanów. Jest rok 1989, pisarz ma 89 lat. Kupuje pistolet i 21 lutego strzela sobie w głowę. Też bym tak chciał. Márai w pierwszym bodaj tomie obiecywał, że na starość tak zrobi. Obym potrafił być równie konsekwentny. Tylko skąd ja wezmę pistolet? W Stanach idzie się do sklepu.

•

Mój przyjaciel malarz, który nie znosi urzędu, jednak idzie, by móc głosować poza Warszawą. Sąsiedzi dzwonią, że będzie u nich znajoma, zbiera podpisy dla Trzaskowskiego, a my dzwonimy do innych sąsiadów. Wszędzie wokół wielka krzątanina w tej sprawie. Bardzo dobre hasło Trzaskowskiego: „Mamy dość". Jest poczucie, że dłużej tego nie wytrzymamy. Nie możemy więc przegrać. W powszechnym odczuciu Duda to kukiełka, premier Morawiecki kłamczuszek o długim nosie, Kaczyński psychopata, Ziobro rzezimieszek, Macierewicz czubek, a Kurski goebbelsik – przesada, ale w moim środowisku trudno znaleźć kogoś, kto czuje inaczej. Emocje nie mogą już być większe.

•

Oglądałem Sejm, gdy było mordobicie w sprawie Łukasza Szumowskiego. Zarzuty wobec niego są niestety poważne. Jak mi przykro. I przykro, że z wybitnego lekarza zmieniono go w aparatczyka partyjnego. To w czasie tej awantury prezes ze zmienioną twarzą, przypominającą zdekomponowane przez czas jabłko, krzyczał do opozycji: „Takiej hołoty chamskiej to jeszcze nikt nie widział". Bardzo lubię, jak prezes jest sobą, opada maska poczciwego dziadka, który lubi siedzieć w Sejmie ze splecionymi łapkami.

> Kaczyński, Orbán, Erdoğan nie potrafią rządzić inaczej jak przez konflikt i zohydzanie przeciwników.

•

Zamieszki w Stanach, można było tego się spodziewać. Potrzebny był tylko pretekst. Splot kilku problemów społecznych. I ten dureń Trump, który marzy o dyktaturze i dolewa oliwy do ognia. On, Kaczyński, Orbán i Erdoğan nie potrafią rządzić inaczej jak przez konflikt i zohydzanie przeciwników.

•

Media reżimowe próbują zagryźć Rafała Trzaskowskiego. W połowie wydania „Wiadomości" Danuta Holecka zapowiedziała, że widzowie zobaczą materiał: „Kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta zafascynowany nauką żydowskiego filozofa". Po paru minutach na ekranie ukazał się pasek: „Trzaskowski przeciwko katolikom". Trzaskowski gdzieś nieostrożnie się zwierzył, że interesuje go filozofia Spinozy. A ten filozof, podobnie jak Chrystus i jego matka, miał złe pochodzenie. To, co głosił, to herezja dla chrześcijan, ale też dla wyznawców judaizmu. To ostatnie powinno uspokajać, ale nic z tego. Żydzi czyhają na duszę polskiego narodu. Jakby chrześcijaństwo ze swojej istoty nie było żydowskie. O czym my tu w ogóle mówimy, już sugerowano, że Trzaskowski seksualizuje polskie dzieci, teraz straszy się, że zabierze im polskość.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3467c7f583

Mateusz Mazzini

Król chaosu

Niebezpieczny hochsztapler czy niedoceniany geniusz polityczny – kim jest Dominic Cummings, główny strateg brytyjskiego rządu?

Gdyby miernikiem rzeczywistości politycznej miały być medialne nagłówki i sondaże poparcia, Wielka Brytania stałaby właśnie na progu kryzysu. Być może bylibyśmy nawet świadkami dymisji Borisa Johnsona i odwołania jego rządu. A już na pewno kończyłaby się kariera Dominica Cummingsa.

Główny doradca brytyjskiego premiera, 48-letni absolwent historii na Oksfordzie, oficjalnie jest członkiem bezpośredniego zaplecza Borisa Johnsona od niecałych 12 miesięcy. W praktyce jednak od co najmniej czterech lat nadaje ton polityce Partii Konserwatywnej, zwłaszcza na polu ideologicznym. To nie tylko doskonały spin doktor, sprawnie nawigujący w korytarzach parlamentu i budynków ministerialnych. To przede wszystkim człowiek, którego nic tak nie napędza jak polityczna konfrontacja.

Wyprawa na północ

Jeszcze kilka tygodni temu wydawało się, że dni Cummingsa i jego mecenasa na szczytach władzy są policzone. 22 maja śledztwo dziennikarskie przeprowadzone przez reporterów „Guardiana" i „Daily Mail" ujawniło, że Cummings w rażący sposób naruszył zasady przymusowej izolacji obowiązującej w kraju z powodu pandemii koronawirusa. 27 marca, pod wpływem rozmowy z mającą symptomy COVID-19 żoną, zdecydował się pojechać samochodem do posiadłości rodziców w okolicach Durham, 425 km na północ od Londynu, gdzie na co dzień mieszka. Zrobił to, bo – jak twierdzi – bał się o zdrowie czteroletniego syna, a w Londynie on i żona nie mają nikogo, kto mógłby się malcem zaopiekować.

Następnego poranka sam Cummings obudził się z wysoką gorączką i razem z rodziną spędził na północy kilkanaście kolejnych dni, do Londynu wracając dopiero 13 kwietnia. Dzień wcześniej udał się jednak na jeszcze jedną przejażdżkę – do Barnard Castle, ok. 40 km od posiadłości rodziców, rzekomo by się upewnić, że choroba nie uszkodziła mu wzroku i że był w stanie odwieźć rodzinę do stolicy.

Do ukazania pełnego kontekstu podróży Cummingsa niezbędne są jeszcze inne daty. Przede wszystkim 21 marca, czyli moment, gdy jego szef, Boris Johnson, mówi Brytyjczykom: nie możecie przemieszczać się po kraju, chyba że jest to sytuacja absolutnie krytyczna. Oraz 27 marca, kiedy to Downing Street ogłasza, że pozytywny wynik testu na koronawirusa ma sam szef rządu. Tego dnia główny doradca Johnsona nie tylko był w pracy, ale też wyszedł z niej, sprawdził stan zdrowia żony i do pracy wrócił. Krótko mówiąc, od końca marca do prawie połowy kwietnia Dominic Cummings swobodnie przemieszczał się między ogniskiem koronawirusa, jakim było biuro premiera, a innymi punktami kraju. Dając tym do zrozumienia opinii publicznej, że prawo interpretuje w sposób dla siebie najwygodniejszy.

Zaraz po ujawnieniu szczegółów jego marcowych podróży opozycja jednogłośnie zaczęła się domagać dymisji, a poparcie dla Borisa Johnsona i jego rządu spadło o prawie 10 pkt proc. Dziś zaledwie 23% obywateli uważa jego przywództwo w czasie pandemii za bardzo dobre, z kolei aż 19% za bardzo złe. 53% respondentów jest zdania, że Cummings za swoje eskapady w czasie lockdownu powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności. I tu właśnie zaczyna się problem. Bo choć od czterech lat praktycznie samodzielnie wytycza on kierunek, w którym podąża brytyjski rząd, robi to bardzo głęboko schowany. Ukrywa się za plecami wybieralnych i odpowiadających przed elektoratem polityków, takich jak Johnson czy eksminister edukacji i brexitowy radykał Michael Gove, ale też za sztucznie wykreowanym wizerunkiem króla chaosu, politycznego hochsztaplera, któremu zależy tylko na sianiu

eprasa.pl 3467c7f583

Boris Johnson nie zwolnił Dominica Cummingsa, choć 53% Brytyjczyków uważa, że powinien on ponieść konsekwencje za złamanie lockdownu.

zamętu, choć pod względem intelektu, konsekwencji i przenikliwości nie ma sobie równych na Wyspach.

Kierownik projektu „Wielka Brytania"

Stefan Collini, profesor literaturoznawstwa Uniwersytetu Cambridge i publicysta „Guardiana", nazwał go „*de facto* kierownikiem projektu »Wielka Brytania«". Patrząc na jego prezencję medialną, trudno jednak uwierzyć, że właśnie ten człowiek pociąga za polityczne sznurki na Wyspach.

Cummings regularnie daje się fotografować paparazzim w spodniach dresowych, ubrudzonych adidasach, ortalionowej kurtce i z dokumentami prawie wypadającymi mu z teczki. Na konferencje prasowe rzadko zakłada krawat. Znany jest też z ciętego języka i kontrowersyjnych wypowiedzi. Kiedy szukał nowych pracowników do swojego zespołu na Downing Street, w ogłoszeniu napisał, że potrzebuje „dziwaków i ludzi niepasujących do reszty społeczeństwa, mających nietypowe zdolności". W jednym z artykułów na swoim blogu stwierdził, że niebawem „będziemy w stanie zmienić całą ludzką naturę, od ciała do umysłu. Nie ma więc sensu pieprzyć się z wymianą stawu biodrowego, skoro zaraz będziemy wymieniać całe organizmy".

Cummings był autorem największych hitów kampanii brexitowej. Zapytany, czy zgadzał się z ideą referendum, otwarcie powiedział, że nie.

Oprócz rozważań na temat rozwoju medycyny, bioetyki i przyszłości ludzkiej rasy w artykułach Cummingsa znaleźć można dziesiątki innych wątków. Bo choć formalnie z wykształcenia jest historykiem, trudno tak naprawdę przypisać go do jednej dyscypliny. Na jego światopogląd i tożsamość ideologiczną składa się mieszanka matematyki, historii, filozofii, futurystyki i genetyki. Całą tę wiedzę wykorzystywać chce w jednym celu – stworzenia najbardziej efektywnej strategii politycznego działania. Pisząc o sekwencjonowaniu DNA, zastanawia się, jaki wpływ miałoby to na funkcjonowanie NHS, brytyjskiej publicznej służby zdrowia. W dzisiejszej klasie politycznej najbardziej przeszkadza mu to, że nie jest wystarczająco wyedukowana w zakresie analizy danych. Marzy, by na Downing Street rozwiązania wybierano na podstawie skomplikowanych algorytmów i elementów rachunku prawdopodobieństwa, ocenę potencjału reform zostawiając liczbom, a nie ludziom. Fascynuje się amerykańską Doliną Krzemową, ale samym światem start-upów – już niekoniecznie. Wielokrotnie podkreślał, że fundamenty pod sukces technologiczny firm z USA położył rząd federalny, tworząc rozległą sieć grantów i finansowania badań naukowych. Podobne rozwiązanie chciałby wprowadzić na Wyspach, bo drażni go „statystyczny analfabetyzm" brytyjskiego społeczeństwa i nieumiejętność masowego korzystania z osiągnięć tamtejszych uniwersytetów i placówek badawczych.

Dominic Cummings prawo interpretuje w sposób dla siebie najwygodniejszy.

Nieusuwalny?

Z politycznego punktu widzenia trudno przypisać go do którejś z wielkich ideologii. Sam o sobie mówi, że nie jest „ani liberałem, ani konserwatystą, ani populistą". Akurat z tym ostatnim stwierdzeniem niełatwo jednak się zgodzić, biorąc pod uwagę jego zaangażowanie w referendum brexitowe i agitację na rzecz wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej.

To Cummings był autorem największych hitów tamtej kampanii. Wymyślił słynny czerwony autobus objeżdżający kraj z kompletnie nieprawdziwą informacją, że rozwód z Brukselą da dodatkowe 350 mln funtów na NHS. On stworzył typową dla populistów retorykę „ludu przeciwko parlamentarnym elitom", wręcz rozkazując brexitowcom, żeby publicznie mówili „tylko o migracji, pieniądzach i odzyskaniu kontroli nad krajem". Co ciekawe, już po wygraniu referendum przyznał, że zwycięstwo traktował jako zawodowe wyzwanie, bo było to w interesie jego ówczesnego pracodawcy – organizacji pozarządowej Vote Leave (ang. Głosuj za Wyjściem). Zapytany o to, czy zgadzał się z samą ideą referendum, otwarcie powiedział, że nie. „To był bardzo głupi pomysł, inne rzeczy miały większy priorytet, powinny być wprowadzone zamiast tego", napisał na Twitterze. I chociażby dlatego jego deklarowane w artykułach przywiązanie do dobra publicznego oraz marzenie o polityce opartej na faktach, a nie emocjach, należy traktować co najmniej z przymrużeniem oka.

Mimo to konserwatywne elity, a w szczególności Boris Johnson, nie mogą już bez niego się obyć. Michaela Gove'a, ministra edukacji w gabinecie Davida Camerona, wypromował z politycznego drugiego szeregu na pierwszą linię brexitowego konfliktu, choć Gove był antytezą frontowego polityka. W ciągu sześciu lat pracy w resorcie edukacji Cummings poszedł na wojnę ze wszystkimi, uderzając m.in. w Theresę May, wówczas szefową brytyjskiego MSW. Cameron nazwał go „psychopatycznym karierowiczem", a byli podwładni, zwłaszcza kobiety, oskarżały o zachowania przemocowe. Jednej z nich musiał nawet wypłacić z tego powodu 25 tys. funtów odszkodowania. Dla Cummingsa jednak cel polityczny uświęca środki. Zwłaszcza jeśli to jego własny cel. Fakt, że przez jego działania inni mają problemy, niespecjalnie go interesuje. Jest do tego stopnia przekonany o swojej wyższości intelektualnej, że czuje się nieusuwalny.

Rzeczywistość, przynajmniej na razie, przyznaje mu rację. Johnson, mimo mocnego tąpnięcia w sondażach, z pracy go nie wyrzucił, a nawet zaczął go bronić. Odejście Cummingsa oznaczałoby bowiem wyjęcie koła zamachowego z rządowego mechanizmu. Jego pozostanie – ryzyko utraty poparcia w społeczeństwie. Ale skoro jest ono „statystycznie analfabetyczne", a zaraz będzie można w całości je wymienić lub ukształtować na nowo, najwyraźniej nie ma sensu się nim przejmować. ■

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 3467c7f583

Katarzyna Mierzejewska

Nikaragua ignoruje pandemię

Prezydent zaklina rzeczywistość, a mieszkańcy ponoszą konsekwencje

Podczas gdy sytuacja w Europie wydaje się coraz bardziej opanowana, nowym epicentrum koronawirusa staje się Ameryka Łacińska. Tymczasem prezydent Nikaragui Daniel Ortega konsekwentnie bagatelizuje skalę zagrożenia. Mimo trudnej sytuacji, przy fali krytyki i presji organizacji na rzecz praw człowieka, pojawił się cień szansy na działanie. Rząd bowiem po raz pierwszy przyznał, że liczba zakażeń w kraju wzrasta. Lokalne Obserwatorium Obywatelskie, różne niezależne organizacje i przebywający na miejscu dziennikarze alarmują jednak, że władze pozostają bierne, próbują zatuszować skalę kryzysu i zaniżają statystyki.

Wszystko po staremu

Sześciomilionowa Nikaragua jest jednym z ostatnich krajów na świecie, które wciąż opierają się wprowadzeniu restrykcji wynikających z pandemii koronawirusa. Otwarte są biura i szkoły, choć klasy pozostają prawie puste, bo rodzice boją się wysyłać dzieci do szkoły. Rząd Ortegi nie tylko nie odwołuje imprez masowych, przyciągających tłumy, ale sam je organizuje. W najlepsze odbywały się zatem do tej pory krajowe rozgrywki piłkarskie, bokserskie czy bejsbolowe. Te ostatnie zostały niedawno zawieszone, gdyż zawodnicy odmówili w nich udziału. A jeszcze w kwietniu np. piłkarzom za odmowę wyjścia na murawę groziły kary pieniężne. Jak wspomina w podcaście „Dział Zagraniczny" dziennikarz i latynoamerykanista Maciej Okraszewski, podczas jednej z walk bokserskich pod koniec kwietnia wprowadzono co prawda szczególne obostrzenia – publiczności mierzono temperaturę, zalecano zajmowanie miejsc daleko od siebie, wszyscy nosili maseczki – ale wyłącznie decyzją organizatorów tej konkretnej gali. Władze nie wprowadziły bowiem żadnych specjalnych zasad co do dezynfekcji rąk czy noszenia rękawiczek.

Przez długi czas Daniel Ortega zachowywał się, jakby koronawirus magicznie omijał Nikaragwę. Brzmiało to mało wiarygodnie, choćby ze względu na szybki rozwój epidemii w sąsiednich Hondurasie i Kostaryce. Widać, że Ortega pandemię chce po prostu przeczekać. Po miesiącu nieobecności, w połowie kwietnia, w końcu przemówił – tylko po to, by stwierdzić, że wirus to znak od Boga przeciwko militaryzmowi i hegemonii – w domyśle Stanów Zjednoczonych. „Strategia antykryzysowa prezydenta to nie robić nic, za wszelką cenę udawać, że wszystko jest po staremu. Tak by w żaden sposób nie ucierpiała gospodarka", mówił mediom Juan Sebastián Chamorro, lider grupy opozycyjnej Sojusz Obywatelski na rzecz Sprawiedliwości i Demokracji. Działające w Nikaragui Stowarzyszenie na rzecz Praw Człowieka (ANDPH) wezwało nawet Światową Organizację Zdrowia do interwencji. ANDPH oskarża Ortegę o nieodpowiedzialność i krytykuje brak działań, które powstrzymałyby rozprzestrzenianie się wirusa. Grupa opozycyjna nazywa obecną sytuację w Nikaragui „ludobójstwem wirusowym" (*genocídio viral*).

> Opozycja nazywa obecną sytuację w Nikaragui ludobójstwem wirusowym.

Ortega przyznał w końcu, że koronawirus w Nikaragui występuje, rząd ujawnił nawet, że liczba zachorowań wzrasta. Zaczęto też podawać statystyki. To krok naprzód, zważywszy, że przez prawie dwa miesiące władze utrzymywały, że odnotowuje się pojedyncze infekcje. Gdy pod koniec maja oznaki rozprzestrzeniania się wirusa trudno było ignorować, ministra zdrowia Martha Reyes poinformowała, że w kraju jest ponad 250 zakażonych. Dla porównania – w poprzednim oświadczeniu mówiono o zaledwie 25 przypadkach. Niezależne organizacje i tak uważają te liczby za mocno zaniżone.

Ekspresowe pogrzeby

W kraju brakuje testów, w dodatku są kontrolowane przez rząd. Oznacza to, że władze decydują, która placówka zdrowotna ma do nich dostęp. Do zajmowania się przypadkami koronawirusa oficjalnie wyznaczony jest tylko jeden szpital: Hospital Alemán (Szpital Niemiecki) w stolicy, Managui. W szpitalach tworzą się długie kolejki, a w aptekach zaczyna brakować podstawowych leków. Dr Carlos Quant, szef oddziału chorób zakaźnych w Hospital Manolo Morales w Managui, powiedział, że co najmniej kilkudziesięciu pracowników medycznych jest chorych, ale szpital przestał badać personel pod kątem zakażenia.

W całym kraju rodziny są zmuszane do organizowania tzw. ekspresowych pochówków, także dlatego, by wirus się nie rozprzestrzenił. Pogrzeby odbywają się o każdej porze dnia i nocy, nie ma czasu na wezwanie księdza ani na odpowiednie pożegnanie zmarłego. Wszystko dzieje się tak szybko, że wielu krewnych nie ma pewności, czy w trumnie faktycznie jest ich bliski.

„W Nikaragui tradycją są długie, trwające nawet kilka dni stypy. Teraz często rodziny nie znają żadnych

eprasa.pl 3467c7f583

Do zajmowania się przypadkami koronawiusa oficjalnie wyznaczony jest tylko jeden szpital, Hospital Alemán.

szczegółów pochówku do czasu pogrzebu", mówi Maciej Okraszewski. Rodzinom tłumaczy się, że ktoś zmarł np. na rzadką i wyjątkowo ciężką odmianę zapalenia płuc. Rozmawiający z dziennikarzami „New York Timesa" ludzie są jednak pewni. „Mimo ewidentnych symptomów mój ojciec nigdy nie dostał wyników testów na COVID-19. Zmarł w szpitalu", opowiada Luis C. Siero. Siero nagrał film (dostępny na Facebooku), na którym widać, jak grabarze pracują nocą na cmentarzu, prawdopodobnie chowając ciała. Tłumaczyli, że „dostali takie zadanie".

Consuelo Mendoza wyznaje w rozmowie z AFP, że miała tylko trzy godziny na urządzenie pogrzebu męża. „Rodziny są zmuszone ścigać ciężarówki z trumnami. To jedyny sposób, by się dowiedzieć, gdzie będą pochowani ich bliscy", alarmuje opozycyjna Koalicja Narodowa w oświadczeniu potępiającym działania rządowe. „Część lekarzy związana z opozycją twierdzi, że nie można nawet wpisywać koronawirusa jako powodu śmierci na aktach zgonów", dodaje Maciej Okraszewski.

Wiceprezydentka Rosario Murillo, prywatnie żona Daniela Ortegi, zaprzeczyła, jakoby dochodziło do ekspresowych pochówków. Kiedy ponad 500 nikaraguańskich pracowników służby zdrowia podpisało list wzywający rząd do podjęcia działań w celu zapobieżenia katastrofalnemu wzrostowi liczby przypadków, Murillo nazwała ich kosmitami (*extraterrestres*), którzy żyją w innej galaktyce i produkują kłamstwa na temat sytuacji w kraju.

W obliczu zarzutów o nieudolność rząd pokusił się o opublikowanie tzw. białej księgi, która ma wyjaśniać strategię w kwestii zarządzania koronawirusowym kryzysem. Władze tłumaczą np., dlaczego nie zamroziły gospodarki. W zasadzie powtórzono to, co czołowi politycy już mówili – swoje działania nazywają strategią równowagi między ekonomią a pandemią. Podkreślają, że 40% ludności mieszka na wsi, a 80% pracowników miejskich pracuje w sektorze nieformalnym (np. sprzedaje coś na ulicy) i z tego się utrzymuje. Poza tym trzeba odbudować ekonomię po protestach z 2018 r. Głosy sprzeciwu to „kampania dezinformacyjna". W dokumencie można też znaleźć informacje o inwestycjach w modernizowanie systemu opieki zdrowotnej i wzmiankę o rosnącej liczbie lekarzy. Władze wyjaśniają, że wybrały model szwedzki, który oznacza praktycznie zero obostrzeń.

Dokument skrytykowało środowisko medyczne. Dr Álvaro Ramírez, były dyrektor ds. epidemiologicznych w Ministerstwie Zdrowia, nazwał białą księgę stekiem kłamstw. „Decyzja o przyjęciu modelu szwedzkiego jest nieuzasadniona i niebezpieczna dla mieszkańców Nikaragui", stwierdził. W rozmowie z agencją prasową AFP Ramírez ostrzegł, że Nikaragua wkracza w etap szybkiego rozprzestrzeniania się wirusa, co może przerodzić się w chaos.

Ortega boi się masowych protestów

Maciej Okraszewski uważa, że Daniel Ortega wzbrania się przed wprowadzeniem pandemicznych obostrzeń ze strachu: „Nikaragua to drugi najbiedniejszy po Haiti kraj w tej części świata. Większość osób pracuje w sektorze nieformalnym lub prywatnym. Gdyby Nikaragua zamknęła się gospodarczo, co od razu odczuliby obywatele, doprowadziłoby to do ogromnych rozruchów". Dodaje też, że gdyby przeciwko Ortedze wystąpili najbiedniejsi, mógłby to być cios dla jego bazy politycznej. Najbiedniejsi Nikaraguańczycy są bowiem wierni sandinizmowi (ruchowi rewolucyjnemu, który obalił poprzednią dyktaturę i wyniósł do władzy obecnego prezydenta), m.in. dzięki prowadzonym programom społecznym. Zdaniem Macieja Okraszewskiego wielkie protesty z udziałem najbiedniejszych mogłyby być początkiem końca rządów Ortegi.

A ten już od kilku dekad traktuje Nikaraguę jak prywatny folwark i dobrze się czuje w roli dyktatora. Niegdyś gorliwy rewolucjonista, walczący z dyktaturą Anastasia Somozy, którego rodzina sprawowała rządy od 1936 r., dziś jest centralną figurą, bez której nic nie może w kraju się zdarzyć. Jego wpływy sięgają wszelkich ważniejszych biznesów, mediów (kontrolowanych przez państwo) i polityków.

Choć Ortega nadal ma wiernych wyznawców, nieufność wobec rządu, który ewidentnie okłamuje obywateli, wzrasta. Działacz opozycyjny Juan Sebastián Chamorro uważa, że gdyby odbyły się uczciwe wybory, urzędujący prezydent nie zdobyłby nawet 20% głosów. Pandemia dotyka Nikaraguę zaledwie dwa lata po krwawym powstaniu obywatelskim, w którym życie straciło ok. 300 osób. Punktem zapalnym były reformy systemu ubezpieczeń społecznych. Nowe przepisy nałożyły pięcioprocentowy podatek na emerytury i renty oraz zwiększyły składki płacone zarówno przez pracowników, jak i pracodawców. Ponieważ to jeden z najbiedniejszych krajów w Ameryce Łacińskiej, tego typu podwyżki odbijają się na stopie życiowej jego mieszkańców i mogą ich spychać w ubóstwo. ■

FOT. INTI OCON/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3467c7f583

Od Okrągłego Stołu do autorytarnej „kontrrewolucji”

PiS dopasowało swoją strategię do nadziei i potrzeb tej kategorii obywateli, którzy byli zawiedzeni wynikami transformacji

Warszawa, 1991 r. Manifestacja przeciwko tzw. popiwkowi, podatkowi od ponadnormatywnych wypłat wynagrodzeń. Przewodnie hasło: „Balcerowicz musi odejść”.

Janusz Reykowski

Dla znacznej części polskiego społeczeństwa, dla tych, którzy wyniki wyborów 4 czerwca 1989 r. i utworzenie rządu Tadeusza Mazowieckiego traktowali jako zwycięstwo Solidarności i jej ideałów, przebieg transformacji mógł być wielkim, negatywnym zaskoczeniem. Z ich punktu widzenia:

• Zaskoczeniem była zmiana stosunków społecznych – zanikał duch solidarności, który przed transformacją łączył ludzi. Indywidualistyczne skupienie na własnych interesach i własnym sukcesie stawało się dominującą cechą nowych czasów. Społeczeństwo podzieliło się na tych, którzy na zmianie skorzystali, zrobili wielkie kariery, zdobyli wielkie pieniądze, oraz tych, którzy stali się obywatelami drugiej kategorii – nieudacznikami, moherami. W tej drugiej kategorii znaleźli się również tacy, którzy do zwycięstwa Solidarności się przyczynili, np. robotnicy upadających wielkich zakładów pracy. Ale też młodzi ludzie, wchodzący na rynek pracy nieprzyjazny dla osób niemających jakichś szczególnych umiejętności czy społecznego oparcia.

• Zaskoczeniem była demokracja – nie ziściła się nadzieja, że państwo demokratyczne zatroszczy się o obywateli, że rządzący będą wyrażali wolę całego społeczeństwa. Tymczasem władza demokratyczna ignorowała losy obywateli dotkniętych wielkimi kosztami transformacji, nie wyrażała woli obywateli, tylko wolę elit.

• Zaskoczeniem był wolny rynek – miał on zapewnić dostatek, „taki jak na Zachodzie”. Tymczasem w wielu grupach słabło poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego i nadzieje na lepszą przyszłość, bo znikały gwarancje stałej pracy i perspektywy awansu; przyszłość zdawała się bardziej zależna od czynników losowych niż od własnych wysiłków.

• Zaskoczeniem były zmiany ustalonego porządku moralnego – dominująca w sferze publicznej kultura liberalna, która kwestionowała prawa rodziców i koncepcję rodziny jako związku mężczyzny i kobiety, dopuszczała publiczne szyderstwa ze świętości, podważała wspólną wiarę. A przecież to właśnie wspólna wiara i osoba Jana Pawła II łączyła ludzi w okresie Solidarności i w stanie wojennym.

eprasa.pl 3467c7f583

Wielu ludzi musiało zadać sobie pytanie, jak to się stało, że „zwycięstwo Solidarności nad komunizmem" wcale nie doprowadziło do realizacji ideałów Solidarności. Rysowała się prosta, artykułowana i wspierana przez prawicę odpowiedź: skoro do zmian doprowadziły elity dawnej opozycji demokratycznej i skoro elity te uniemożliwiły dekomunizację, to jest to dowód na to, że owe elity „skumały się" z „komunistami" jeszcze przy Okrągłym Stole i zdradziły sprawę Solidarności. Tak więc zdrada elit jest główną przyczyną tego, co się stało, a Okrągły Stół – zgodnie z tym mniemaniem – był instrumentem tej polityki.

Jak wynika z badań prof. Ireneusza Krzemińskiego z Instytutu Socjologii UW i jego zespołu, stanowisko takie zajmuje znaczna część aktywistów Solidarności. Badania te, przeprowadzone w 2012 r., dotyczyły postaw i poglądów aktywistów ruchu społecznego Solidarność, a więc ludzi związanych z nim od jego powstania. Wielu z nich swój radykalny antykomunizm łączy ze skrajnie negatywną oceną transformacji i Wałęsy jako zdrajcy ideałów Solidarności. Uważają też, że władze związku i ruch podziemny były naszpikowane agentami Służby Bezpieczeństwa. Wierzą w czarną legendę Okrągłego Stołu, czyli – jak to scharakteryzował Aleksander Hall – w spisek elit Okrągłego Stołu ponad głowami narodu. Spiskowcy mieli podzielić władzę polityczną i gospodarczą pomiędzy obie elity i zapewnić bezkarność komunistom. Ten punkt widzenia służy delegitymizacji państwa budowanego od 1989 r. i elity przywódczej Solidarności.

Tę sytuację dobrze zrozumiało PiS

Partia Prawo i Sprawiedliwość dopasowała swoją strategię do nadziei i potrzeb tej kategorii obywateli, którzy wynikami transformacji byli zawiedzeni. Zaproponowała i zaczęła praktycznie realizować nieliberalną wersję demokracji, dobrze dopasowaną do omawianych wcześniej potocznych teorii demokracji jako państwa opiekuńczego i narodowo-katolickiego oraz do resentymentów panujących wśród działaczy Solidarności i części społeczeństwa.

Rząd PiS zaczął rządzenie od działań bezpośrednio zaadresowanych do materialnych potrzeb uboższej części społeczeństwa. Program 500+ oraz anulowanie reformy emerytalnej były spektakularnymi dowodami, że obietnice PiS w zakresie polityki społecznej są realizowane. Także inne obietnice i działania PiS ukierunkowane były na różne bieżące potrzeby tej części społeczeństwa (np. dotyczące płacy minimalnej). Wprawdzie liberalni ekonomiści ostrzegali, że taka polityka wkrótce zrujnuje budżet, ale jak się okazało, budżetu nie zrujnowała. Co więcej, nie tylko budżet nie został zrujnowany, ale przeciwnie – polska gospodarka znacznie przyśpieszyła. W roku 2018 wzrost PKB w Polsce wydaje się jednym z najwyższych w Europie.

Ekonomiści krytyczni wobec PiS nadal utrzymują, że skuteczność krótkodystansowa to nie to samo, co skuteczność w dłuższym okresie, a więc polityka gospodarcza PiS może się zemścić na całej polskiej gospodarce.

Ale ten argument dla beneficjentów polityki PiS nie jest przekonujący, m.in. dlatego, że rząd PiS, jak dotąd, radzi sobie z zapowiadanymi przez krytyków negatywnymi jej konsekwencjami. Okazał w ten sposób moc sprawczą, czyli zdolność skutecznego realizowania tego, co zapowiadał – przynajmniej w tych obszarach, które bezpośrednio dotykają interesów jego elektoratu.

Moc sprawcza to bardzo ważna cecha polityków. Znaczenie tej cechy ujawniło się np. w dawniejszych badaniach zespołu z Instytutu Psychologii PAN nad oceną kandydatów w wyborach prezydenckich. Okazało się, że moc sprawcza – rozumiana jako przebojowość, konsekwencja w działaniu, zdolność realizacji swoich celów – była jedną z głównych cech przypisywanych preferowanemu kandydatowi.

Innym przejawem mocy sprawczej PiS jest energiczne działanie tej partii na rzecz, jak to przedstawiano, reformy sądownictwa. Sądownictwo nie cieszyło się w Polsce wysokim autorytetem. Na przykład według danych CBOS w odniesieniu do okresu 2011-2015 (wrzesień) źle o pracy sądów wypowiadała się większość respondentów: w 15 badaniach większość złych ocen lokowała się w przedziale 40-59%, a dobrych – w przedziale 25-36%.

Reforma sądów realizowana przez PiS – co krytycy wielokrotnie wytykali – nie opiera się na analizie głównych wad tego systemu i nie jest ukierunkowana na usuwanie tych wad. Jej istotą jest podporządkowanie sądownictwa władzy politycznej, rzekomo w nadziei, że ludzie mianowani przez tę władzę będą lepiej pełnić swoje funkcje niż „złogi komunistyczne", jak to elegancko określają działacze i funkcjonariusze PiS. Ta nadzieja może się w pewien szczególny sposób spełnić – zarówno PiS, jak i popierająca je część społeczeństwa żądają surowego i bezwzględnego traktowania przestępców. Powołani przez PiS sędziowie oczekiwaniom tym mogą dość łatwo wyjść naprzeciw.

Polityka PiS została także bezpośrednio skierowana do tych Polaków, dla których demokracja to państwo narodowo-katolickie. Dla nich bardzo ważne mogą być takie działania, które podkreślają wielkość, wyjątkowość, moc (militarną lub moralną) własnego kraju. Kiedy więc PiS w kampanii wyborczej głosi hasło „powstawania z kolan", to niezależnie od tego, jak bardzo jest ono bezsensowne, może wywołać silny rezonans u sporej części Polaków, tych, którzy jego praktycznego sensu dobrze nie rozumieją. Jest bowiem wielu takich, dla których wyobrażenie wielkości własnego narodu jest ważną podstawą poczucia własnej wartości i poczucia bezpieczeństwa.

Hasło to mogło się przyczynić do mobilizacji uczuć narodowych – wzmagać patriotyzm. Ta forma patriotyzmu ma silne związki z religią katolicką i Kościołem, a PiS bardzo się troszczy o dobre stosunki z tą instytucją.

Ale PiS znalazło jeszcze inne instrumenty „patriotycznej mobilizacji". Jednym z nich stała się katastrofa smoleńska. W sytuacji, kiedy kraj nie jest bezpośrednio zagrożony, gdy powiązany jest sojuszami, które zdają się zapewniać mu bezpieczeństwo, uczucia patriotyczne na ogół mają formę latentną – są niejako uśpione. Aby je politycznie wykorzystać,

Nowy autorytaryzm to system, który nie odrzuca demokracji, tylko nadaje jej specjalne znaczenie.

FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

eprasa.pl 3467c7f583

trzeba je czymś pobudzić. Katastrofa smoleńska to oparta na fałszywych przesłankach okazja do pobudzenia tych uczuć. Politycy PiS, nie mając żadnych dowodów, zaczęli głosić tezę, że oficjalne, dokonane przez fachowców ustalenia przyczyn katastrofy są fałszywe, a rzeczywistą jej przyczyną był zamach. Nikt oficjalnie nie wskazał sprawcy zamachu, choć przewijały się nazwiska Tuska i Putina. Wszystko to wystarczyło, aby uruchomić w umysłach wielu ludzi teorie spiskowe i zręcznie, choć pośrednio, kierować je ku Rosji. W tej sytuacji agresywna polityka Rosji wobec Ukrainy, zwiększając obawy Polaków, ułatwiała PiS mobilizację uczuć narodowych. Tak oto katastrofa smoleńska stała się jednym z narzędzi politycznej mobilizacji.

Skuteczność tego narzędzia powoli się wyczerpywała. Ale znalazło się inne, jeszcze bardziej skuteczne (przynajmniej na jakiś czas). Okazało się nim rozbudzenie lęku przed przyjęciem przez Polskę pewnej liczby muzułmańskich uchodźców. Wzbudzanie lęku i wrogości wobec uchodźców uczyniło z PiS wielkiego, „autentycznego" obrońcę zagrożonej polskości. Uaktywniło też radykalne nastroje nacjonalistyczne.

Mobilizacja uczuć narodowych się powiodła. Na scenie publicznej pojawiły się formacje nacjonalistyczne z charakterystycznymi hasłami, w których duma narodowa łączy się z przejawami nienawiści do obcych i apologią przemocy. Jest to kłopotliwy sojusznik dla PiS – sojusznik, który łatwo może stać się rywalem.

Chcąc zapewne utrzymać czy wzmocnić swój wizerunek obrońcy polskości, rzecznika polskiej dumy narodowej, PiS doprowadziło do nowelizacji ustawy o IPN, przewidującej surowe kary za „szkalowanie polskiego narodu" poprzez przypisywanie mu współodpowiedzialności za zbrodnie nazistów czy ukraińskich nacjonalistów. Miała ona wprawdzie fatalne dla Polski konsekwencje międzynarodowe, ale wywołała pozytywny dla PiS oddźwięk w różnych grupach społecznych, ponieważ w odczuciu wielu ludzi dotyczy ona – jak to ujął marszałek Senatu – „godności i prawdy". Wielu Polaków cieszyło się, że PiS stanęło w obronie polskiego honoru narodowego. Ale też wielu Polaków się zmartwiło, że PiS obudziło upiora antysemityzmu.

Aktywizacja uczuć narodowych miała dla części polskiego społeczeństwa duże znaczenie, ponieważ przyczyniała się do umacniania poczucia wspólnoty. Było to przeciwieństwo ujmowania społeczeństwa jako zbioru niezależnych jednostek, dbających głównie o własne interesy.

Jest jeszcze jeden aspekt polityki PiS, który wychodzi naprzeciw pewnym oczekiwaniom społecznym. Chodzi o oczekiwania tych, którzy uważali demokratyczną rewolucję za zbyt łagodną dla ludzi w jakiś sposób związanych z dawnym reżimem. Idea dekomunizacji i różne formy jej urzeczywistniania przez PiS muszą się spotykać z ich aprobatą. Wśród nich jest niemało takich, którym można przypisać cechę określoną przez prof. Krzemińskiego jako resentyment. Chodzi tu o osoby

eprasa.pl 3467c7f583

urażone sukcesami innych i czujące własną niższość mimo przekonania, że są „równe innym". Pojawiają się wtedy uczucia zazdrości, niespełnionych oczekiwań, niesprawiedliwości. Uczucia te występowały wyraźnie wśród badanych przez Krzemińskiego aktywistów Solidarności, którzy ponosili trudy i niebezpieczeństwa takie same jak inni, a potem niektórzy z nich nie wiadomo dlaczego awansowali, stali się znani, zajęli intratne stanowiska, „a my nie". Jest to istotny powód pojawiania się uczuć wrogości wobec dawnych towarzyszy walki, tendencji do minimalizacji dawnych zasług tych, którzy teraz odnieśli sukces. Na tym tle rozwija się ideologia „zdrady".

Ważną przesłanką aprobaty dla PiS jest fakt, że partia t a spełnia rudymentarne warunki demokracji – swoją legitymację do sprawowania władzy opiera na wynikach demokratycznych wyborów. Podobną legitymację uzyskał Victor Orbán na Węgrzech, Recep Tayyip Erdoğan w Turcji, Benjamin Netanyahu w Izraelu, Władimir Putin w Rosji. Jak to wcześniej przedstawiałem, dla wielu obywateli spełnianie tych rudymentarnych warunków jest wystarczającym powodem, by uznać, że żyją w demokracji.

Rzeczywisty charakter tych zmian systemowych wybitny polski socjolog prof. Jerzy Wiatr opisał jako nowy autorytaryzm.

Nowy autorytaryzm jako system polityczny

Nowy autorytaryzm to system, który nie odrzuca demokracji, tylko nadaje jej specjalne znaczenie. W systemie tym:

- Władzę obejmuje partia, która zdobyła przewagę w wolnych wyborach w warunkach swobodnej międzypartyjnej rywalizacji. Istnieje polityczna opozycja i jej udział w kolejnych wyborach nie jest kwestionowany.
- Zachowany jest polityczny pluralizm – istnieją partie polityczne i organizacje, a także media o różnych orientacjach politycznych, ale media publiczne znajdują się pod pełną kontrolą reżimu.
- Reżim dla swoich celów politycznych posługuje się środkami przymusu, ale w mniej rażący sposób niż tradycyjne reżimy autorytarne.

Do tej politycznej charakterystyki neoautorytaryzmu dodać należy, jak sądzę, dwie ważne cechy rządów Prawa i Sprawiedliwości. Jest to przede wszystkim polityka dzielenia społeczeństwa na „prawdziwych Polaków – patriotów" i Polaków „gorszego sortu", wobec których rozbudza się wrogość i nienawiść. Kiedy Jarosław Kaczyński mówi ironicznie do opozycji: „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje", to wyrażenie „cała Polska" nie jest li tylko zabiegiem retorycznym – jest sposobem powiedzenia, że nasi zwolennicy to cała Polska; reszta to już nie Polska.

Katastrofa smoleńska to oparta na fałszywych przesłankach okazja do pobudzenia uczuć patriotycznych.

Druga ważna cecha to wykorzystanie instrumentów państwa do narzucania społeczeństwu własnej, prawicowo-nacjonalistycznej ideologii i do zwalczania odmiennych perspektyw ideologicznych. W tym celu dokonuje się zmian w programach szkolnych i w zestawie lektur, nadaje się odpowiedni kształt programom telewizyjnym i radiowym (w mediach państwowych lub od państwa zależnych), ingeruje się w programy publicznych instytucji kulturalnych, takich jak muzea czy teatry, przeprowadza się odpowiednią wymianę kadr zarządzających placówkami kultury, selektywnie finansuje wydawnictwa, filmy, teatry i przedsięwzięcia kulturalne, realizuje ogólnokrajową akcję wymiany nazw ulic, pomników, miejsc pamięci. Wyrazistym przejawem tych zmian jest polityka historyczna i polityka wspierania działalności Kościoła katolickiego, przede wszystkim w tych formach, które reprezentuje ks. Rydzyk.

Zwycięstwo prawicy wiązało się z wielkim osłabieniem polskiej lewicy. Osłabienie to miało przyczyny wewnętrzne i zewnętrzne. Do przyczyn wewnętrznych zaliczyłbym wielkie osłabienie morale lewicy na skutek załamania się pewnej – zresztą bardzo niedoskonałej – formy projektu lewicowego, jaką była PRL, a także na skutek poniesionej klęski wyborczej. Osłabienie morale wyraziło się w praktycznej niezdolności sformułowania autentycznego lewicowego programu społecznego i przekonywania doń polskiego społeczeństwa. Społeczeństwo liczyło na taki program, czego dowodem było poparcie wyborcze partii uznawanych za lewicowe – najpierw SdRP, a później SLD (w latach 90. i w początkach następnej dekady). Ale poparcia tego lewica nie potrafiła wykorzystać. W gruncie rzeczy lewicowe rządy utrzymały się w głównym nurcie zmiany systemowej, nie realizując żadnego wyraźnie zarysowanego programu społecznego. Zresztą także lewica pozaparlamentarna nie umiała sformułować żadnego przekonującego programu. Po kolejnych przegranych wyborach w lewicy zaczęły zachodzić procesy inwolucyjne. Jakość jej polityki systematycznie się pogarszała.

Najbardziej jaskrawym przykładem tego pogorszenia było wysunięcie Magdaleny Ogórek jako kandydatki na urząd prezydenta RP. Pomysł ten był kpiną z powagi tego urzędu, elementem prymitywnej gry politycznej.

Do zewnętrznych powodów osłabienia tej formacji zaliczyłbym skoncentrowany atak na istniejącą organizacyjną formę lewicy ze strony właściwie wszystkich pozostałych sił politycznych – oskarżenie o „postkomunizm". W wyniku tych procesów doszło do wielkiej nierównowagi w polskim systemie politycznym, gdzie po jednej stronie znalazła się wyolbrzymiona prawica, a po drugiej – karłowata lewica. Zwiększało to szanse sukcesu populistycznej prawicy.

Zwycięstwo tej ostatniej stwarza wrażenie, że historia zatacza wielkie koło. Po obaleniu systemu autorytarnego i rozwinięciu liberalnej demokracji zawracamy do systemu autorytarnego, ale w konserwatywnej odmianie. Jeżeli lewica nie potrafi się odbudować i stać realną siłą polityczną, to rządy populistycznej prawicy skończą się dopiero wtedy, gdy doprowadzi ona kraj do ekonomicznej katastrofy albo do drastycznego wewnętrznego konfliktu, albo też do jakiegoś zderzenia z innymi krajami.

Fragmenty książki Andrzeja Friszkego, Janusza Grzelaka, Mirosława Kofty, Wiktora Osiatyńskiego i Janusza Reykowskiego *Psychologia Okrągłego Stołu*, Smak Słowa, Sopot 2019

eprasa.pl 3467c7f583

Widzowie muszą od nas wyjść z „czymś”

Sama jestem jak spadochroniarz, zawsze do dyspozycji, ląduję tam i wtedy, gdzie i kiedy inni nie mogą

Rozmawia Tomasz Miłkowski

KRYSTYNA JANDA
– aktorka, reżyserka, prezes Fundacji Krystyny Jandy na rzecz Kultury, założycielka Teatru Polonia i Och-Teatru

Silna pozycja rynkowa Polonii i Och-Teatru to świadectwo, że można prowadzić ambitny teatr niepubliczny i nie splajtować (na razie pomijam negatywny wpływ pandemii). Jak to się robi? Jest na to jakiś przepis?

– Jest chyba wiele elementów, które należy uwzględniać, ale nie wydaje mi się, żebym myślała inaczej od strony artystycznej niż dwaj dyrektorzy, pod których opieką pracowałam i w których zespołach byłam, panowie Janusz Warmiński i Zygmunt Hübner. To znaczy przede wszystkim teatr za wszelką cenę dobry i grający nieprzerwanie. Dobry, dobrze grany, różnorodny, szanujący widza, swoich aktorów i sam siebie, dbający o powtarzalność jakościową wieczorów, o światło, efekty, zatrudniający wybitnych scenografów, kostiumologów, wszelkich współpracowników. Ale tak było i w tamtych teatrach, Ateneum i Teatrze Powszechnym moich czasów.

Dziś nasza fundacja działa odmiennie, nasz rachunek ekonomiczny jest zasadniczo różny od tamtego sprzed lat, musimy działać i utrzymać się w zasadzie z biletów, a także wyprodukować większość naszych spektakli za te pieniądze, no a potem grać, grać… żeby zarobić, ale za to angażujemy więcej „gwiazd”, bo nie mając stałego zespołu, możemy sobie na to pozwolić. Gramy bardzo dużo, także dzięki temu, że nie obowiązują nas, restrykcyjne wtedy i dziś w teatrach państwowych, regulaminy pracy. Nie stać nas na przestoje, „pomyłki”, mamy minimalny margines bezpieczeństwa finansowego, ale zasada dwa tytuły lżejsze zarabiają na jeden trudniejszy, jest wciąż ta sama. Przede wszystkim teatr dobry, dobrze grany, z interesującymi tematami czy spojrzeniem na ludzi i świat, teatr aktualny, niezależnie od tego, co kto rozumie pod tym określeniem; dobry! I nie nudny! – to najważniejsze.

Widzów traktuję jak bliskich i to się sprawdza.

Do jakiego widza adresują swoje spektakle Polonia i Och-Teatr? Bo niemożliwe, że tylko do profesorów medycyny, menedżerów wielkich korporacji i sławnych mecenasów. Skoro co druga premiera przekracza 100 przedstawień, nie wspominając o takich fenomenach jak pani monodram „Shirley Valentine” grany prawie 400 razy czy „Boska” (244 spektakle) albo „32 omdlenia” Czechowa (238), widownia musi być bardziej zróżnicowana niż tradycyjna i nowa inteligencja?

– Nasze produkcje kierujemy do jak najszerszej publiczności, nie ryzykujemy niezrozumiałą awangardą i pomysłami zbyt szokującymi dla naszych widzów, choć takie teksty jak „Koza, albo kim jest Sylwia?” Edwarda Albeego też miały odbiorców, czy spektakle na tematy *stricte* polityczne i społeczne. Wyznajemy jedną zasadę: widzowie muszą od nas wyjść z „czymś”, z uśmiechem, wzruszeniem, uspokojeniem, poruszeni, zaskoczeni, uświadomieni w jakiejś sprawie itd. Nie może być wieczorów obojętnych.

Pani teatry stały się marką, na grane w nich sztuki się chodzi. Zapewne to powiązany efekt pani nazwiska działającego jak magnes i doboru repertuaru. Czym pani się kieruje w wyborze tytułów?

– Jeśli powiem, że intuicją, to pewnie będzie prawda, ale zapewne także

FOT. ANNA REZULAK/KFP/REPORTER

eprasa.pl 3467c7f583

doświadczeniem i zrozumieniem publiczności, z którą sama jako aktorka spotykam się prawie co wieczór i wydaje mi się, że ją znam i rozumiem, co więcej, lubię. Łączą mnie z nią te same problemy, gusta i wrażliwość na aktualności. Tak mi się wydaje. Jakoś traktuję widzów jak bliskich i to się sprawdza. Nie wydaje mi się, żebym była mądrzejsza, bardziej wrażliwa czy bardziej wyrobiona teatralnie niż oni. Brzmi to pewnie jak kokieteria po tylu latach spędzonych w teatrze i w sztuce w ogóle, ale w jakimś sensie jest to prawdziwe przekonanie.

Fundacja Krystyny Jandy na rzecz Kultury prowadzi dwa teatry, ale cztery sceny, czasem nawet sześć, wliczając w to spektakle plenerowe. Jaka jest specyfika tych scen?

– Duża scena Teatru Polonia pozostaje naszą sceną poruszającą tematy trudniejsze, często bulwersujące. To tu powstały wszystkie nasze klasyczne teksty, ale też „Żeby nie było śladów" – historia Grzegorza Przemyka, „Danuta W.", „Zapiski z wygnania", „Krzesła" Ionesco, „Szczęśliwe dni" Becketta, nasze Czechowy czy Fredro. Tu także staramy się uczyć tolerancji i zajmować polskimi przekleństwami, takimi jak nietolerancja, homofobia, AIDS, starość, wykluczenie. Mała scena, scena Fioletowe pończochy, to jak nazwa wskazuje scena początkowo stworzona dla kobiet, ruchów kobiecych, o kobietach i „według kobiet", teraz zmienia charakter i opowiada współczesne historie rodzinne, korporacyjne, ludzkie, coraz częściej są tam samotni, zagubieni mężczyźni i dużo nieszczęśliwej miłości. Duża scena Och-Teatru to komedie i farsy, zawsze też wystawiane z jakiegoś dodatkowego powodu lub z „bonusowym" elementem, jak choćby „Mayday", jeden utrzymany w stylistyce lat 70., drugi 80.: dekoracje, kostiumy, sposoby zachowań i noszenia się mężczyzn i kobiet oraz muzyka. Ale również na tej scenie i „Biała bluzka", „Callas", i teksty niekoniecznie komediowe, takie jak „Stowarzyszenie umarłych poetów", dlatego że układ sceny wyjątkowo im służy. Mała scena, Och-Cafe-Teatr, to scena trudna, trzeba tam grać na stojąco (układ krzeseł i brak jakiegokolwiek zaplecza, niska sala), ale znalazły tam swoje wymarzone miejsce monologi aktorów i formy teatralne z interakcją z publicznością. No i jeszcze nasze spektakle dla dzieci, to znaczy mój konik, marzenie, żeby mieć całego Brzechwę. I to realizujemy.

Nie ma teatru bez „starych" aktorów, to oni dają prawdziwą paletę barw i odcieni.

Och-Teatr dysponuje szczególną sceną, usytuowaną w środku sali, na podium między dwiema częściami amfiteatralnie zabudowanej widowni. To wywiera wpływ na grę aktorów, ale i na reżyserię. Czy wszyscy w tych warunkach się sprawdzali?

– W zasadzie tak. I reżyserzy, i aktorzy bardzo lubią tę scenę, a ja wolę grać na niej niż na pudełkowej, jest dużo bardziej wymagająca. Świetnie przyjmuje farsy, choć konieczne są na niej ruch, tempo; sztuki „statyczne" zupełnie się na tej scenie nie sprawdzają. Jest także świetna do koncertów.

W spektaklach Polonii i Och-Teatru często występują nestorzy, co spotyka się z dużym aplauzem publiczności. Czy zapewnienie ich obecności w obsadzie wymaga szczególnych zabiegów?

– Och, kochamy ich, choć to nasza „udręka i ekstaza". Uważam, że nie ma teatru bez „starych" aktorów, to oni dają prawdziwą paletę barw i odcieni. Coraz ich mniej, coraz trudniej ich zdobyć i cieszyć się ich wiedzą, techniką i doświadczeniem. Staramy się.

Produkcje kierujemy do jak najszerszej publiczności, nie ryzykujemy niezrozumiałą awangardą.

Teatry niepubliczne, które muszą się utrzymać przede wszystkim z biletów, raczej unikają misji. Tymczasem na scenach pani teatrów niemało jest spektakli misyjnych – mam na myśli nie tylko bardzo ceniony pani monodram „Zapiski z wygnania", ale także takie tytuły jak „Żeby nie było śladów" Cezarego Łazarewicza czy „Matki i synowie" Terrence'a McNally'ego. Sporo pani ryzykuje.

– Niekoniecznie. Widzowie przychodzą na te spektakle, może nie tak tłumnie, ale są i doceniają, że traktujemy ich jak przyjaciół na wesela i smutki.

Na afiszu Polonii pojawia się sporo monodramów, a na afiszu Och-Cafe także *one man show*. Czy to wynika z pani osobistej pasji jako artystki mającej za sobą wiele głośnych monodramów, czy z kalkulacji biznesowej?

– Z obu tych powodów, ale także dlatego, że ułożenie repertuaru w naszych teatrach jest nie lada wyczynem. Około 350 aktorów z całej Polski z ich angażami stałymi w innych teatrach, także poza Warszawą, ich filmami, serialami, spektaklami wyjazdowymi, wakacjami i feriami spędzanymi z dziećmi to gąszcz, slalom z gigantycznymi przeszkodami. Monodramy, spektakle małoobsadowe to lek na „dziury", kiedy te większe obsady nie mogą się zebrać. Ja sama jestem jak spadochroniarz, zawsze do dyspozycji, ląduję tam i wtedy, gdzie i kiedy inni nie mogą.

Polonia i Och-Teatr grają bez przerwy wakacyjnej. To nie jest tak jak w PRL, wtedy teatr zarabiał, kiedy nie grał. Teraz jednak trwa spowodowany pandemią przestój. Czy ten czas kwarantanny wymusi na teatrze niepublicznym, a więc na Polonii i Och-Teatrze, również jakieś poważne zmiany?

– Mamy nadzieję przetrwać. Wydajemy nasze oszczędności i wzięliśmy właśnie półtoramilionową pożyczkę na pensje dla pracowników i konieczne koszty stałe i… czekamy z aż trzema gotowymi premierami na możliwość grania. Do zobaczenia w teatrze już wkrótce. „Oszuści" i „Wspólnota mieszkaniowa" będą niespodziankami w Och-Teatrze, „Cwaniary" i „Portret artysty z czasów starości" w Teatrze Polonia, ja zrobię nową rolę na grudzień w tekście Jarosława Mikołajewskiego „Aleja zasłużonych". W wakacje przymierzamy się do przeniesienia do internetu „Na czworakach" Różewicza i „Pana Jowialskiego" Fredry. Do zobaczenia!

■

eprasa.pl 3467c7f583

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tomasz S. Markiewka
Gniew
Czarne, Wołowiec 2020

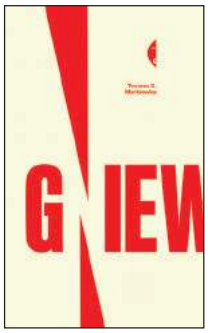

Czytałem tę książkę pomiędzy strajkami polskich przedsiębiorców a falą protestów w Stanach Zjednoczonych, wywołaną zamordowaniem George'a Floyda. Lektura eseju Markiewki okazała się poręcznym narzędziem do zrozumienia zbuntowanych grup. Choć przedsiębiorców znad Wisły i Afroamerykanów zza oceanu dzieli wiele, to łączy ich jedno – gniew. Ogromne wkurzenie na polityków, na siły porządkowe, na niesprawiedliwość świata. Odwołując się do historii, ekonomii i popkultury, filozof i publicysta odpowiada na pytania o rolę gniewu we współczesnym świecie i Polsce. Rozróżnia gniew konstruktywny – którym kierowały się sufrażystki czy organizatorki Czarnego Protestu – i jałowy *à la* Adaś Miauczyński. Autor zastanawia się, dlaczego tak często nie wychodzimy poza pusty bunt, który niczego przecież nie zmienia, rozważa okoliczności, które mogłyby nas pchnąć do szlachetnego wkurzenia, w końcu podkreśla, że warto się przyjrzeć niezadowolonym, bo to wkurzeni modelują świat. Lepiej ich zrozumieć, zanim ten bunt zostanie wykorzystany przeciw nam.

Rafał Pikuła

SERIAL

W GŁĘBI LASU
reż. Leszek Dawid i Bartosz Konopka, prod. Polska, dostępny na Netfliksie

Czy gdyby Harlan Coben urodził się w Polsce, pisałby równie poczytne kryminały? Przeniesiona w nadwiślańskie warunki adaptacja „W głębi lasu" na to wskazuje. Reżyserom udało się zaznaczyć lokalny kontekst przy zachowaniu uniwersalności produkcji. Lata 90., kiedy z wakacyjnego obozu znika czwórka dzieciaków, są tu wypadkową kiczu (na ścieżce dźwiękowej sąsiadują ze sobą T.Love i Elektryczne Gitary) i powiewu wolności. W nas uruchomią nostalgię, bo twórcy postarali się o ładne zdjęcia i podrasowali stylizowane fryzury, stroje i gadżety (sam po seansie odgrzebałem w piwnicy walkmana), ale i widzom zagranicznym ta estetyka powinna się spodobać. Akcja wciągnie zaś jednych i drugich. Choć fabuła momentami cierpi z powodu dłużyzn (zwłaszcza wątek współczesny, gdy tajemnica z przeszłości daje o sobie znać), nadrabiają to aktorzy. Zaskakują młodzi – Wiktoria Filus i Hubert Miłkowski, nastoletnie odpowiedniki bohaterów Agnieszki Grochowskiej i Grzegorza Damięckiego, którzy zawsze reprezentują klasę i poziom.

Artur Zaborski

FABUŁA

ASYSTENTKA
reż. Kitty Green, prod. USA, dostępny na VOD

Tytułowa asystentka ma w cefałce pozycje, których można jej tylko zazdrościć. Choć kwalifikacje pozwalają jej na znacznie więcej, drży o posadę w firmie produkcyjnej. Jest podwładną wziętego producenta, którego nigdy nie widzimy na ekranie. Słyszymy tylko, jak dyryguje ludźmi przez telefon. Zawsze podniesiony głos i wieczne pretensje to jego znaki rozpoznawcze. Jane układa jego grafik, nadzoruje dokumenty i odwozi kochankę z hotelu. Podglądamy tylko jeden dzień jej pracy, a i tak mamy aż zanadto wrażeń, choć właściwie na ekranie nie dzieje się nic. Kobieta nie doświadcza bezpośrednio przemocy ani molestowania. Widzi za to aż za dużo. Staje przed dylematem, czy tak jak koledzy z zespołu przymykać oko na krzywdę innych, czy przeciwko niej wystąpić. Reżyserka Kitty Green proponuje nieoczywiste spojrzenie na temat rewolucji #MeToo i obalenia Harveya Weinsteina. Zamiast potępiać sprawców albo współczuć ofiarom, pyta, gdzie byli ci, którzy zaludniali otoczenie grubych ryb. I dlaczego pozwolili im czuć się bezkarnymi?

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

WIEK PÓŁCIENIA. SZTUKA W CZASACH PLANETARNEJ ZMIANY
WARSZAWA, MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ, DO 13 WRZEŚNIA

Ponad 70 prac artystów z całego świata układa się w wielkie wołanie o szacunek dla życia na Ziemi. Termin ekspozycji został z oczywistych względów przesunięty, ale wymowa nabrała jeszcze większej siły. Rudolf Sikora ze Słowacji w pracy „Wykrzyknik", ekologicznym memento końca cywilizacji, wręcz do nas krzyczy. Isabelle Andriessen z Holandii pokazuje upiorne resztki jakichś organizmów w instalacji „Plaża w stadium terminalnym". Ale są

kompozycje traktujące nasz bliski koniec z humorem. Nicolás Lamas z Peru przysłał skrzynkę na narzędzia, w której są tylko prymitywne przyrządy wykonane z ludzkich lub zwierzęcych kości i zębów, jakbyśmy mieli wrócić do kultury pierwotnej. Najbardziej porusza obiekt Joanny Rajkowskiej z „Pozdrowień z Alej Jerozolimskich" – to autentyczne ptasie gniazdo z Warszawy.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3467c7f583

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pisownia oryginalna

Odwiedziłem jedną z podwarszawskich hal produkcyjnych, aby przyjrzeć się scenografii noweli telewizyjnej, którą mam przyjemność współtworzyć jako członek zespołu piszącego. Produkcja właśnie ruszyła; szef „działu literackiego" nakazał scenarzystom zaznajomić się z układem pomieszczeń. Chodzi o to, żeby piszącym nie zdarzały się pewne lapsusy przestrzenne, kiedy to np. postać w przedsionku sypialni umieszczonej na piętrze otwiera gościom drzwi wejściowe. Wędrowanie po labiryntach mieszkań bez sufitu przypominało jako żywo wizytę w Ikei, gdzie z dziecięcą pasją lubię się zaszywać zwłaszcza w dziale sypialnianym i przycinać komara na wygodnym łożu.

Żeby nie epatować nonszalancją, na początek ze szczerą uwagą przypatrzyłem się grzbietom książek na regałach. To jest natręctwo bibliofila – gdziekolwiek mnie proszą, łypię od razu na biblioteczkę gospodarzy, ona mi zwykle mówi o nich więcej, niźli sami chcieliby powiedzieć. Lista lektur w salonie bohaterów telenoweli przykuła moją uwagę, okazało się bowiem, że jest to biblioteka małomówna czy raczej mówiąca kodem mi nieznanym. Wodząc wzrokiem po grzbietach, natknąłem się najpierw na „Refleksje", a zaraz potem „Myśli" Rademenesa Z. Hultayna, potem grube tomiszcze wspomnień niejakiej Leokadii Lewarsowuax, dalej znalazłem zbiorową pracę psychologiczną pod fascynującym tytułem „Panika radości", nawet „Cień mgły" nie wzbudził we mnie podejrzeń (może dlatego, że grzbiet miał łagodny), oświeciło mnie, dopiero kiedy trafiłem na dylogię Zdenka Crobota: „Gura" (!) i „Dolina". Asystent scenografa wykazał się delikatną dysleksją, za to tęgą finezją w wymyślaniu fake booków. Okazało się, że na potrzeby produkcji serialowej, na wszelki wypadek, by nie naruszyć niczyich praw autorskich, naprędce tworzy się tytuły, imiona i nazwiska autorów, najlepiej tak nietypowe, żeby broń Boże nie trafił się ktoś istniejący naprawdę. Szkoda, „Panikę radości" chciałem sobie nawet pożyczyć, ale okazała się dziełem doskonale hermetycznym – miała jedynie obwolutę nawleczoną na udawany, nieotwieralny wolumin.

Pomnę, jak niegdyś mój wydany na papierze kredowym debiut poetycki, przechowywany na poddaszu wydawnictwa, padł ofiarą powodzi stulecia – dach przeciekł, tomiki zamokły, wszystkie strony skleiły się bezpowrotnie i tak dokonał się mój los liryka hermetysty (z perspektywy czasu oceniam to jako dar losu). Karierę poetycką dopomogli mi zakończyć z twarzą rozkojarzeni korektorzy pewnego szacownego pisma literackiego; od czasu, kiedy ogłosili drukiem mój wiersz bez ostatniego wersu, wiem doskonale, jak definiuje się ambiwalencja. Utwór wbrew moim intencjom kończył się znienacka przecinkiem, co w młodopoetyckim środowisku towarzyszącym uznano za nowatorską, poruszającą metaforę nagłej śmierci, swoiste memento, jak w końcówce „Kunst der Fuge"; krytycy jęli się rozpisywać o dzikich polach semantycznych, rozpościerających się za ostatnim znakiem interpunkcyjnym.

Mam więc niejakie powody do pobłażania korektorskim błędom i wypaczeniom, wierzę w dobroduszność chochlików drukarskich, ale potrafię być bezlitosny wobec sabotażystów. Do dziś mam pamiątkowy wydruk powieści „Czarna" skorygowanej, a właściwie przepisanej przez nadgorliwego redaktora, który wyprostował wszelkie niegramatyczności i neologizmy. Na przykład wyraz „rzona", którego bohater wielokrotnie używa, myśląc z pogardą o niekochanej małżonce, z uporem godnym lepszej sprawy został wszędzie wyłapany i „naprawiony" – trzeba zatem uważać z zamierzonymi błędami, bo potrafią często bezlitośnie zweryfikować inteligencję, a przynajmniej uważność czytelnika. Skądinąd w dziennikach i wszystkich tekstach autobiograficznych piszę słowo Żona dużą literą, wyrażającą szacunek i uwielbienie – co też bywa naprawiane w korekcie i wtedy poważnie się obrażam. Boję się o kompetencje przyszłych pokoleń redaktorów, skoro wymuszone pandemią zdalne nauczanie polszczyzny uniemożliwia przeprowadzanie dyktand. Autokorekta na ekranie komputera załatwia sprawę, rośnie więc generacja dyslektyków, którzy idąc tropem uwolnionego przez obecną władzę resentymentu, gotowi są uznać, że poprawna ortografia to postkomunistyczny przeżytek. Nie będom ich lewackie elity uczyć, że się mają wziąć do nauki. Wziąść.

Gdziekolwiek mnie proszą, łypię od razu na biblioteczkę gospodarzy, ona mi zwykle mówi o nich więcej, niźli sami chcieliby powiedzieć.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3467c7f583

Rozmawia Mateusz Demski

Zagadka w głębi lasu

Nasza kinematografia wyszła z bańki, w której zajmowaliśmy się tylko własną historią i problemami

BARTOSZ KONOPKA I LESZEK DAWID

– reżyserzy serialu „W głębi lasu" na podstawie powieści Harlana Cobena

Do lasu podczas letniego obozu wchodzi czwórka nastolatków. Ciała dwójki zostają znalezione, pozostałych dwoje znika. Przez ponad 20 lat nie wiadomo, co się wydarzyło, wreszcie tajemnica zaczyna wychodzić na światło dzienne. Czy przed propozycją pracy nad adaptacją „W głębi lasu" czytaliście Harlana Cobena?

Bartosz Konopka: – Nie, nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z jego książkami. To żona wprowadziła mnie w ten świat. Jako że czytała kilka jego kryminałów, zauważyła, że „W głębi lasu" zawiera motywy charakterystyczne dla twórczości Cobena. Szczególnie te nierozwiązane lub niedokończone sprawy z przeszłości nękające bohaterów. Zdaliśmy sobie sprawę, że chodzi o jednego z najpoczytniejszych autorów na skalę globalną.

Jak wyglądały kontakt z samym Cobenem i praca nad adaptacją? Wiele jest opowieści o burzliwych relacjach pisarz-filmowiec. Wystarczy wspomnieć niezadowolenie Stephena Kinga z filmowej wariacji na temat „Lśnienia" czy starcie Stanisława Lema z Andriejem Tarkowskim.

BK: – To zawsze ciekawa sprawa. Przed laty otarłem się o różne adaptacje i mam świadomość, że autorzy często podchodzą nieufnie i z dystansem do przenoszenia ich twórczości na ekran. Wcale się temu nie dziwię. Czym innym jest samodzielne stworzenie świata na kartach powieści, nierzadko na podstawie osobistych doświadczeń, a czym innym oddanie owoców tej pracy ludziom z zewnątrz, którzy mają je przełożyć na język filmu. Harlan Coben miał jednak dużo zaufania i szacunku do naszej pracy. Uczestniczył w procesie powstawania scenariusza, wnosząc sporo uwag, ale zarazem pozostając otwartym na zmiany. Co zaskakujące, pozostał aktywny również w trakcie realizacji. Już drugiego dnia zdjęciowego zadzwonił i powiedział, że na bieżąco przegląda materiały z planu. Podejrzewam, że spędził nad tym wiele godzin, bo zdołał wychwycić różne niuanse i szczegóły, ciekawił go lokalny koloryt poszczególnych scen. Innymi słowy, wczuwaliśmy się w ducha powieści Harlana, a on wczuwał się w polskie realia.

Akcja obejmuje dwa wymiary czasowe: rok 1994 oraz 2019. Ten pierwszy jest o tyle szczególny, że przenosi widza do Polski lat 90., czyli czasu transformacji. Jaka była reakcja Cobena na ten pomysł?

Leszek Dawid: – Współpraca z Harlanem była o tyle pozytywnym doświadczeniem, że miał on w sobie wiele zrozumienia. Co ważne, rozmawiając z nami o scenariuszu, poruszał się w obrębie uniwersalnych znaczeń, a nie lokalnych kontekstów. Przekładając amerykańską powieść na polskie realia, musieliśmy dokonać daleko idących przesunięć i zmian, na co Harlan chętnie przystał. Jedną z nich była zamiana pisanego w pierwszej osobie monologu wewnętrznego głównego bohatera na opowiadanie obiektywne.

Skąd taki pomysł?

LD: – Ten zabieg pozwolił nam przede wszystkim rozdzielić wymiary czasowe, pokazać je oddzielnie, a jednocześnie rozbudować warstwę skupioną wokół roku 1994. W ten sposób powstał świat równoległy do akcji rozgrywającej się współcześnie. Dzięki temu wspomnienia bohatera nie zostają sprowadzone do migawek, ale zyskują znacznie bardziej rozwinięty przebieg i pełnokrwiste postacie, z którymi można się identyfikować.

I tak otrzymujemy wgląd w młodzieńczo-buntownicze nastroje całego pokolenia lat 90. Na tle opowieści o tajemnicy sprzed lat tworzycie swoisty portret generacji.

LD: – Tak, poza tym mamy tu dwie istotne sprawy. Z jednej strony, zbudowanie historii wokół młodości

Bartosz Konopka – reżyser i filmoznawca, absolwent reżyserii na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. W 2010 r. nominowany do Oscara w kategorii najlepszy krótkometrażowy film dokumentalny za „Królika po berlińsku".

Leszek Dawid – reżyser i scenarzysta, absolwent łódzkiej Filmówki, laureat Paszportu „Polityki", wyróżniony trzema Złotymi Lwami na 37. festiwalu w Gdyni za film „Jesteś Bogiem".

eprasa.pl 3467c7f583

bohaterów pozwala lepiej zrozumieć dramat, który po latach wraca do tych ludzi, a na tym zasadza się zagadka kryminalna. Z drugiej, zależało nam na tym, by rozwinięcie tej sfery dało uniwersalny obraz młodości. Tego czasu beztroski, niewinności, zachłanności na życie, a także pierwszych miłości i młodzieńczych błędów. Żywotność nastoletnich bohaterów, ich energia, swoboda, relacje czy intensywne doświadczanie świata pokazują coś, co przeżywa się tylko raz w życiu. W pewnym momencie dla każdego z nas to się kończy. Pojawiają się niepokoje i napięcia, które ten szczęśliwy okres brutalnie przerywają.

Wasi bohaterowie mierzą się chociażby z problemem antysemityzmu czy podziałami klasowymi. W serialu jest wiele takich mikrokomentarzy społecznych.

BK: – Te konteksty są silniej obecne w książce i wybrzmiewają tam z większą mocą. U Cobena pojawia się wiele wątków społeczno-politycznych: klasowy, rasowy, antysemicki, a także epizod związany z dramatem II wojny światowej w Związku Radzieckim. W naszym serialu ważniejsza jest natomiast ogólnie pojęta opowieść o dzisiejszych 40-latkach, którzy należą do pokolenia transformacji. Na początku lat 90. byli młodymi ludźmi, zachłyśniętymi wolnością, która nagle na nich spadła. Myśleli, że świat stanie przed nimi otworem, i z nadzieją spoglądali na kapitalistyczne wzorce przychodzące z Zachodu. Tyle że to wszystko okazało się trudne do spełnienia. Towarzyszyło temu wpadanie raz po raz w koleiny, co widzimy do dzisiaj.

To również czas waszej młodości. Zakładam, że serial w pewnym sensie pokrywa się z waszym spojrzeniem na koszty zmian transformacyjnych, które w latach 90. dopadły społeczeństwo.

BK: – Dla naszego pokolenia ta zmiana przebiegała na dwóch płaszczyznach: materialnej i emocjonalnej. Pierwsza jest łatwo zauważalna, życie ludzi przyśpieszyło, zajęliśmy się pracą, obowiązkami, coraz bardziej osiągalną wizją sukcesu i walką z kompleksami wobec Zachodu. Natomiast ten drugi wymiar, wewnętrzny, zszedł na dalszy plan. Tym samym w procesie transformacji pogubiliśmy to, co w poprzedniej epoce było pozytywne. Zatraciliśmy wspólnotowość, duchowość, wrażliwość na drugiego człowieka; dziś ludzie są dla siebie raczej jak osobne wyspy, które oddalają się jedna od drugiej. Właśnie dlatego główny bohater, Paweł Kopiński, jest w moim przekonaniu bohaterem wydrążonym. Niby osiągnął zawodowy sukces, zajął wysokie stanowisko, w tym wszystkim zdołał zachować uczciwość, ale jednocześnie pozostaje pogubiony i nosi pustkę, która domaga się wypełnienia. Tym wypełnieniem jest właśnie przeszłość, która zaczyna go doganiać.

Musieliście pamiętać, że pod szyldem Netfliksa nie kręcicie serialu jedynie dla Polaków; to produkcja dla widzów z całego świata. I że bierzecie na warsztat autora, którego książki są tłumaczone na 43 języki, co wymaga od was przekroczenia barier kulturowych i językowych.

LD: – Nieustannie to czuliśmy, ale zarazem dążyliśmy do tego, by presja unosząca się nad tą produkcją działała raczej motywująco niż paraliżująco. W przeniesieniu powieści Cobena na nasz grunt od początku widzieliśmy ogromną siłę i wartość dodaną, jednak czuliśmy, że musimy podążać za tym, co stanowi jej sedno. To znaczy za historią o człowieku, który podejmuje bolesną konfrontację z przeszłością, a przy tym rozpoczyna podróż w głąb siebie. Ta próba oswojenia lęków i traum sprzed 25 lat, zaakceptowania ich i spojrzenia na nie po dłuższym czasie z innej perspektywy, wydaje się czytelna pod każdą szerokością geograficzną.

„W głębi lasu" to właściwie druga, po serialu „1983" Agnieszki Holland, polska oryginalna produkcja Netfliksa. Streamingowy gigant zaczyna coraz śmielej otwierać się na polski rynek?

BK: – Niewykluczone, tym bardziej że plany produkcyjne Netfliksa wydają się zataczać coraz szersze kręgi. Sam przykład Cobena, który podpisał umowę na adaptację 14 książek, co prawdopodobnie będzie realizowane w różnych krajach, pokazuje, że ta furtka otwiera się przed twórcami z całego świata. Zawarte w powieściach Cobena historie są na tyle uniwersalne, że można je przenosić na grunt rozmaitych kultur i mentalności, do krajów, gdzie sposób przeżywania świata jest zupełnie inny niż w Stanach. Nasza praca jest tego przykładem, choćby dlatego, że ostatecznie Netflix zdecydował się pokazać serial nie tylko w Polsce, ale i w 190 krajach świata. Właśnie w tego typu produkcjach polscy twórcy powinni widzieć szanse na rozwój. Nasza kinematografia już dawno wypłynęła na globalne wody, udało nam się w końcu wyjść z bańki, w której zajmowaliśmy się tylko swoją historią i swoimi problemami. Teraz jesteśmy ważną częścią obiegu światowego, która ma coś atrakcyjnego do zaproponowania. Jesteśmy zdolni do opowiadania wielokierunkowych historii, możemy rozmawiać z widzami z różnych stron świata o ludzkich dylematach, niezmiennych od czasów literatury antycznej. A przy tym dzielić się ze światem naszymi walorami. ■

Harlan Coben miał dużo zaufania do naszej pracy. Uczestniczył w powstawaniu scenariusza, ale był otwarty na zmiany.

W głębi lasu

FOT. KRZYSZTOF WIKTOR

eprasa.pl 3467c7f583

Rozmawia Artur Wróblewski

Z polskich dzieci produkowano Niemców

Żołnierze Wehrmachtu dostali rozkaz, by zwracać uwagę na dzieci blondwłose i niebieskookie

DR JOANNA LUBECKA
– historyczka, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej

W którym momencie Lebensborn z instytucji charytatywno-opiekuńczej przeistacza się w organizację dokonującą zbrodni ludobójstwa, za jaką uznano rabunek dzieci?

– Wraz z zajęciem terenów na Wschodzie. Czyniono to wielotorowo. Po pierwsze, działo się to w sposób najprostszy z możliwych. Żołnierze Wehrmachtu otrzymywali rozkazy i zalecenia, by zwracać uwagę na dzieci o nordyckim wyglądzie: blondwłose i niebieskookie. Dotyczyło to zwłaszcza niemieckich oficerów, którzy o takich dzieciach mieli obowiązek meldować albo do lokalnego oddziału Lebensbornu, albo funkcjonariuszom Urzędu Rasy i Osadnictwa. Wówczas wdrażano odpowiednie procedury.

Drugą ścieżką były domy dziecka. Dla Niemców to była najbardziej komfortowa sytuacja. Z czasem pojawiły się rozkazy, że corocznie – jak to mówili Niemcy – mają być „przesiewy" w domach dziecka. W placówkach pojawiała się komisja, która badała dzieci pod kątem rasowym, a później sprawa szła już zgodnie z procedurami. Trzecią ścieżką były *Sonderaktionen*, jak np. Zamojszczyzna czy czeskie Lidice. Warto zaznaczyć, że akcje wysiedleńcze na Zamojszczyźnie robiono błyskawicznie, w wielkim pośpiechu. Mimo to, choć wojsko protestowało, znaleziono czas na zebranie polskich dzieci w jednym miejscu, zbadanie ich pod kątem rasowym, selekcję i skierowanie ich do zniemczenia. Zwracano głównie uwagę na dzieci do 10. roku życia. To były trzy podstawowe ścieżki „naboru".

Jak wyglądała „wzorcowa ścieżka zrabowanego dziecka"?

– Procedury były dość jasne i ostre, a Niemcy mocno się ich trzymali. Himmler kładł ogromny nacisk na kwestie rasowe, rzadko wchodziło w grę oszukanie czy naciąganie, to musiało być dziecko naprawdę czyste rasowo według nazistów. „Ścieżki" wyglądały podobnie, chociaż borykano się z problemami kadrowymi. Brakowało bowiem ekspertów do spraw rasowych. Ich nie tylko było mało, ale też nie palili się zamieniać uniwersyteckich gabinetów i pracowni w Rzeszy na tereny zaplecza frontu wschodniego. Z czasem do ekip „eksperckich" brano nawet studentów medycyny i to oni zajmowali się selekcjami. O losach zrabowanego dziecka decydował jego wiek. Dla Niemców najlepsze były niemowlęta i najmłodsze dzieci, które nie mówiły albo mówiły po polsku bardzo mało. Najpierw przeprowadzano wstępną selekcję. W Polsce zrabowane dzieci najczęściej trafiały do ośrodków Lebensbornu, których było sześć, z centralnym w Łodzi, albo trafiały do – nazwijmy to – „domów dziecka", choć nie były to domy dziecka w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Pierwsza selekcja polegała na badaniu cech fizycznych. Przede wszystkim mierzono czaszkę czy długość nosa. Po przejściu fizycznej selekcji dzieci obserwowano pod względem charakterologicznym. W tym drugim etapie często odpadały te, które uważano za zbyt nadpobudliwe, np. płaczące niemowlęta. Odpadały też dzieci niegrzeczne, buntujące się. Ostatni etap selekcji to badania przeprowadzane przez „ekspertów" Lebensbornu albo Urzędu Rasy i Osadnictwa – z reguły lekarzy. Dalej również to wiek dziecka determinował jego „ścieżkę". Młodsze były zwykle adoptowane przez rodzinę niemiecką, która czekała na dzieci. Starsze dzieci rzadko trafiały do adopcji, częściej do specjalnych szkół z internatami. Z nich – przepraszam za słowo – produkowano Niemców. Stamtąd często trafiały do Hitlerjugend albo Wehrmachtu.

A co się działo z dziećmi, które nie „nadawały się na Niemca"?

– Ich los był różny. W pierwszym okresie wojny często zdarzało się, że dzieci z Polski odsyłano do domów. Jednak szybko okazało się, że to zbyt kosztowna i pracochłonna operacja. Dodatkowo Niemcy próbowali zacierać ślady po zrabowanych dzieciach, bo przecież często były one odbierane rodzicom czy opiekunom w sposób bardzo brutalny i gwałtowny. Właśnie z tych powodów rezygnowano z odsyłania dzieci do rodzinnych domów. Zwłaszcza że sytuacja na frontach była dynamiczna i dla Niemców inne sprawy stawały się ważniejsze.

Te dzieci można podzielić na trzy kategorie. Dzieci, które przeszły selekcję i cały proces zniemczenia, trafiały do rodzin niemieckich. Tam również bywało różnie. Najgorzej miały starsze dzieci, które pamiętały polskich rodziców. Jednocześnie zrabowane dzieci, mimo całego dramatyzmu ich sytuacji, trafiały do naprawdę dobrych ludzi, gdzie nieraz miały świetne warunki w niemieckich rodzinach. Niektórzy Niemcy bardzo pragnęli mieć dzieci i adoptowane polskie kochali jak własne. Jednocześnie możemy sobie wyobrazić, że były też inne sytuacje, już nie tak pozytywne dla zrabowanych.

Druga kategoria to dzieci, które odpadły w trakcie procesu zniemczenia. Dzieci, które dla Niemców pod względem rasowym były pozytywnie weryfikowane, natomiast nie miały według nich odpowiedniego charakteru. Tych dzieci nie oddawano do adopcji, ale pozostawały w Niemczech i stawały się niewolniczą siłą roboczą, najczęściej w rolnictwie. Tam ich sytuacja również wyglądała bardzo różnie. Brak jest dokładnych danych na temat liczby tych dzieci, ale szacuje

eprasa.pl 3467c7f583

Zrabowane polskie dzieci po pobycie w internatach często trafiały do Hitlerjugend.

się, że ok. 50% dzieci z Polski przeszło całą ścieżkę zniemczenia i pozostało w Rzeszy, natomiast reszta została odrzucona. Na te „nienadające się" dzieci Niemcy wydali wyroki śmierci, miały zostać eksterminowane. Starsze dzieci najczęściej wysyłano do obozów koncentracyjnych, gdzie albo je od razu mordowano w komorach gazowych, albo z czasem umierały z powodu panujących tam warunków. Los niemowląt i młodszych dzieci był nie mniej potworny. Odsyłano je do pseudoochronek, które w rzeczywistości były umieralniami. Te dzieci umierały tam z głodu w straszliwych mękach, płacząc, w niewyobrażalnych warunkach. Opisy tego, co się tam działo, są wstrząsające. Ich los był tak straszliwy, że te dzieci, które uśmiercano zastrzykiem z fenolu, miały szczęście. Brzmi to przerażająco, ale tak właśnie było. Szybsza śmierć okazywała się dla nich wybawieniem.

Czy szacunki polskich i niemieckich historyków, dotyczące zrabowanych dzieci, bardzo się różnią? W Polsce mówi się nawet o 200 tys.

– Rzeczywiście, w Polsce liczbę zrabowanych dzieci ocenia się na ok. 200 tys., ale każdy z historyków będzie zastrzegał, że są to bardzo szacunkowe liczby. Trzeba tutaj podkreślić jedną sprawę. Wśród tych 200 tys. dzieci, być może było ich więcej i ja nawet myślę, że było ich więcej, tylko część – około jednej czwartej – przeszła procedury Lebensbornu. Natomiast prawdopodobnie ta pozostała część, większa część, to dzieci zniemczone jako tania siła robocza. Ich los też był bardzo różny. Niemieccy rolnicy traktowali je jako zwykłych pracowników rolnych, parobków albo jak własne dzieci, wychowujące się w gospodarstwie. Taki los spotkał większość zrabowanych w Polsce dzieci. Do tych 200 tys. wliczamy również dzieci polskich pracownic albo pracowników przymusowych w Rzeszy. W takich sytuacjach często dokonywano aborcji, ale jeśli Polka miała „niemiecki" wygląd, to jednak pozwalano jej urodzić dziecko i później je badano. (…)

Bardzo rzadko zdarzały się przypadki, że dziecko pozostawiano z polskim rodzicem. Jeżeli już, to były indywidualne przypadki, gdy chłop, u którego pracowała taka robotnica, po prostu ukrywał przed władzami fakt narodzin dziecka z polskiej matki. Często działo się to z dobrego serca. W tych przypadkach trudno nam też ustalić liczbę dzieci. Przecież w Rzeszy pracowało ponad 2 mln przymusowych pracowników z Polski. Można sobie jedynie wyobrazić, ile było szacunkowo dzieci polskich pracowników. Co do niemieckich historyków i ich szacunków, to sprawa wcale nie jest oczywista. Po wojnie Niemcy mówili o bardzo małej liczbie. To były szacunki w wysokości 20 tys. dzieci. Ale obecnie, gdy spojrzeć do niemieckich książek historycznych albo publikacji w tamtejszych mediach, Niemcy powołują się na polskie szacunki. To są liczby od 50 do 200 tys. Widać zmianę, ale to nie tak, że niemieccy badacze to ustalili. Oni to powtarzają po polskich historykach. (…)

Czy zrabowane polskie dzieci były germanizowane czy zniemczane?

– To jest dobre pytanie. Zastanawiałam się nad tym i przejrzałam kilka niemieckich książek, by sprawdzić, w jakim kontekście padają te sformułowania. W zasadzie używane są one wymiennie, również przez historyków: *Eindeutschung* i *Germanisierung*, ale w niemieckich dokumentach z czasów wojny, dotyczących Generalplan Ost czy volkslisty, mówi się o zniemczeniu, jest właśnie sformułowanie *Eindeutschung*. Jaka jest różnica? Terminu zniemczenie historycy używają, opisując II wojnę światową. Natomiast germanizacja jest dużo szerszym pojęciem, chociaż nam ona bez wątpienia źle się kojarzy. Ale to słowo jest podobne np. do amerykanizacji, jest pojęciem szerszym od zniemczenia i niekoniecznie oznacza coś negatywnego. Gdyby obiektywnie przyjrzeć się polityce pruskiej na Warmii i Mazurach, to ona nie tylko polegała na siłowej i wymuszonej germanizacji, ale też na kuszeniu atrakcyjnością. Na tym, że jeżeli dziecko poszło do szkoły niemieckiej, to później zostawało urzędnikiem. Tym samym zrabowane polskie dzieci były zniemczone w ramach szerszej i większej akcji germanizacyjnej.

Po wojnie polskie dzieci próbował odzyskać Roman Hrabar. Jak wyglądała jego misja i dlaczego

O losach zrabowanego dziecka decydował wiek. Dla Niemców najlepsze były niemowlęta i najmłodsze dzieci, które nie mówiły po polsku.

eprasa.pl 3467c7f583

napotykał opór nie tylko ze strony Niemców, ale również i aliantów?

– To, co robił Roman Hrabar, to była działalność niezwykłego człowieka. Co więcej, bez większego wsparcia finansowego ze strony polskich władz. Czytając wspomnienia Hrabara, trudno nie zauważyć koszmarnego wręcz braku pieniędzy czy pracowników. Było więcej niż skromnie, ale też taka, a nie inna była wówczas sytuacja państwa, inne też były interesy polityczne. Co nie zmienia faktu, że Hrabar dokonał niezwykłych rzeczy. Paradoksalnie, w tym powojennym zamieszaniu, to był najlepszy czas na odzyskanie polskich dzieci. One miały jeszcze świeżą pamięć rodziców i Polski, jeszcze można było je próbować odzyskać i choć była to syzyfowa praca, to jednak jakiś sukces został osiągnięty. (…)

Rabunek polskich dzieci podczas operacji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie.

•

Co się stało z dziećmi z Zamojszczyzny?

Zatem co się stało z zamojskimi dziećmi, które uznano za odpowiednie do wywiezienia do III Rzeszy – jak to się w obozie mówiło – „na rasę”?

– Nie wiemy tego – przyznaje Agnieszka Jaczyńska. – Ani ja, ani – z tego, co wiem – żaden z historyków nie odnalazł jakiegokolwiek dokumentu czy też dokumentów, na podstawie których można byłoby stwierdzić, jaka dokładnie liczba dzieci z Zamojszczyzny została zrabowana do celów germanizacyjnych. Natomiast są jeszcze źródła pośrednie, np. meldunki podziemia zbrojnego, relacje kolejarzy starających się monitorować przebieg transportów, a następnie raportujących o tym oddziałom konspiracyjnym, czy relacje osób cywilnych napotykających transporty. Z tych źródeł wiemy, że z Zamościa takie transporty z dziećmi wyjeżdżały i kierowały się na Warszawę i w kierunku tzw. ziem wcielonych do III Rzeszy, np. na Pomorze. Wiadomości o tym znajdziemy w konspiracyjnym „Biuletynie Informacyjnym”.

Historyk zaznacza, że są jednak pewne poszlaki, mówiące o prawdopodobnym losie zrabowanych. – Zachowały się szczątkowe informacje dotyczące pewnej grupy dzieci z Zamojszczyzny, które trafiły do specjalnego ośrodka w Łodzi przy ulicy Spornej oraz do ośrodka pod Łodzią. To było kilkaset dzieci. Jest jeszcze jedna liczba, która się pojawia w historiografii. To liczba 4455 dzieci, która znalazła się w spisie sporządzonym przez pracownicę Rady Głównej Opiekuńczej w Lublinie. Dotyczyła transportu wysiedleńców z Zamojszczyzny, którzy trafili na Majdanek w sierpniu 1943 r. i następnie zostali wywiezieni w głąb III Rzeszy. Były to dzieci w wieku od dwóch do 14 lat. Niestety, nie znamy ich dalszego losu. Ze źródeł pośrednich wiemy, że część z tych dzieci na pewno zrabowano w celach germanizacyjnych – mówi Agnieszka Jaczyńska.

Niemcy z premedytacją rabowali najmłodsze dzieci, które najlepiej było przystosować do procesu germanizacji. Nieumiejące jeszcze mówić niemowlęta były *ad hoc* przejmowane przez niemieckie rodziny, które często nie miały świadomości, że adoptowane dzieci pochodzą z Polski. Natomiast starsze dzieci trafiały do ośrodków przejściowych, w których nie tylko uczono je języka niemieckiego i pod groźbą dotkliwej kary zakazywano mówić po polsku, ale też czyniono wszystko, by zatrzeć pamięć o wcześniejszym życiu. Dopiero po tym barbarzyńskim procesie polskie dzieci, ze zmienionymi imionami i nazwiskami, sfałszowaną metryką urodzenia, oddzielone od rodzeństwa czy nawet od dzieci z tych samych miejscowości, były wysyłane do niemieckich rodzin. Ślady zacierano bardzo starannie.

Po wojnie przy komunistycznym ministerstwie spraw społecznych, utworzono specjalny referat, który miał się zajmować rewindykacją zrabowanych przez Niemców polskich dzieci. Na czele referatu stanął adwokat Roman Hrabar. On prowadził akcję poszukiwawczą w Niemczech w latach 1947-1950, jednak nie znalazł dzieci zrabowanych z Zamojszczyzny. Duża część z nich uległa pewnie zniemczeniu, tropy do nich zatarto, a pamięć skutecznie „wyczyszczono”. Tak jak najprawdopodobniej „wyczyszczono” wszelką dokumentację dotyczącą tego zbrodniczego procederu.

Pytam Agnieszkę Jaczyńską, czy w archiwach zachowały się jakiekolwiek świadectwa dotyczące zrabowanych dzieci z Zamojszczyzny. – Nie. Nie natrafiłam też na ślad dzieci z Zamojszczyzny, które trafiłyby do Niemiec w celach germanizacyjnych i które później wróciłyby na domu – odpowiada historyk. Jej ojciec, Julian Grudzień, który cudem uniknął germanizacji, jest jednym z ostatnich naocznych świadków niemieckiego rabunku dzieci z Zamojszczyzny. – Po wojnie mój tato został nauczycielem historii, a ja od zawsze historią się interesowałam. Zawsze wiedziałam, co się w rodzinie wydarzyło – dodaje Agnieszka Jaczyńska.

eprasa.pl 3467c7f583

•

Zbrodnia o nieznanej skali

Skala germanizacji i zagłady polskich niemowląt urodzonych w Rzeszy do dziś nie jest znana. Władze okupacyjne nie podjęły tematu bezpośrednio po zakończeniu wojny – gdy możliwe było jeszcze dokładne zbadanie tej zbrodni. Nie wiemy nawet, ile dzieci urodziły w Niemczech i Austrii polskie robotnice przymusowe. Roman Hrabar, który jako pierwszy opisał eksterminację dzieci robotnic przymusowych, podaje jedynie, że tuż po wojnie na polecenie zarządów wojskowych tylko strefy brytyjskiej i amerykańskiej niemieckie urzędy przedłożyły ok. 40 tys. metryk takich dzieci. Nie wiemy, ile z nich to urodzenia żywe. Wiemy natomiast, że nie wszystkie dzieci były rejestrowane i nie wszystkie dokumenty przedłożono.

Nie znamy także dokładnej liczby ośrodków, w których uśmiercano potomstwo robotnic przymusowych. Według niektórych źródeł było ich aż 400.

Wyobrażenie o skali zbrodni wobec polskich dzieci dają jednak archiwa poszczególnych ośrodków, których nie udało się nazistom zniszczyć przed nadejściem frontu. I tak: w zakładzie położniczym dla Polek i robotnic ze Wschodu w Brunszwiku od maja 1943 r. zmarło ok. 400 z 800 dzieci, także w Laberweinting zagłodzono prawie 60% z urodzonych tam niemowląt, w Voerde-West ponad 40%, w Rühen życie straciło od 250 do 350 maluchów, w Burgkirchen/Alz od marca 1944 r. uśmiercono 152 dzieci, w Indersdorf koło Dachau życie traciło co drugie dziecko, w powiecie Verden (ośrodki w Cluvenhagen, Armsen, Beppen, Otterstedt, Eitze i Dörverden) śmierć poniosło ok. 130 niemowląt. Setki dzieci urodziły się w obozie dla kobiet ciężarnych w Pfaffenwaldzie. Ich los jest nieznany.

Badacze szacują, że we wszystkich znanych nam zakładach śmiertelność wynosiła ok. 50%, a w niektórych zbliżała się nawet do 90%.

W aktach śledztwa w sprawie zabójstw polskich dzieci urodzonych przez robotnice przymusowe w III Rzeszy znajduje się opis „zakładu przechowywania Polaków" w Cluvenhagen nr 37. Ośrodek zorganizowano w starej chlewni. Na 37 dzieci zmarło 23, w tym 21 małych Polaków.

Rejestracja dziecka z ośrodka Lebensborn adoptowanego przez niemiecką rodzinę.

W lutym 1945 r. trafił do zakładu wówczas 13-miesięczny Marian Ś. Jego ojciec zakradł się pewnej nocy do chlewni. Marian Ś. w liście do Joachima Woocka z 2001 r.: „Kiedy mój ojciec wszedł do chlewu, zaznacza, był pod dużym wrażeniem, gdy zobaczył, jak tam wygląda. Była wtedy godzina 23. Niektóre dzieci spały, wiele płakało, a ja jako jedyny stałem na łóżku i trzymałem się poręczy. Lamentowałem również i kiwałem się w obie strony. Moje łóżko było po lewej stronie chlewu i było ostatnie w rzędzie. Około 2 m za mną była ściana budynku, gdzie odbywała się głośna biesiada personelu z domu dziecka. (…) Ponieważ w chlewie nie było ogrzewania (oraz z powodu zimnego powietrza od drzwi), zachorowałem na zapalenie płuc".

Dzięki wstawiennictwu Niemki, u której pracowali rodzice Mariana Ś., krótko po tej nocnej wyprawie udało im się odzyskać syna.

Kazimiera J. jako 20-letnia dziewczyna urodziła w czerwcu 1944 r. córkę i została z nią skierowana do Cluvenhagen do prac pomocniczych: „Tam było biednie i smutno. Jedzenie było chude, było go mało. Na małe niemowlę przypadało pół litra chudego mleka (…), bardzo mało było też pieluszek i koszulek dla dzieci. Dużo dzieci umierało na zatrucie żołądkowe. Nie mieliśmy pediatrów. Doktor Kohlschuetter mówił, że nie ma serca do polskich dzieci. Matki mogły przychodzić do swoich dzieci w każdą niedzielę na dwie godziny. Dzieci spały w łóżkach i żłobach".

Wiadomo również o zakładzie w Velpke, w którym od maja do grudnia 1944 r. życie straciło przynajmniej 84 dzieci. Wśród nich ośmiomiesięczny Bruno, którego matka próbowała uratować przed zagłodzeniem, oddając pod opiekę Niemki – Emmy Hoppe.

Hoppe mieszkała przy głównej ulicy Velpke. Przez okno często widywała robotnice przymusowe, które szły do miejscowego zakładu dla „bezwartościowych rasowo" niemowląt. Nigdy z nimi nie rozmawiała. Do czasu Weroniki Plutkacy – Polki, która w drodze do ośrodka, w którym nakazano jej zostawić malutkiego synka, chwyciła się ostatniej deski ratunku. Zapukała do drzwi Hoppe i w akcie desperacji poprosiła o przechowanie dziecka. Niemka się zgodziła. Jednak po trzech dniach przyszli funkcjonariusze policji i – grożąc karami – kazali odnieść niemowlę do zakładu.

Fragmenty książki Eweliny Karpińskiej-Morek, Agnieszki Waś-Tureckiej, Moniki Sieradzkiej, Artura Wróblewskiego, Tomasza Majty i Michała Drzonka *Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci*, Wydawnictwo M, Kraków 2019

FOT. NAC, WIKIPEDIA (2)

eprasa.pl 3467c7f583

Tomasz Skowronek

Stambuł staje się stolicą świata arabskiego

Jeśli nie ma się dokąd uciec, zawsze można uciec do Turcji

W Fatih, czyli w najbardziej konserwatywnej dzielnicy stambulskiej, zawsze kłębi się międzynarodowy tłum. Pełno tam sklepów z arabskimi szyldami, restauracje oferują dania z całego Bliskiego Wschodu, a handlowcy negocjują z klientami ceny po arabsku. Okolica coraz bardziej przypomina mieszkańcom Damaszek niż turecką metropolię. Nie bez powodu od jakiegoś czasu dzielnica nazywana jest Małą Syrią.

Po arabskiej wiośnie w 2011 r. Turcja przyjęła ok. 3,5 mln uchodźców i przyznała im tymczasowy status ochronny. Dzielnica Fatih szybko przekształciła się w syryjskie centrum, gdzie uchodźcy mogli znaleźć przyprawy z Aleppo, kawę z Damaszku i słodycze, o które trudno w innych częściach miasta. Jednak rejon ten stał się azylem nie tylko dla społeczności syryjskiej, lecz także dla uchodźców, dysydentów i emigrantów z całego świata arabskiego. W popularnej kawiarni Mukhtar rewolucjoniści i działacze polityczni popijają kawę przyprawioną kardamonem bądź miętową herbatę i dyskutują o planach powrotu do ojczyzny. W innych kawiarenkach islamiści swobodnie wymieniają się pomysłami ze świeckimi Arabami, a zatwardziali buntownicy, którzy podjęli walkę przeciwko swoim rządom, zaprzyjaźniają się z niepokornymi blogerami. Pochodzą z Egiptu, Syrii, Jemenu i innych krajów arabskich, w których kiedyś rządzili Turcy osmańscy. Część opowiada się za pokojowymi środkami, inni za przemocą.

W 17-milionowym mieście mieszka obecnie ok. 2 mln Arabów, którzy pootwierali kawiarnie, księgarnie, teatry oraz dołączyli do pracowników uniwersytetów. Hojny system wizowy Turcji i dogodna lokalizacja Stambułu sprawiają, że rodzinom rozproszonym po całym świecie łatwiej spotkać się w tym mieście niż gdziekolwiek indziej. „Stambuł jest dziś największym eksperymentem populacyjnym i kulturowym w świecie arabskim, znacznie wykraczając poza rolę, jaką odgrywały Kair w latach 50. oraz Bejrut w latach 60. i 70. XX w.", pisał brytyjski „Guardian".

„Ci, którzy tu przyjeżdżają, czują się jak w domu – zapewnia Samir Hafez, honorowy prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Arabskich Naukowców. – Dziś Stambuł zajmuje szczególne miejsce w sercu społeczności muzułmańskiej i arabskiej, ponieważ jest miastem o dużym znaczeniu, szczególnie w kontekście historii islamu. W ciągu ostatnich 10-15 lat wszyscy zdali sobie sprawę, że Stambuł jest symbolem Turcji. Zauważono również, że w mieście istnieje wiele różnych kultur. Tymczasem wszyscy chcieliby, aby ta turecka metropolia stała się islamskim czy wręcz globalnym centrum. Muzułmanie, a zwłaszcza Arabowie, są podekscytowani wizją silnej Turcji. Tutejsze władze otworzyły drzwi dla wszystkich. Uciekający przed uciskiem w Egipcie teraz myślą tylko o Stambule. Ci, którzy uciekają z Jemenu i Iraku, też przybywają tutaj. O Syryjczykach nawet nie wspominam".

Stambuł już w przeszłości był nadzieją dla wielu uchodźców politycznych. W XX w., gdy nowa republika usiłowała się pozbyć Ormian, Greków i innych „niepożądanych" populacji, do tureckiej metropolii emigrowali m.in. zwolennicy rosyjskiego cara czy rozczarowani bolszewicy (m.in. Lew Trocki). W czasie II wojny światowej przybywali tutaj intelektualiści i dysydenci z Niemiec oraz Bałkanów.

Podobnie jest dziś. Z jednej strony, za rządów prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana dziennikarze, obrońcy praw

eprasa.pl 3467c7f583

człowieka i kurdyjscy politycy giną w więzieniach oskarżani o terroryzm. Według Amnesty International od czasu nieudanego puczu zostało zamkniętych co najmniej 180 serwisów informacyjnych. Z drugiej, Stambuł okazał się bezpieczną przystanią dla prześladowanych z całego świata muzułmańskiego.

Metropolia staje się stolicą regionu dla wielu arabskich polityków, aktywistów, rebeliantów i dziennikarzy, którzy mogą tu swobodnie działać. Środowisko jest różnorodne: schronienie znajdują tutaj zarówno członkowie Braci Muzułmanów z Egiptu, zbuntowani powstańcy z Syrii i Libii, działacze polityczni z Iraku i Jemenu, jak i dysydenci z Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu.

„Jeśli nie ma się dokąd uciec, zawsze można uciec do Stambułu", mówi Azzam Tamimi, założyciel Al-Hiwar TV, platformy dla arabskich dysydentów. Jak twierdzi, w mieście roi się od rewolucjonistów. Wśród nich jest polityk Ajman Nur, który ubiegał się o prezydenturę w Egipcie w 2005 r. „W Stambule mogę w spokoju wykonywać swoją misję. Turcy nie angażują się w naszą pracę polityczną ani medialną", powiedział w rozmowie z „New York Timesem".

Nur siedział w egipskim więzieniu i uciekł z kraju, po tym jak prezydent Abd al-Fattah as-Sisi przejął władzę po wojskowym zamachu stanu w 2013 r. Najpierw Nur pojechał do Libanu, ale nie czuł się tam bezpiecznie. Jego następnym przystankiem stała się Turcja. Obecnie egipski polityk nadzoruje dwa kanały telewizyjne krytyczne wobec egipskiego rządu, a w jego biurze mieści się siedziba Arabskiej Rady Obrony Rewolucji i Demokracji, stowarzyszenia, które utrzymuje „prawdziwego ducha arabskiej wiosny".

Do zespołu Ajmana Nura należy Jemenka Tawakkul Karman, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla w 2011 r. Nadzoruje ona Balqees TV, stację telewizyjną z siedzibą w Stambule, poprzez którą nagłaśnia i krytykuje naloty USA, Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich w jej ojczyźnie. „Najważniejsze to utrzymanie arabskiej wiosny przy życiu i walka o wolność i demokrację", mówi o swoich wysiłkach medialnych na emigracji.

„Stambuł ożywił arabską wiosnę w sposób, jakiego nie było w żadnym innym miejscu", twierdzi natomiast Labib al-Nahhas, starszy członek syryjskiej opozycji politycznej. „Miasto dało Arabom i muzułmanom możliwość spotkania twarzą w twarz i swobodnego dzielenia się swoimi doświadczeniami, nadziejami i wizjami". Arabskie Stowarzyszenie Mediów w Stambule grupuje aż 850 dziennikarzy, a wśród dysydentów są zarówno islamiści, jak i świeccy liberałowie.

Rosnąca rola Turcji w regionie jest również związana z polityką kulturalną, która połączyła wiele mniejszości w regionie z ich tureckimi korzeniami. U podstaw tego wysiłku leżało przekształcenie Stambułu w centrum edukacyjne. W mieście odbywają się także największe arabskie targi książki w kraju niearabskim. W ostatnim czasie otwarto szkołę dla Palestyńczyków z Izraela, Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy. Znajdują się tu poza tym szkoły libijskie czy irackie. Ibn Haldun, nowy uniwersytet na przedmieściach Stambułu, oferuje stypendia dla studentów.

Stambulska *soft power* dobrze się sprzedaje w krajach arabskich. Metropolia przyciąga Arabów także za sprawą kultury popularnej, szczególnie tureckich seriali o sułtanach i dziewczynach z haremu oraz współczesnych historii miłosnych, których tłem są zabytki i pałace Stambułu. Arabscy intelektualiści coraz chętniej tłumaczą literaturę turecką, w tym książki Orhana Pamuka, w których Stambuł to miejsce tolerancji.

Niestety, jest i ciemna strona. W Turcji nasilają się nastroje antysyryjskie czy – szerzej – antyimigranckie. Wewnętrzna niestabilność i problemy finansowe kraju, jak również morderstwa saudyjskiego dziennikarza Dżamala Chaszukdżiego w 2018 r. oraz irańskiego dysydenta Masuda Molaviego w ubiegłym roku są również przypomnieniem, że Stambuł nie dla wszystkich jest bezpieczny.

Turecka gościnność w ostatnim czasie przygasła z powodu gwałtownego pogorszenia się sytuacji gospodarczej. W dodatku dyskurs polityczny staje się coraz bardziej nacjonalistyczny. W połowie lipca 2019 r. gubernator Stambułu wydał ultimatum dla uchodźców (wszystkich narodowości) niezarejestrowanych w mieście. Do 20 sierpnia musieli dołączyć do swojej prowincji rejestracyjnej lub zarejestrować się gdzie indziej w Turcji. Potem mieli zostać aresztowani. Jednak i tak w ciągu dwóch tygodni aresztowano ponad 6 tys. osób. Kilkaset osób zostało deportowanych, tak jak 18-letni Amjad Tablieh z Damaszku, który wyszedł po chleb. Podczas kontroli okazało się, że nie miał przy sobie pozwolenia na pobyt. 24 godziny później był w Idlibie w Syrii. Ta kontrolowana przez dżihadystów

Znaczna część Turków uważa, że rząd przyjął zbyt wielu uchodźców.

Stambulska soft power dobrze się sprzedaje w krajach arabskich.

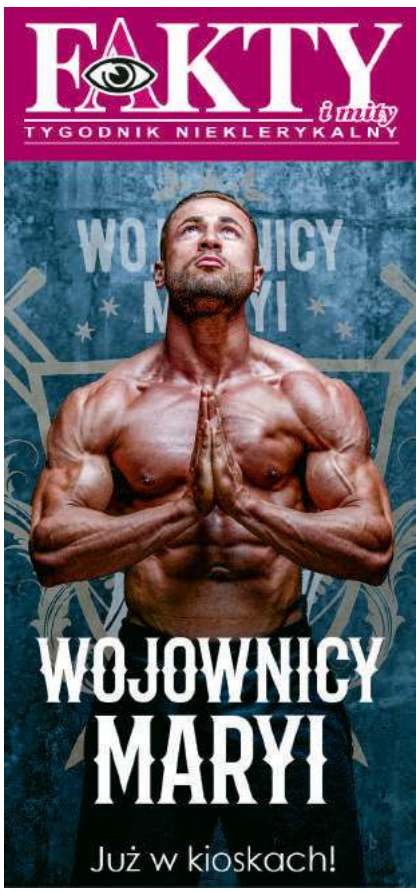

FOT. PETER FORSBERG/ALAMY/BEWPHOTO

eprasa.pl 3467c7f583

z Tahrir al-Szam (była Al-Kaida) prowincja jest celem rosyjskiej i syryjskiej ofensywy.

W Turcji rozwija się również rasizm, rośnie liczba ataków na Syryjczyków – zwłaszcza jeśli w mediach pojawi się informacja, że Syryjczyk dokonał jakiegoś przestępstwa bądź jeśli media doniosą o zabójstwie tureckich żołnierzy w Syrii. Społeczność syryjska w Turcji była celem ataków po śmierci 33 żołnierzy tureckich w nalocie przeprowadzonym przez rosyjskie samoloty w północnej Syrii pod koniec lutego tego roku.

Schronienie znajdują tu Bracia Muzułmanie z Egiptu, powstańcy z Syrii i Libii, działacze polityczni z Iraku i dysydenci z Arabii Saudyjskiej.

„Rasizm, z którym zmagają się Syryjczycy i inni migranci w Turcji, nie jest związany z konkretną opcją polityczną, raczej z całym spektrum: od świeckiej lewicy po islamskich konserwatystów tworzących AKP (czyli Partię Sprawiedliwości i Rozwoju Erdoğana). Znaczna część Turków uważa, że rząd przyjął zbyt wielu uchodźców – i że ci zabrali Turkom miejsca pracy lub przyczynili się do załamania gospodarki", ubolewa Uraz Aydin z inicjatywy Chcemy Żyć Razem, zwalczającej rasizm.

„Wszystko to karmi się głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami wobec Arabów. W mediach społecznościowych krąży wiele rasistowskich stereotypów i klisz, takich jak zdjęcia Syryjczyków palących sziszę na plaży, podczas gdy żołnierze tureccy giną na frontach w Syrii", tłumaczy Aydin.

Khadiga z syryjskiej rodziny, obecnie studiujący w Stambule, zgadza się z Aydinem, że przemoc na tle rasowym się powtarza, ale zaraz dodaje: „Trzeba pamiętać, że wielu Turków nas wspiera. Myślę, że sytuacja jest znacznie gorsza dla Syryjczyków, którzy wyjechali do Europy, lub tych, którzy są teraz w Grecji". Dla rządu prezydenta Erdoğana powitanie arabskich uchodźców jest kontynuacją wsparcia udzielonego samym powstaniom.

Rozwój Stambułu pokazuje, że cała Turcja rośnie w siłę i staje się ważnym punktem w regionie – pisała niedawno agencja prasowa Anadolu. Jest to widoczne w interwencjach wojskowych w Libii i Syrii, a także poprzez rozkład sił politycznych w całym regionie. Widać, że rząd turecki dąży do kształtowania postaw w świecie arabskim poprzez goszczenie określonych społeczności. Między innymi w tym celu Arabowie w Turcji w ubiegłym roku utworzyli Związek Wspólnot Arabskich, popierając rządzącą w Turcji Partię Sprawiedliwości i Rozwoju. Kieruje nim libijski islamista, który nazwał Erdoğana „przywódcą narodu muzułmańskiego". Turecka metropolia jest obecnie centrum Braci Muzułmanów. Państwo tureckie wspiera oddziały organizacji, przede wszystkim inwestuje w nie, ułatwia im funkcjonowanie i wpływy. Dziesiątki kanałów telewizyjnych są powiązane z oddziałami Braci. Prawie sto lat po tym, jak Turcja straciła Bliski Wschód, Stambuł znów staje się stolicą świata arabskiego.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl 3467c7f583

Bardziej współpraca niż wyścig

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

W kosmosie nie opłaca się naśladowanie. Lepiej szukać nowych kierunków rozwoju

KAROL WÓJCICKI
– popularyzator wiedzy o kosmosie

Czy zgodzi się pan z poglądem, że Amerykanie, wysyłając w nowej rakiecie astronautów na Międzynarodową Stację Kosmiczną, potwierdzili swój prymat w kosmosie?

– To bardzo ważny krok w dziedzinie kosmicznego biznesu, bo zaakcentował konkurowanie prywatnych firm w eksploracji przestrzeni okołoziemskiej. Firma Elona Muska stała się absolutnie czołowym graczem na tym rynku i na pewno trwa teraz wyścig, kto zarobi więcej. Włączenie się prywatnego biznesu znacząco obniżyło koszty lotów kosmicznych. Przenoszenie ludzi na orbitę nie odbywa się za darmo i amerykańska agencja kosmiczna NASA z pewnością przelała na konta firmy spore pieniądze. Kolejne osoby wykupują miejsca na lot w kosmos. To się szybko rozkręca.

To znaczy, że konkurenci Amerykanów, Chińczycy i Rosjanie, zostają w tyle?

– Nie traktowałbym tej rywalizacji w kategoriach wyścigu. Tutaj jest o wiele więcej współpracy, bo to niezbędny warunek postępu. Do tej pory Rosjanie zarabiali spore pieniądze na transportowaniu do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS) sprzętu, zaopatrzenia i ludzi. Teraz stracili to źródło dochodu. Pewnym czynnikiem była tutaj aneksja Krymu przez Rosję, po której pewne obszary współpracy zostały ograniczone, np. w przemyśle kosmicznym, w tym kupowanie od Rosji silników rakietowych. Od przeszło 10 lat Amerykanie nie mieli statku kosmicznego do komunikacji z ISS, ale obecnie mogą zrezygnować z lotów sojuzami. To jednak nie znaczy, że Rosjanie już niczego nie mogą. Przodują w organizacji lotów załogowych, świetnie sobie radzili na własnej stacji orbitalnej Mir. Może nie mają szczęścia w badaniach planet Układu Słonecznego, ale nie ma tutaj mowy o zdecydowanej rywalizacji.

A Chińczycy? W niektórych opracowaniach zwraca się uwagę, że podejmują bardziej ambitne wyzwania niż Rosjanie.

– Chińczycy są w ciekawej sytuacji, bo sami już latają w kosmos, mieli nawet własne stacje orbitalne. Być może podejmą wysiłek lotu na Księżyc. Niestety, mało o tym się mówi, nie mają rozbudowanego PR kosmicznego. Właściwy czas rywalizacji w kosmosie przespali, ale teraz ich postęp w tej dziedzinie jest bardzo dynamiczny.

Symbolem pokojowej, cywilnej współpracy kosmicznej pozostaje jednak nadal ISS, stworzona wspólnie przez Rosjan i Amerykanów.

– Każdy z uczestników projektu, Amerykanie i Rosjanie, ma tutaj swój udział, a dodatkowo włączają się inne państwa. Swój moduł ma Europejska Agencja Kosmiczna, są moduły kanadyjski, japoński. Kanadyjczycy zbudowali np. wysięgnik, robotyczne ramię będące ważnym i spektakularnym elementem funkcjonowania stacji. Nie można jednak wykluczyć, że uczestnicy różnych programów kosmicznych wykorzystują dane z eksperymentów, czy to na stacji, czy z urządzeń naziemnych, w dziedzinie militarnej. O większości tych prac nie mamy pojęcia. Prawdopodobnie bada się np. możliwość strącania sztucznych satelitów.

Panuje przekonanie, że azjatyccy uczestnicy kosmicznego wyścigu podglądają liderów i kopiują najnowocześniejsze rozwiązania techniczne i technologiczne.

– Moim zdaniem nie opłaca się naśladowanie, bo po co wydawać pieniądze na wyważanie dawno otwartych w jakiejś dziedzinie drzwi? Bardziej sensowne jest szukanie takich kierunków rozwoju, które otwierają zupełnie nowe perspektywy. To stwarza również większe możliwości współpracy z pozostałymi partnerami. Dlatego np. Japończycy nie wysyłają ludzi w kosmos, ale budują własne moduły dla stacji orbitalnych. Zajęli się także eksploatacją próbek pochodzących z planetoid. Hindusi planują własną misję na Marsa. Dla Europejczyków Mars na razie jest „pod górkę", ale podejmują inne inicjatywy, szukają takich obszarów badań, których nikt dotąd nie ruszał. Chińczycy testują możliwości bardzo innowacyjnych badań podjętych już w USA, ale to nie znaczy, że będą je wdrażać, bo to ogromnie kosztowne. Jest np. kwestia zbudowania rakiety, która tak jak Falcon będzie wracać na Ziemię i precyzyjnie lądować po każdym locie kosmicznym. To przecież ogromna oszczędność – wyprodukowanie rakiety wielokrotnego użytku.

Amerykanie byli dumni z wielokrotnie używanych promów kosmicznych.

– Tak, ale do wyniesienia na orbitę wymagały one rakiety nośnej ze zbiornikami paliwa i wszystko to było bezpowrotnie tracone, gdy wpadała do oceanu. Teraz udało się skonstruować urządzenie korzystniejsze ekonomicznie. Nic dziwnego, że pozostali uczestnicy też chcieliby, aby podbój kosmosu odbywał się taniej. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3467c7f583

OWADY

Wystawa Jerzego Kryszaka

Owady to bohaterowie zdjęć Jerzego Kryszaka, aktora, człowieka sceny, pasjonującego się fotografią przyrody. Od wielu lat fotografuje tę najliczniejszą grupę zwierząt. Na wystawie w Polskiej Akademii Nauk Muzeum Ziemi w Warszawie do 30 czerwca można oglądać ponad 50 jego prac.

FOT. JERZY KRYSZAK/PAN MUZEUM ZIEMI/REPRODUKCJE KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3467c7f583

eprasa.pl 3467c7f583

Co pies mówi, kiedy szczeka

Nawet najbardziej szczekający pies może się oduczyć tego zachowania

Marcin Konefał

Nadmierne szczekanie denerwuje nie tylko nas samych, ale również naszych sąsiadów. Pies szczeka z wielu powodów, najczęściej aby poinformować opiekuna o niebezpieczeństwie lub po prostu o tym, że ktoś się zbliża. Stróżuje więc, dając o sobie znać szczekaniem i broniąc swego rewiru. Z takim zachowaniem pies po prostu uważa się za ważniejszego w ludzkim stadzie, co powoduje, że staje się nadopiekuńczy i nerwowy, gdy tylko usłyszy dźwięki za drzwiami. Poza tym psy mogą szczekać, by zwrócić na siebie uwagę. Gdy są podekscytowane, np. podczas zabawy, wystraszone, agresywne, zostawione same w domu, szczekają ze stresu lub z nudów, a także żeby rozładować swoją frustrację. Aby odkryć, co pies chce nam powiedzieć, nie wystarczy tylko wsłuchiwać się w samo szczekanie, lecz również trzeba obserwować mowę ciała psa, szczególnie jego ogon i uszy.

Co nam mówi ogon psa? Nisko opuszczony pod brzuchem oznacza strach lub uległość. Noszony nad grzbietem oznacza pewność siebie i stabilność, często związaną z przywództwem. Szybkie machanie ogonem oznacza radość, często łączone z nadmierną ekscytacją. Delikatne ruchy ogona oznaczają zaniepokojenie lub zaciekawienie w danej sytuacji. Uszy również mogą nam nieco powiedzieć o nastroju psa. Skulone, położone wzdłuż głowy oznaczają lękliwość lub uległość, a gdy stoją wysoko, skierowane do przodu, oznaczają zaciekawienie lub skupienie na danym dźwięku.

Częste ujadanie nie zawsze oznacza, że pies stróżuje, tylko przeważnie to, że się nauczył tak zachowywać przy usłyszeniu różnych dźwięków czy podczas czyjegoś zbliżania się, a także by zwrócić na siebie uwagę. Ostatecznie zostaje mu to wynagrodzone – np. kiedy właściciel jest zajęty pracą przy komputerze czy rozmową przez telefon, a pies zaczyna szczekać, to opiekun, żeby go uspokoić, przeważnie rzuca mu zabawkę czy smakołyk albo krzyczy. Krzyczenie w rozumieniu psa może oznaczać, że właściciel przyłącza się do szczekania.

Podobnie jest, gdy ktoś nas odwiedza, a właściciel zaczyna „uspokajać" psa, przeważnie krzykami lub po prostu mówiąc do niego całymi zdaniami. Również kiedy sam właściciel wchodzi do domu, a pies szczeka z radości, że jego opiekun powrócił, wzmacnia to zachowanie dodatkowo, gdy zaraz po wejściu przywita się z nim. W efekcie złe zachowanie jest nieświadomie nagradzane, co powoduje, że się powtarza, i to z coraz większym nasileniem.

Zachowanie takie może u zwierzęcia wpłynąć na jego stan psychiczny. Pies może wpaść we frustrację lub się stresować. Po prostu zacznie szczekać z przerażenia, co w następstwie może nawet doprowadzić do warczenia i gryzienia, czyli nauczy się zachowywać agresywnie, by odgonić niebezpieczeństwo.

Szczekanie podczas naszej nieobecności w domu

Jeśli pies zaczyna szczekać, skomleć czy piszczeć, gdy wychodzimy z domu lub podczas naszej nieobecności, jest to lęk separacyjny, objawiający się u sfrustrowanego, zestresowanego psa, który czuje się przewodnikiem i nie ma możliwości wyładowania swojego nadmiaru energii. W celu zwalczenia lęku separacyjnego trzeba dostarczyć psu dużo ruchu, odebrać mu przywództwo poprzez swój spokój i stanowczość – nie tylko w domu, ale także na spacerach – oraz zapewnić dyscyplinę i ograniczenia, których mocno trzeba pilnować. Dzięki temu wszystkiemu pies będzie coraz bardziej opanowany i spokojny, skupiony raczej na wypoczynku niż na ujadaniu.

Aby mieć większą pewność, że pies będzie cicho podczas naszej nieobecności, musimy jeszcze zastosować metodę częstego wychodzenia i wchodzenia do domu. Większość ludzi wychodząc do pracy czy szkoły, zazwyczaj żegna się ze swoim psem, nieświadomie wzmacniając wtedy jego przywództwo i dając mu znać, że opuszczają to mieszkanie czy dom. Po ich wyjściu pies zaczyna szczekać, skomleć, a nawet piszczeć, chcąc

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3467c7f583

rozładować frustrację. Pozostawanie w tym stanie przez tak długi czas sprawia, że jego złe zachowanie tylko się pogarsza i dodatkowo będzie nagrodzone, kiedy opiekun, wróciwszy do domu, od razu przywita się ze swoim psem.

Jak w takim razie oduczyć psa szczekania, gdy zostaje sam w domu? Na początek przez ignorowanie psa uczysz go, że gdy usłyszy odgłos otwierania i zamykania drzwi, ma być spokojny i zrelaksowany. Najlepiej, żeby pozostawał na swoim posłaniu. Kilkakrotnie otwieraj i zamykaj drzwi. Rób tak np. przez 2 minuty, korygując stanowczo psa, kiedy zacznie się bardzo źle zachowywać, np. wpadnie w nadmierną ekscytację. Nagradzaj go, kiedy leży na swoim posłaniu, jest spokojny i zrelaksowany oraz całkowicie ignoruje odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Ćwiczcie tak co 15 minut, aż do chwili, kiedy psa będzie można już tylko nagradzać za spokojne zachowanie. Dzięki temu zrozumie, jak się powinien zachowywać, gdy drzwi są otwierane i zamykane. Kiedy już mamy opanowany ten etap, przechodzimy dalej. Opuszczasz dom na 5 minut, całkowicie przy tym ignorując psa. Przy powrocie też go ignorujesz, następnie 5 minut jesteś w domu i znów z niego wychodzisz. Rób tak przez pół godziny, następnie zrób 30 minut przerwy, a po przerwie przedłużaj czas wyjścia o kolejne 5 minut. Czyli wychodzisz na 10 minut, następnie na 15 itd. Rób to tak długo, aż pies zmieni swoje zachowanie i zacznie być spokojny niezależnie od czasu twojej nieobecności.

Bardzo ważne jest, żeby przez cały czas tego ćwiczenia nic do psa nie mówić, nie dotykać go ani nie wpatrywać się w niego. Dzięki temu wzmocnisz swoją pozycję i pokażesz mu, jak powinien się zachowywać, kiedy zostaje sam w domu. Musisz uświadomić psu, że ma być wtedy spokojny i uległy. Dzięki temu zyskasz cichego, spokojnego psa, który nie będzie denerwował sąsiadów hałaśliwym zachowaniem.

Uwaga: żeby ta metoda miała sens i przyniosła sukces, nie można zapomnieć o wzmocnieniu swojego przywództwa, dostarczeniu odpowiedniej dawki ruchu dla danej rasy oraz pilnowaniu dyscypliny i ograniczeń, które psa obowiązują. (…)

Szczekanie na ludzi za drzwiami i na gości

Szczekanie psa trzeba zwalczyć już w zarodku, czyli oduczyć tego zachowania, gdy tylko zauważymy, że pupil zaczyna często ujadać i to się powtarza. Jest kilka sposobów, by oduczyć psa nadmiernego ujadania. Jedną z metod jest ta, że za każdym razem, gdy pies wyrwie się do drzwi, stanowczo wyprowadzasz go do drugiego pokoju i zamykasz tam na 2-4 minuty. Jeśli pies na komendę sam idzie do pokoju, to lepiej ją zastosować, niż go tam zaciągnąć siłą. Wprowadzamy za obrożę tylko w ostateczności. W niektórych wypadkach pomocne jest zwyczajne podziękowanie psu za to, że broni swego rewiru. W ten sposób pies zrozumie, że jego zadanie (powiadomienie opiekuna) zostało spełnione i resztą zajmie się pan, więc sam zaprzestanie dalszego szczekania. Nie zawsze może to być pomocne, ponieważ każdy pies ma inną osobowość, więc takie podziękowania może zrozumieć jako nagrodę, co spowoduje, że zachowanie to będzie się nasilać. Jeśli więc po zastosowaniu kilka razy tej metody zachowanie twojego psa się nie zmieni, lepiej z niej zrezygnuj.

Dobrym rozwiązaniem jest, gdy ktoś wchodzi, nakazać psu pozostanie na swoim posłaniu – tylko żeby na nim siedział lub leżał. Zawsze koryguj psa, kiedy stoi sztywno i wpatruje się w gościa lub nasłuchuje dźwięków rozmów osób wchodzących. Korekta nie ma spowodować braku zaufania do właściciela lub lęku, tylko wprowadzić psa w spokojny stan umysłu. Najpierw wytrącasz go z wpatrywania się czy wsłuchiwania poprzez skupienie jego uwagi na tobie i nagradzasz go, gdy to zrobi i jest spokojny. Jeśli dodatkowo się zrelaksuje i już nie będą go interesowali goście, można go nagrodzić. Lecz jeśli tego nie zrobi i przejdzie z powrotem do wpatrywania się, to stanowczym dotykiem w jego bok wytrącamy go z tego i każemy mu wykonać komendę, ale w ten sposób, żeby jego wzrok był skierowany w odwrotnym kierunku niż nasi goście. Oczywiście nagradzamy go zawsze, gdy jest opanowany i cichy – wtedy nasilimy pożądane zachowanie. Możesz go też nauczyć zamilknięcia na komendę, co będzie bardzo pomocne.

Nigdy z psem nie wchodź w dyskusję, gdy szczeka, oraz nie krzycz na niego, bo on i tak nie słyszy twojego krzyku, kiedy jest pobudzony czymś innym. Okazywanie zdenerwowania w takiej sytuacji uświadamia psu twoją niestabilność. Takie negatywne zachowanie opiekuna, kiedy pies źle się zachowuje, w niczym nam nie pomoże, a wręcz zaszkodzi. W takiej sytuacji powinieneś być spokojny i stanowczy. Gdy odsyłasz psa do pokoju czy na jego posłanie lub każesz mu zamilknąć albo usiąść, by go np. uspokoić, gdy szczeka z ekscytacji lub z lęku, powinieneś to powiedzieć raz, ale stanowczo. I tylko wtedy, gdy przyciągniesz jego uwagę. W momencie, gdy pies jest skupiony tylko na szczekaniu, możesz tego dokonać poprzez stanowczy dotyk lub wsunięcie mu pod nos smakołyku, lecz nie dając mu go, tylko kusząc jego zapachem. Jeśli pupil się uspokoi i zostanie w takim stanie przez minimum minutę, powinieneś go wynagrodzić, np. tym smakołykiem.

Jeśli wybrałeś jakąś metodę, np. zamykanie, stosuj na razie tylko tę jedną. Nigdy nie mieszaj sposobów odzwyczajania, żeby móc doprowadzić sprawę do końca. Jeżeli będziesz psa zamykać za każdym razem, gdy źle się zachowuje i cię nie słucha, to szybko się nauczy, że przez takie zachowanie jest izolowany w innym pomieszczeniu, i przestanie szczekać. Wypuszczając psa, nigdy tego nie rób, gdy ten szczeka lub piszczy albo skomli, lecz tylko wtedy, gdy jest spokojny. W ten sposób wzmocnisz jego spokój, a nie frustrację. Jeśli chcesz zmienić taktykę oduczania,

Pies szczeka z wielu powodów, najczęściej aby poinformować opiekuna o niebezpieczeństwie lub o tym, że ktoś się zbliża.

Aby odkryć, co pies chce nam powiedzieć, trzeba obserwować jego mowę ciała, szczególnie jego ogon i uszy.

eprasa.pl 3467c7f583

zrób to najwcześniej po kilku godzinach, a nawet po całej dobie. Najlepiej jest, kiedy wchodzący do domu goście całkowicie ignorują szczekającego i podekscytowanego psa, który domaga się uwagi lub chce ich odgonić ze swojego rewiru. Mogą nim się zainteresować dopiero wtedy, gdy się uspokoi. W ten sposób pies nauczy się, że szczekaniem nic nie wskóra, i stanie się spokojniejszy.

Jeśli zauważysz, że pies macha ogonem i szczeka na gości, którzy są jeszcze za drzwiami, a przestaje to robić i jest podekscytowany na ich widok, gdy już są w środku, to oznacza, że pies nauczył się tak z nimi witać, dając o sobie znać, gdy tylko ich wyczuwa. W takiej sytuacji powinno się poprosić gości o pomoc w resocjalizacji psa. Stosuj taką metodę: gdy pies zaczyna szczekać, kiedy goście są za drzwiami, to oni cierpliwie, bez żadnych słów czekają, dopóki nie uspokoisz pupila. Kiedy pies ucichnie, to osoby lub osoba za drzwiami liczą pomału do pięciu. Gdy pies nie poszczekuje i nie skomli, lecz jest całkowicie cicho, wchodzą do domu. Po wejściu ignorują psa, przynajmniej na początku, dopiero później mogą skupić na nim uwagę. Jeśli pies znów zaszczeka, kiedy goście zaczną wchodzić, to powinni zawrócić i powtórzyć próbę wchodzenia, gdy tylko zwierzę ucichnie. (…)

Szczekanie na ludzi przechodzących koło płotu

Co zrobić, gdy pies szczeka na ludzi przechodzących wzdłuż ogrodzenia oddzielającego twoje podwórko od chodnika? Na pewno przy oduczaniu będzie potrzebna pomoc w postaci drugiej osoby jako pozoranta. Pies oszczekujący każdego, kto zbliży się do jego posesji, tak naprawdę jest ciągle nagradzany za takie zachowanie. Nagrodą są dla niego nie tylko bezskuteczne krzyki, które odbiera jako dołączenie się do szczekania lub dopingowanie, gdy wyrwie się do płotu, ale przede wszystkim to, że oszczekiwana osoba się oddala. Dla psa, który usilnie pilnuje swojego terenu, wygląda to tak, że jeśli napastnik się zbliża, to już trzeba mu pokazać, że „ja tu stróżuję". Następnie „napastnik" mija nasz płot i idzie dalej, przez co nieświadomie nagradza i podsyca to zachowanie. Psu wydaje się, że zyskał to, co chciał, czyli odgonił niebezpieczeństwo.

W takich sytuacjach oduczanie powinno wyglądać tak, że nieznany psu pozorant zbliża się do ogrodzenia, lecz go nie mija, tylko zatrzymuje się koło szczekającego psa. Stoi do niego bokiem i nie wpatruje mu się w oczy, następnie powoli przykuca, oczywiście dalej bokiem do psa i nie wpatrując się w niego, i cierpliwie czeka, aż pies się uspokoi. Dopiero gdy pies to zrobi, pozorant się wycofuje, przez co nagradza spokój psa. Ale jeśli pies tylko na chwilę się uspokoi, a zacznie znów szczekać, gdy pozorant ruszy z miejsca, to ten powinien zawrócić do psa i znów przykucnąć bokiem do niego, oddalając się dopiero wtedy, gdy zwierzę będzie spokojne. Ty jako właściciel powinieneś takie zachowanie ignorować, czyli nic do psa nie mówić i nawet się na niego nie patrzeć, chyba że tylko kątem oka.

Pies oszczekujący każdego, kto zbliży się do posesji, tak naprawdę jest ciągle za to nagradzany.

Kiedy pies ujada, nie powinno się na niego krzyczeć, a szczególnie bić go za takie zachowanie lub stosować inne kary fizyczne, gdyż takimi metodami pogorszymy jego stan psychiczny, a nie oduczymy tego zachowania. Lepiej zachować spokój i zastosować jedną z właściwych metod oduczania. Nawet najbardziej szczekający pies może oduczyć się tego zachowania, jeśli właściciel nauczy się brać w posiadanie cały obszar swojego zamieszkania, pokazując czworonogowi, że nie do niego należy pilnowanie tego terenu, tylko do nas samych.

Z tego powodu, gdy pies np. wyrwie się do drzwi, gdy ktoś cię odwiedza, powinieneś stanąć pomiędzy psem a drzwiami i rozkazać mu powrócić na swoje miejsce i tam pozostać. Jeśli posłucha, to go nagradzamy, a jeśli nie, to powtarzamy. W przypadku zbyt upartego psa wprowadzamy go tam za obrożę. (…) Czasami nawet stanowcza korekta słowna wystarczy, by pies zaprzestał dalszego ujadania.

Szczekanie na spacerach

Jeśli pies szczeka na spacerach na ludzi czy inne psy, musisz skupić jego uwagę na sobie, najlepiej za pomocą smakołyku podsuniętego pod nos psa. Jeśli zainteresuje się nim, to nie dawaj mu go od razu, tylko trzymaj dalej tak długo, aż pies się uspokoi i zrelaksuje. Wtedy go nagradzasz. Jeżeli pies nie chce się skupić na tobie pomimo atrakcyjnego, pachnącego smakołyku, zastosuj taki sposób, by pies nie patrzył na cel, na który szczeka. Na przykład przez stanowczy dotyk i korygowanie go smyczą – czyli bez słowa – stanowczo przyciągasz go do siebie i poluźniasz smycz, następnie stajesz pomiędzy psem a danym obiektem, nie pozwalając psu nawet na niego patrzeć. Możesz w takich sytuacjach dodatkowo wydać psu jakąś komendę, która pomoże mu się uspokoić.

Ćwicz często, by dać pupilowi do zrozumienia, że powinien zachować spokój, ponieważ obiekt, na który szczeka, to nic strasznego. Zawsze doprowadzaj ćwiczenia do końca, tylko wtedy uzyskasz właściwe efekty swoich starań i staniesz się dla psa stanowczym przewodnikiem. Nigdy nie rezygnuj w trakcie oduczania. Każda z tych metod jest sprawdzona i skuteczna; do ciebie należy, którą z nich wybierzesz. W razie niepowodzenia nie poddawaj się, spróbuj z inną metodą, ponieważ każdy pies jest inny i co innego może do niego trafić. Cierpliwość i stanowczość oraz spokojny stan umysłu i wspólna praca całej rodziny oraz znajomych jest najlepszym kluczem do tego, by oduczyć psa uciążliwego szczekania i zyskać spokojnego, zrównoważonego towarzysza.

Nigdy z psem nie wchodź w dyskusję, gdy szczeka, bo on i tak jest pobudzony czymś innym.

Fragment książki Marcina Konefała *Sekret grzecznego psa*, Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2020

eprasa.pl 3467c7f583

O przypadku pani C. raz jeszcze

No to podrzućmy parę kolejnych zdań o awanturze dotyczącej ambasador RP w Pradze. Sprawa jest przecież rzadko spotykana, więc ludzie o tym rozmawiają. Posłuchajmy kilku opinii na ten temat.

Po pierwsze, gdy Barbara Ćwioro wyjeżdżała do Pragi, nie brakowało w MSZ tych, którzy wróżyli jej szybki powrót. To nie jest osoba o łatwym charakterze, ma opinię raczej pedantycznej niż z inwencją, fantazją, więc o ile w roli asystentki wypadała przyzwoicie, o tyle w roli dyrektora czy ambasadora – słabo.

Doświadczeni MSZ-owcy spodziewali się, że może wywoływać konflikty na placówce, że mogą być awantury. Ba! Sam zespół ambasady z drżeniem przyjął informację, że to ona będzie nim kierować. No i to, czego się spodziewano, nadeszło.

Po drugie, Barbara Ćwioro wyjeżdżała na placówkę jako protegowana byłego ministra, Witolda Waszczykowskiego, jego asystentka. W jej sprawie Waszczykowski gotów był zawierać rozmaite deale – jeden z nich to umowa z Grzegorzem Schetyną, gdy ten był ministrem spraw zagranicznych. Schetyna w roku 2015 wysunął ją na ambasadora w Teheranie i przeprowadził tę kandydaturę przez Komisję Spraw Zagranicznych. Ale chwilę potem PiS wygrało wybory, więc Ćwioro do Iranu nie pojechała, tylko pozostała w centrali, na stanowisku dyrektora Departamentu Polityki Europejskiej.

Wszystko pięknie, tylko w polityce jest tak, że jeśli jest się protegowanym Iksa, to gdy Iks zostanie zepchnięty na margines, ciężki twój los! A gdy jeszcze sprawy przejdą w ręce wrogów Iksa… A tak właśnie się stało, o niechęci panującej między Waszczykowskim i Andrzejem Papierzem, obecnym dyrektorem generalnym MSZ, wiadomo od dawna.

Wszystkie te proroctwa sprawdziły się co do joty. Barbara Ćwioro pojechała do Pragi i szybko weszła w konflikt z doświadczoną pracownicą, która na placówce była długo i cieszyła się bardzo dobrą opinią. Po jej stronie stanął inny urzędnik, ze służb (a przestrzegał Radosław Sikorski w swojej książce, że z rezydentem jeszcze żaden ambasador nie wygrał!). To oni napisali skargę do MSZ na temat mobbingu. On zresztą dość szybko się wycofał. A po pewnym czasie wycofała się i ona… Ale było już za późno, pismo przejął Andrzej Papierz, no i sprawę rozkręcił. A potem już pilnował. Zwłaszcza gdy prokuratura zaczęła wszystko przeciągać. Tyle.

W ten sposób jedna z najbardziej pożądanych placówek w MSZ trafiła na giełdę. Dlaczego najbardziej pożądanych? Rzut beretem od Polski, można jeździć na weekend do domu, ale po co, skoro w samej Pradze i okolicach jest cała masa atrakcji? Poza tym to spokojna placówka, można bez problemów pracować, nawet niekoniecznie znając jakikolwiek obcy język.

Spójrzmy zresztą na listę polskich ambasadorów w Pradze – od roku 1990 mieliśmy ich tam siedmiu, z czego pięciu przynajmniej na poziomie podsekretarza stanu.

Teraz w to dobro zamierza wejść kolejny podsekretarz stanu – Marcin Przydacz, który w MSZ pracuje od roku. I wciąż szukają mu tam miejsca – bo najpierw nadzorował politykę wschodnią, teraz nadzoruje politykę wobec Azji i już wiadomo, że z tego wszystkiego najlepiej będzie, jak zacznie się zajmować uliczkami Pragi.

Attaché

Protest „Dość rasizmu i brutalności policji" naprzeciwko ambasady USA w Warszawie, 6 czerwca.

FOT. JOANNA GROCHALA

eprasa.pl 3467c7f583

JOLKA

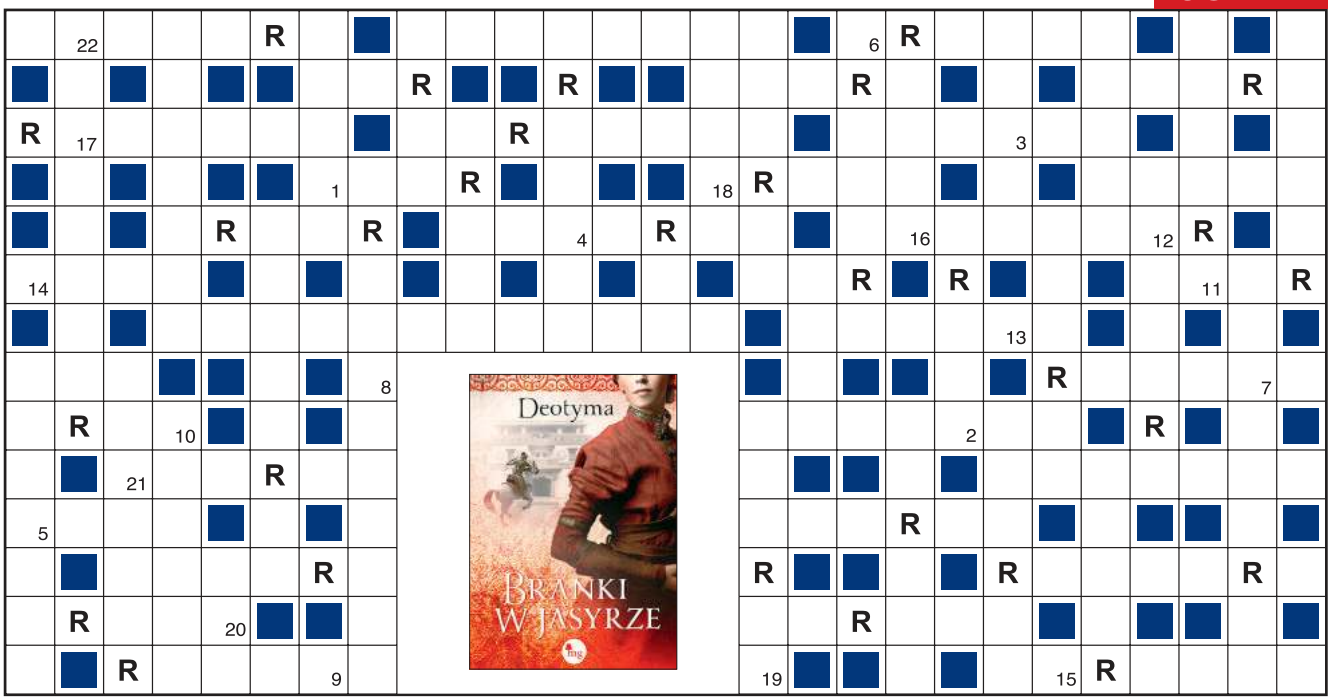

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- bywa w nim popełniana zbrodnia
- cyrkowiec od karkołomnych ćwiczeń
- sonduje opinię publiczną
- władzy, słuchowy lub mowy
- miasto rodzinne Margaret Mitchell
- i Kirgizi, i Tajowie
- stary, gęsty las iglasty
- strzelana na boisku
- układacz kocich łbów
- może być honoris causa
- i uciążliwość, i złośliwość
- dziś dryblas opryszek, dawniej szeregowiec piechoty
- czapka dla jeźdźca i kobieta w siodle
- potrzebna obok linijki
- wszyscy, którzy mogą głosować
- Dubaj albo Abu Zabi
- imienniczka aktora Lubosa
- filmowy Wszechmogący, ale nie Bruce
- tylko psoty mu w głowie
- rakieta świetlna zrzucana na spadochronie
- Katarzyna, była minister edukacji
- on wystąpił z pomysłem
- „…srebrnej róży" Richarda Straussa
- królowa… z „Alicji w Krainie Czarów"
- Pepita lub Kwestura, rekordzistki Pride of Poland
- imię reżysera Swinarskiego
- przyszedł, wypił mleczko, a ogonkiem stłukł jajeczko
- i budka z towarem, i kłopot, zamęt
- trafia za nie skazany
- siedziba prezydenta Rosji w Moskwie
- wyspa Minosa
- Wielka im. Stanisława Marusarza
- niektórzy zielonym oślepiają pilotów
- obowiązkowa lub do poduszki
- grał go Hugh Jackman z Meg Ryan jako Kate
- …Twardowskiego z duchem Radziwiłłówny
- o rozległych wpływach organizacji przestępczej
- stolica z placem Puerta del Sol
- aforyzm, sentencja
- zarazek
- …ciszy dla uczczenia pamięci
- epidemiologiczny albo budowlany
- spokoju lub Bungera
- „Nabucco" albo „Niema z Portici"
- przypinany zasłużonemu
- pozostają po przemiale zboża
- awantura, krzyk o coś
- „…najpiękniejszych lat" Anny Jantar
- na jego podobieństwo jest danie z kaszy
- imię prezesa Ochódzkiego
- domyka trylogię z Ochódzkim
- lotny cel w strzelaniu sportowym
- „Wiśniowy…" z wdową Raniewską
- wyprawa myśliwska do Afryki
- z niej meble domowe i biurowe
- pomarańczowy z wyciskarki
- komputerowy, laboratoryjny lub RTV
- można odstawić na boczny
- pstryka fotki, słucha przewodnika
- ustronne miejsce
- z przemowami oficjeli
- stary, dzielny żołnierz
- płacić jak za nie – przepłacać
- zwierzę symbol Puszczy Białowieskiej

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-965". Do rozlosowania książki „Branki w jasyrze" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 czerwca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-962" z 31 maja: *Czas leczy, ale nie zapomina.*
Nagrody otrzymują: Zenon Czajczyc z Olsztyna, Lilia Góźdź z Kielc, Jolanta Nowak z Bełchatowa.

eprasa.pl 3467c7f583

PENETRACJE

PROF. JERZY BRALCZYK, JĘZYKOZNAWCA

Słowa związane z koronawirusem są w tej chwili w dużej modzie. Jedno ze słów, które mnie zaintrygowało, znalazłem w zdaniu o tym, że „krzywa zachorowań powinna się wypłaszczać". Wypłaszczać wydało mi się czymś nowym i poczułem, że sam płaszczeję po trosze. Ale po trosze się wypłaszczam.

DOROTA KĘDZIERZAWSKA, REŻYSERKA

Żużel to nie tylko sport – to sposób na życie. To dyscyplina dla „szaleńców". Ale nie jest to pejoratywne określenie. Żużel jest dla ludzi pozytywnie zakręconych, ludzi z wielką pasją, którzy stawiają wszystko na jedną kartę. Są w nim zatopieni, uzależnieni od adrenaliny, która w tym sporcie jest wyjątkowa. Każdy z zawodników jest kompletnie inny, ale każdy bardzo interesujący. Żużel na tle innych sportów jest niebywały, wiele w nim szlachetności. Dla mnie żużlowcy są gladiatorami.

DR ANDRZEJ KRUSZEWICZ, DYREKTOR WARSZAWSKIEGO ZOO

Ogrody zoologiczne, zwłaszcza te, które mają zewnętrzne finansowanie, np. ze strony miasta, zaczęły się przekształcać w *de facto* ośrodki hodowli zagrożonej fauny. I tak powstało Europejskie Stowarzyszenie Zoo i Akwariów (EAZA), my jako zoo do niego wstąpiliśmy, nim jeszcze Polska weszła do Unii. A chodzi w nim właśnie o to, żeby w sposób skoordynowany hodować zagrożone gatunki. I to się dzieje. Oczywiście trzymanie zwierząt w niewoli nie jest niczym dobrym. Ale też nie my, pracownicy zoo, spowodowaliśmy wymieranie gatunków. My widzimy cel w ich hodowli. Po to żeby kiedyś przywrócić je naturze.

REINHOLD MESSNER, HIMALAISTA

Obecnie wielu musi rezygnować z różnych rzeczy, wieść życie w zamknięciu. Rezygnacja z różnych spraw jest teraz kluczowa. Uczymy się, że umiemy to robić. Według mnie jest w tym coś pozytywnego. Dla mnie to jest zawsze klucz do sukcesu. Nauczyłem się, że jeżeli zrezygnuję z tragarzy, tlenu, dodatkowych lin, to ekspedycja będzie tańsza, mając jednocześnie znacznie większą wartość. I oczywiście medialnie będzie o tym przedsięwzięciu dużo głośniej. Po prostu stwierdziłem, że to wszystko jest zbędne, że tego nie potrzebuję. I to właśnie jest pozytywne. Że rezygnacja z różnych rzeczy może przynieść spełnienie. Przede wszystkim w naszym społeczeństwie, które tak bardzo nastawione jest na konsumpcję. Na wzrost. Musimy nauczyć się rezygnować. Odkryć w tym wartość.

Przynajmniej nie trzeba podlewać. Dom mody Hermès w tokijskiej dzielnicy Ginza.

FOT. BART RÓŻALSKI

Aby język giętki…

STANISŁAW TYM O RAFALE TRZASKOWSKIM

Entuzjastycznie witają go ludzie, których nie przywieziono autobusami, tylko wyszli ze swoich domów, bo tak chcieli.

PAWEŁ KUKIZ O ANDRZEJU DUDZIE

Pokornie wykonał rozkaz prezesa, żeby nas rozmontować.

KAMIL SIPOWICZ O ROZPACZY PO ŚMIERCI KORY

Ratowały mnie bardzo tajemnicze wydarzenia, dzięki nim jestem przekonany, że istnieją transcendencja, świat po śmierci, inny wymiar.

JAN NOWICKI O JERZYM PILCHU

Nie był łatwy w rozmowie, cały czas trzeba było mieć się na baczności, był bezwzględny w ripostach.

JERZY URBAN O WIERSZYKU MARCINA WOLSKIEGO

Mało kto potrafi tak lapidarnie połączyć historyczną głupotę z antyludzkim bydlęctwem.

KUBA WOJEWÓDZKI O JACKU KURSKIM

Wraca do zarządu TVP, aby pilnować kampanii tego, który go zwolnił.

JULIUSZ MACHULSKI O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Nawet sułtan nie miał takiego posłuchu jak on. Jest geniuszem w knuciu, jak utrzymać się przy władzy. Od całej reszty spraw jest kompletnie odklejony.

EDWARD LINDE-LUBASZENKO O FUTBOLU

To zadziwiające, jak ludzie zręcznie potrafią się posługiwać nogami i dokonywać nimi rzeczy niezwykłych.

KATARZYNA BONDA O MIŁOŚCI

Kiedy kobieta zakochuje się prawdziwie, miłość ją osłabia, mężczyznę zaś wzmacnia.

KATARZYNA PAKOSIŃSKA O SWOIM WESELU

Najprawdziwsze gruzińskie. Z biesiadą, tańcem kartuli i toastami. Trwało tydzień.

ANNA SENIUK O RYTUAŁACH

Pozbyliśmy się rytuałów, bo szybko, bo szybciej. Zróbmy sobie rytuał z powoli. Mamy czas.

eprasa.pl 3467c7f583

Alleluja i smacznego

Izraelski producent żywności z owadów w sprytny sposób próbuje przekonać do niej chrześcijan ewangelikalnych z USA. Kampania reklamowa odwołuje się do postaci Jana Chrzciciela, gdyż zgodnie z Ewangelią według św. Mateusza „jego pokarmem była szarańcza i miód leśny". Na razie dostępne są „biblijne" batoniki proteinowe w trzech smakach: owsianym, rodzynkowym i jabłkowym, oraz słoiczki z całymi suszonymi insektami, a w kolejce czekają m.in. cukierki. Ciekawe, czy firma planuje także podbój polskiego rynku, np. szarańczowym schabowym.

Gra w zielone

Z kolei nowy dodatek do gry komputerowej „The Sims 4", będącej swoistym symulatorem codziennego życia, jest adresowany do osób zatroskanych stanem środowiska. Graczom zaoferowano m.in. możliwość korzystania z energii ze źródeł odnawialnych oraz grzebania w śmietnikach, w których można znaleźć jedzenie, meble, przydatne przedmioty czy składniki do samodzielnego wyrobu świec. Wyrzeczenia dla Matki Ziemi jeszcze nigdy nie były tak proste!

Kochasz? To list pokaż

Osoby niebędące obywatelami Danii, które pragną odwiedzić swoją drugą połówkę mieszkającą w tym kraju, muszą udowodnić, że pozostają z nią w związku od co najmniej sześciu miesięcy – poinformowała tamtejsza policja. W tym celu mogą m.in. przedstawić intymne SMS-y, listy miłosne lub prywatne zdjęcia ukochanego bądź ukochanej, przy czym ostateczna decyzja o wpuszczeniu zależy od oceny poszczególnych funkcjonariuszy. Nowe wytyczne, będące elementem walki z rozprzestrzenianiem się koronawirusa, wzbudziły spore kontrowersje. „Nigdy nie słyszałem o kraju, do którego wjazd wymaga pokazania intymnych tekstów lub zdjęć od partnera. Zezwoliliśmy parom na odwiedzanie się, ale nie zrzekliśmy się prawa do prywatności", napisał na Twitterze Kristian Hegaard z Partii Społeczno-Liberalnej.

Zaliczanie na ekranie

W obliczu wiadomej epidemii Akademia Leona Koźmińskiego umożliwiła studentom zdalne zdobywanie zaliczenia z zajęć wychowania fizycznego. Co istotne, do wyboru są nie tylko wideoćwiczenia z trenerem, ale także mobilne gry e-sportowe, przygotowane specjalnie dla warszawskiej uczelni: wirtualny ping-pong oraz taktyczna gra bitewna. Widzimy liczne plusy, np. nie trzeba pamiętać o praniu stroju czy wzięciu obuwia na zmianę – jedynie o naładowaniu smartfona.

Gościnność dla wybranych

Jeden z hoteli w uzdrowisku Cuxhaven w Dolnej Saksonii w trosce o delikatne meble nie chce przyjmować gości, którzy ważą więcej niż 130 kg. Angelika Hargesheimer,

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 3467c7f583

Jedni mają ich w nadmiarze, drudzy własnoręcznie konstruują. Porzucone rowery miejskie w Pekinie, mimo ostrzeżenia o zakazie parkowania, i dzieło Sławomira Weremkowicza z Białej Podlaskiej.

która zarządza Beachhotel Sahlenburg, przekonuje, że i tak nie byliby zadowoleni z pobytu, choćby z powodu zbyt małych krzeseł. „Chcę mieć designerski hotel, więc chcę ładnych mebli", zaznaczyła. Niemiecka ustawa o równym traktowaniu nie wspomina o dyskryminacji ze względu na wagę, co sprawia, że w podobnych przypadkach ponadnormatywnym klientom trudno walczyć o swoje prawa.

Botoks drive-thru

Mimo plagi COVID-19 miłośnicy botoksu z Florydy nie muszą rezygnować z upiększających zastrzyków; co więcej, mogą z nich korzystać bez wychodzenia z auta. Michael Salzhauer, nazywany Dr. Miami, przeprowadza zabiegi w garażu budynku, w którym znajduje się jego luksusowa klinika. Wystarczy założyć maseczkę i wystawić głowę przez okno samochodu. Zastrzyki w czoło trwają pięć minut i kosztują średnio 600 dol.

Nie przeklinaj – wirus nie śpi!

Francuski lingwista Médéric Gasquet-Cyrus przekonuje rodaków, że jeśli zmienią sposób mówienia, ograniczą ryzyko rozprzestrzeniania zabójczego wirusa. Wśród jego zaleceń znalazło się używanie mniejszej liczby spółgłosek, zwłaszcza b oraz p, rezygnacja z przekleństw, a także zwracanie się do siebie per *vous* zamiast ty. Dzięki temu do powietrza dostanie się mniej drobinek śliny niż przy tradycyjnych formach ekspresji. Łatwo powiedzieć...

FOT. SEKCJAGIMNASTYCZNA(2), IMGFIIPCOM, GREG BAKER/AFP/EAST NEWS, ANDRZEJ SIDOR/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 3467c7f583

Wazon i talerz, projekt Bjørn Wiinblad

Talerz dekoracyjny Jahresteller 1976, projekt Salvador Dalí

Wazon cylindryczny i świecznik, projekt Bjørn Wiinblad

Serwis do kawy Flash, projekt Dorothy Hafner

Żyć ze sztuką
Porcelana Rosenthal

W latach 2017-2019 Muzeum w Gliwicach otrzymało od kolekcjonera Wolfganga Domogalli wspaniały dar – 400 sztuk wyrobów porcelanowych słynnej wytwórni Rosenthal. Ich projektantami byli słynni artyści zapraszani do współpracy przez Philipa Rosenthala juniora: Herbert Bayer, Salvador Dalí, Ernst Fuchs, Helmut Andreas Paul Grieshaber, Dorothy Hafner, Gilbert Portanier, Aldo Rossi, Tapio Wirkkala, Gianni Versace czy Andy Warhol. Realizacje Studio-Line powstawały jako kontynuacja idei założyciela, Philippa Rosenthala seniora, o uczynieniu rzemiosła artystycznego, w tym przypadku ceramiki, równoprawną dziedziną sztuki.

Muzeum w Gliwicach – Willa Caro
ul. Dolnych Wałów 8A
do 25 października

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/MACIEJ GŁOWACZEWSKI, PATRYCJA GWOŹDZIEWICZ

Wazon Leones, projekt Javier Mariscal

Świecznik, seria Romanze, projekt Bjørn Wiinblad

eprasa.pl 3467c7f583

Maska nr 2 Incognito, projekt Ernst Fuchs

www.festiwalwisla.pl

WISŁA

13. Festiwal Filmów Polskich

czerwiec-grudzień 2020

Chorwacja, Gruzja, Białoruś, Rosja, Turcja,
Serbia, Azerbejdżan, Tadżykistan, Uzbekistan
Kazachstan, Kirgistan, Czechy, Słowacja

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Współfinansowanie RP:

Polski Instytut Sztuki Filmowej
Polish Film Institute

Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia

Współfinansowanie FR:

Fundacja „Centrum Rosyjsko-Polskiego Dialogu i Porozumienia"

Organizatorzy:

Fundacja Wspieram

Рест Фильм
Продюсерская компания

eprasa.pl 3467c7f583

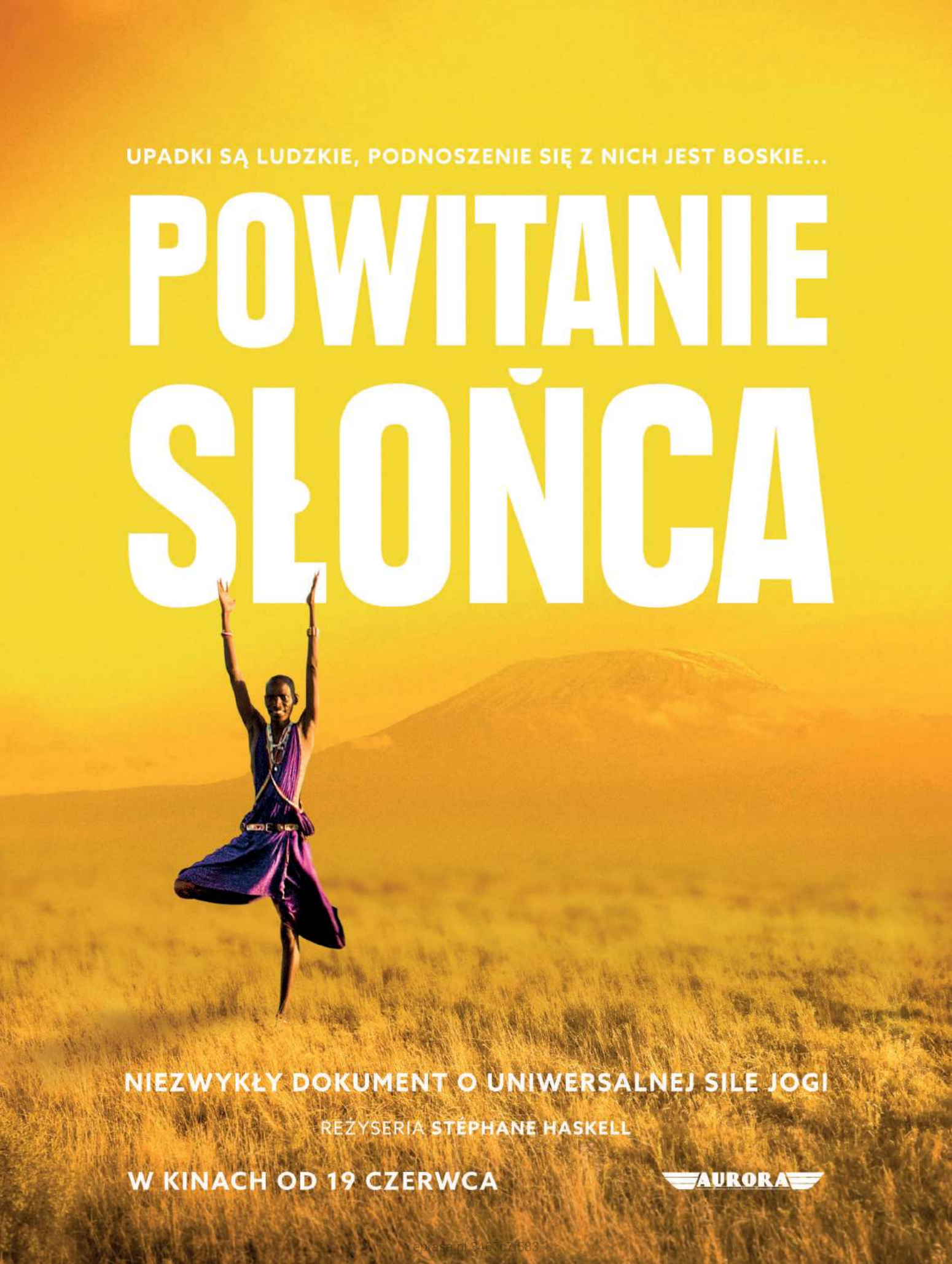
UPADKI SĄ LUDZKIE, PODNOSZENIE SIĘ Z NICH JEST BOSKIE...
POWITANIE
SŁOŃCA
NIEZWYKŁY DOKUMENT O UNIWERSALNEJ SILE JOGI
REŻYSERIA STÉPHANE HASKELL
W KINACH OD 19 CZERWCA
AURORA

eprasa.pl 3467c71583